



***Sophia James***



***Magia jemioty***

# Prolog

*Richmond, Wirginia - czerwiec 1853*

Lucas Clairmont przypadkiem znalazł list owinięty w aksamit i ukryty pod chrzcielnicą w rodzinnej kaplicy Clairmontów. Był to list miłosny do jego żony Elizabeth od mężczyzny, o którym wiedział bardzo niewiele. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego małżeństwo można było w najlepszym wypadku nazwać średnio udanym, lecz ostatnie linijki listu wyraźnie dowodziły zdrady, co nieprzyjemnie go zaskoczyło.

Autor listu wspomniał o planach rozwojowych Kompanii Gazowej w Baltimore, należącej do stryja Stuarta Clairmonta. Stryj z pewnością nie miał pojęcia o tych planach, a ziemia, kupiona tanio przez kochankę Elizabeth, kilka miesięcy później została sprzedana za ogromne pieniądze. Stuart załamał się i zmarł, przepełniony chęcią zemsty.

- Znajdź tego łajdaka, Lucas - powiedział w ostatnich godzinach życia - i go zabij.

Lucas pomyślał wtedy, że chory stryj nie panuje nad emocjami, jednak teraz, trzymając dowód w ręku, patrzył na wszystko zupełnie inaczej. Zmiał papier i upuścił na zimną posadzkę. Małżeństwo było równie nieudane, jak dzieciństwo; za fasadą poprawności kryła się pustka. Tylko miłość do stryja pozostała jasnym, stałym punktem w jego życiu.

Dobrze pamiętał smak wypitej w nocy whisky i kilka godzin porannego zapomnienia, za które zresztą słono zapłacił. Złe duchy podpowiadały mu wtedy, że powinien szukać zemsty.

Jednak tu, w kaplicy, gdzie słońce sączyło się do wnętrza przez kolorowe szkło witraży, czuł obecność Boga. Mocno zacisnął palce na gładkim oparciu dębowej ławy. Pomyślał, że on także ma własną koronę cierniową.

- Pomóż mi, panie - szepnął, przenosząc wzrok na jasnyniebieskie oczy anioła z włosami o dziwnym srebrzystym odcieniu, odzianego w białą szatę opadającą fałdami ku grzesznikowi, opromienionemu światłem.

Lucas pomyślał, że jest grzesznikiem. Wypił tyle whisky, że głowa będzie mu pękać do następnego ranka.

Elizabeth... żona.

Z pewnością daleko było mu do ideału męża, jednak prawda o zdradzie żony poraziła go tak jak jej śmierć przed sześcioma miesiącami. Uczucia smutku i żalu zmieniły się w gniew. Każde zdanie listu na odległość tchnęło podłym kłamstwem. Nie powinno go to obchodzić. Należało jak najszybciej wrzucić ten dowód małżeńskiej zdrady w ogień, nie zamierzał jednak tego uczynić, gdyż wyłaniała się z niego prawda.

Gniew! Jeden z siedmiu grzechów głównych. Lucas poczuł, że pomалу opuszcza go alkoholowe zmęczenie. Wszystko wskazywało na to, że powinien znów udać się do Anglii, dawnej ojczyzny. Być może należałoby zabawić tam dłużej, gdyż, szczerze mówiąc, z Ameryką wiązał go tylko majątek. Hawk i Nathaniel ciągle ponawiali zaproszenia do Londynu. Niespodziewanie zateśknił za towarzystwem najbliższych przyjaciół.

- Och, Stuart - powiedział cicho.

Łajdak, który oszukał stryja, bawił teraz w Londynie, ciesząc się nieuczciwie zdobytymi pieniędzmi. Daniel Davenport - to imię i nazwisko głęboko wryło mu się w pamięć. Miał go zabić? Przypomnił sobie twarze tych, których wysłał już na tamten świat.

Nigdy więcej! Wparł się plecami w oparcie ławy, starając się obmyślić inną, odpowiednio surową karę dla kochanka Elizabeth. Niegodziwiec pożałuje dnia, w którym się urodził!

# Rozdział pierwszy

*Londyn, listopad 1853*

- Każda matka byłaby dumna z córki takiej jak panna Davenport, prawda, Sybil?

- Owszem, ma wspaniałe maniery i nigdy nie prowokuje skandali. Cieszy się nienaganną reputacją, jest ucieleśnieniem rozsądku, doskonałego gustu i wzorowego zachowania.

Lillian Davenport słuchała tych komplementów ukryta za parawanem w pokoju, w którym panie poprawiały toalety i się odświeżały. Była pewna, że dwie starsze kobiety nie zdają sobie sprawy z jej obecności. Nie chciała, by dowiedziały się, że słyszy rozmowę na tak delikatny temat. Nie odzywała się więc; powoli opuściła trzymaną w rękach ciężką spódnicę i palcami wygładziła białe jedwabne fałdy.

- Często mówię mojemu Geraldowi, jak bardzo żałuję, że nasza Jane nie ma tyle wdzięku co ona. Szkoda, że nie udało nam się jej uzmysłować, jak istotne jest przestrzeganie etykiety na każdym kroku. Gdybyśmy umieli wpajać zasady wzorem Ernesta Davenporta, mielibyśmy zupełnie inne dziecko.

- Czasami myślę, że jesteś zbyt surowa dla swojej córki, Sybil. Ma tak wiele zalet, że...

Dwie damy wyszły z pokoju. Lillian usłyszała, jak zamykają się drzwi, zagłuszając ostatnie słowa.

„Jest ucieleśnieniem rozsądku, doskonałego gustu i wzorowego zachowania”.

Na twarzy Lillian pojawił się uśmiech. Szybko ściągnęła wargi. Pycha była grzechem, a ona ceniła cnotę skromności. Mimo wszystko trudno było nie czuć zadowolenia po usłyszeniu tak pochlebnej opinii o sobie. Wprawdzie jej nienaganne maniery nie od dziś budziły powszechne uznanie, jednak rzadko zdarzało się jej usłyszeć tak bezpośrednio wyrażoną, szczerą pochwałę.

Umyła ręce. Nowa bransoletka z białego złota, prezent urodzinowy od ojca, zaśniła w świetle wpadającym do wnętrza przez okna. Kolejny raz uświadomiła sobie, że

skończyła dwadzieścia pięć lat. Nie zamierzała jednak się poddawać melancholijnemu nastrojowi. Szybko przeszła do salonu londyńskiego domu Lenningtonów.

- Oszukiwałeś pan! - Usłyszała gniewny głos kuzyna Daniela.

- W takim razie proszę mnie wyzwąć na pojedynek. Odpowiada mi zarówno broń palna, jak i biała - odpowiedział rzeczowo nieznajomy mężczyzna i niespodziewanie się roześmiał.

Charakterystyczny akcent w jego głosie zdradzał mieszkańca dawnych kolonii.

- Chce pan mnie zabić?!

- Niech pan wybiera: życie albo śmierć, lordzie Davenport.

Lillian usłyszała odgłosy szamotaniny i po chwili jej oczom ukazali się walczący. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna zaciskał zgięte ramię wokół szyi Daniela. Kuzyn znieruchomiał z wybałuszonymi oczami, jego jasne włosy, mokre od potu, przywarły do czoła.

Lillian popatrzyła na twarz napastnika i gwałtownie zaczerpnęła tchu. Mężczyzna w rozpiętym surducie, z przekrzywionym fularem, miał krótki, ciemny zarost i wargę rozciętą do krwi. Patrzył prosto na nią. W jego oczach migotały wesołe błyski, lecz nie dała się zwieść. Była w nich hardość dowodząca niezłomnego charakteru.

Poczuła nieznane dotąd ciepło rozchodzące się gdzieś z głębi ciała aż po koniuszki palców. Odwieczny instynkt podpowiadał jej, co się z nią dzieje. Wprawiało ją to w stan przerażenia. Zacisnęła powieki i okręciła się na pięcie; wcześniej jednak zdążyła zobaczyć, jak nieznajomy bezwstydnie i zuchwale mruży do niej oko.

Pomyślała, że Jankes jest źle wychowany. W salonie przebywało kilkanaście osób. Wiadomość o bójce z pewnością rozejdzie się po Londynie lotem błyskawicy. Wycofała się do pokoju, który przed chwilą opuściła. Kim jest ten zuchwalec? Wyciągnęła przed siebie rękę i przez chwilę patrzyła na drżące palce, po czym opuściła ją i zamknęła oczy. Rozboleła ją głowa, jakby miała migrenę.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszły chichoczące młode damy.

- Uwielbiam bale. Kocham muzykę, te suknie, wspaniałe kolory...

- Najbardziej podoba mi się suknia Lillian Davenport. Zastanawiam się, gdzie ona kupuje stroje. Ester Hamilton twierdzi, że Lillian zaopatruje się w Londynie, ale ja myślę...

łę, że raczej w Paryżu. A może zatrudnia francuską modniarkę i modystkę z Florencji? W każdym razie ma tyle pieniędzy, że może sobie sprowadzać stroje, skąd tylko jej się zamarzy.

- Widziałaś jej bransoletkę? To prezent urodzinowy od ojca. Lillian skończyła dwadzieścia pięć lat.

- Dwadzieścia pięć. Biedna Lillian. Nie ma męża ani dzieci. Jeśli szybko nie znajdzie odpowiedniego kawalera...

- Nie przesadzaj, Harriet. Niektóre kobiety lubią żyć samotnie.

- Żadna kobieta nie chce żyć samotnie, moja ty gąsko. A poza tym zauważyłam, że lord Wilcox-Rice bardzo ją dziś adorował. Najprawdopodobniej ona się w nim zakocha i wiosną będziemy mieli ślub roku.

Druga panna zachichotała. Po ich wyjściu Lillian poczuła, że kręci jej się w głowie. Biedna Lillian?

W jednej chwili stała się symbolem nieszczęśliwych starych panien, a za drzwiami znajdował się nieznajomy, który wprawiał jej serce w szalony, niepokojący rytm.

- Mama - szepnęła. - Boże, nie dopuść do tego, bym stała się taka jak mama.

Zmusiła się do opanowania. Zapewne już nie zobaczy tego nieokrzesanego Janke-sa. Po tym, co wyprawiał podczas dzisiejszego przyjęcia, trudno się spodziewać, żeby został zaproszony do jakiegokolwiek szanującego się domu. Ta myśl przyniosła jej ulgę... Przecież bywała wyłącznie w takich domach!

Uspokojona, otarła spocone czoło. Zawsze opanowana, nie pamiętała, kiedy ostatnio się zaczerwieniła. Z pewnością nigdy dotąd serce nie biło jej tak szybko na widok mężczyzny. Najprawdopodobniej dlatego, że po raz pierwszy w życiu słyszała głos przepojony wściekłością i widziała mężczyznę w rozchełstany ubraniu.

Miała nadzieję, że nieznajomy zdoła ochłonąć na tyle, by poprawić krawat i zapiąć surdut, zanim wejdzie do głównego salonu. Natychmiast przywołała się do porządku. Jego los nie powinien jej obchodzić. Niech zostanie wyrzucony na ulicę, a nawet wygnany z miasta! Zastanawiała się, jakie wydarzenie wzbudziło tak wielkie emocje. Zapewne panowie pokłócili się przy karcianym stoliku, a reszty dopełnił alkohol. Obaj mieli ubrania przesiąknięte jego zapachem. Przypomniła też sobie, że od powrotu do Anglii



kuzyn zachowuje się co najmniej dziwnie i jest zdecydowanie przeczulony na punkcie swojego honoru.

Biedna Lillian? Nie będzie się zastanawiać nad tymi słowami. Głupiotkie dziewczęta nie miały pojęcia, o czym mówią, a Lillian była bardzo zadowolona z własnego losu.

Lucas Clairmont wyciągnął nogi na stolku i zapatrzył się w ogień płonący w kominku. Przytulny salon znajdował się w domu Nathaniela Lindsaya, usytuowanym w Mayfair, najlepszej dzielnicy Londynu.

- Jutro rano moja twarz powinna wyglądać lepiej - powiedział, unosząc szklanę z zimną wodą. Butelka chłodziła się w wiaderku z lodem. - Davenport słynie z krewkiego temperamentu. Na twoim miejscu uważałbym na siebie, kiedy będziesz wracał nocą do domu. Zwłaszcza gdy powiedzie ci się przy karcianym stoliku.

Lucas się roześmiał.

- Niech tylko spróbuje mnie zaatakować!

- Nie lekceważ przeciwnika. Zajmuje wysoką pozycję w londyńskim towarzystwie.

- Jakoś sobie poradzę.

Nathaniel postanowił zmienić temat.

- Z kolei jego kuzynka, panna Lillian Davenport, jest wręcz nieznośnie uczciwa i ostrożna.

- To ta kobieta w białej sukni?

Lucas zdążył zapytać Nathaniela o jej imię w drodze do powozu. Teraz nadszedł czas, by poznać więcej szczegółów. Jasnoniebieskie oczy młodej damy i jasne włosy przypominały mu kwiaty lilii, gęsto rosnące nad rzeką w Richmond w stanie Wirginia.

- Jest zamężna?

- Nie. Słynie nie tylko z doskonałych manier, ale także z odrzucania propozycji matrymonialnych. Możesz mi wierzyć, że było ich wiele.

Lucas ostrożnie dotknął obolałej dolnej wargi.

- Jeszcze parę szarpanin takich jak dzisiejsza i możesz stać się niepożądanym towarzyszem nawet przy karcianym stoliku - ostrzegł przyjaciela Nathaniel.

- Przecież nawet go nie tknąłem, a otrzymał cios tylko dlatego, że mnie zaatakował. Gdzie mieszka Lillian Davenport?

- A ty znowu o niej! Jak mam ci wytłumaczyć, że ona jest dla ciebie równie niebezpieczna, jak jej kuzyn, ale o wiele sprytniejsza? To kobieta, którą wielu mężczyzn chciałoby pojąć lub usidlić, tymczasem wszystko wskazuje na to, że nie życzy sobie żadnego.

Do salonu weszła Cassandra, niosąc w ręku filiżankę gorącej czekolady.

- Nie zwracaj uwagi na słowa mojego męża, Lucasie. Ma w tym względzie przykre doświadczenia i przemawia przez niego gorzko.

- Ustawiłeś się w długiej kolejce do tej panny?

- To było siedem lat temu - wyjaśnił Nathaniel. - Lillian debiutowała w towarzystwie. Dopiero kilka lat później poznałem Cassie.

- Odmówiła ci?

- Nie pozostawiła mi cienia nadziei. Zaczekała, aż wyślę jej jedyny list miłosny, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się napisać, a potem mi go zwróciła.

- To lepsze, niż gdyby go zatrzymała.

- Jej słynne doskonale maniery nie pozwalają na jakiegokolwiek tłumaczenia. Musiała mi wystarczyć prośba, by „nigdy nie wracać do tego tematu”.

- Nie jest plotkarką?

- Ależ skąd! - odrzekła Cassie. - Jest doskonale wychowana i nie pozwala sobie na coś tak trywialnego jak plotki. Stawia się ją za wzór młodym dziewczętom przedstawianym na królewskim dworze.

- To brzmi okropnie i powinno skutecznie zniechęcić do niej wszystkich kawalerów.

Cassandra zachichotała; Nathaniel uniósł dłoń, powstrzymując żonę od wypowiedzenia kolejnych słów.

- Cassie, proszę cię, przestań. - Chwycił ją za ramię i posadził sobie na kolanach. - Lucas zabawi w Londynie tylko do końca grudnia, a mamy co wspominać.

- Piję za wspomnienia, przyjacielu. - Lucas uniósł szklaneczkę i duszkiem wychylił jej zawartość.



Zastanawiał się, jak mógłby ponownie wystawić na próbę Daniela Davenporta.

Lillian położyła się na łóżku i podciągnęła kołdrę aż pod brodę. Zostawiła zasłony lekko rozchylone i do sypialni zaglądał jasny księżyc w pełni. Cały pokój był skąpany w srebrzystym świetle. Nie wiadomo, z jakiego powodu czuła podniecenie, a sen nie nadchodził.

Tego wieczoru John Wilcox-Rice okazał jej wiele uprzejmości, jednak oczami wyobraźni widziała inną męską twarz, w której uwagę przykuwały złociste oczy. Odniosła wrażenie, że słyszy charakterystyczny głos z amerykańskim akcentem.

Delikatnie musnęła palcami skórę na szyi. Uświadomiwszy sobie, co wyprawia, szybko splotła dłonie, zamknęła oczy i usiłowała zmusić się do snu. Jednak uczucie ożywienia nie mijało. Wprost przeciwnie, wydawało się nasilać. Przystawała panować nad emocjami. Pojedyncza łza stoczyła się po jej skroni i wpadła we włosy. Lillian miała dwadzieścia pięć lat i czekała... na co?

Ów nieznajomy miał długie czarne włosy związane skórzanym paskiem jak mężczyźni w minionych wiekach. Najwyraźniej nie zwracał sobie głowy wymogami mody. Zapamiętała też jego silne, opalone ręce, zdradzające człowieka trudniącego się pracą fizyczną. Ciekawe, co by poczuła, gdyby dotknął jej ciała?

- Proszę - szepnęła. - Chciałabym znaleźć kogoś, kogo mogłabym pokochać, o kogo bym się troszczyła. Marzę o tym, by ten ktoś także mnie kochał. - Nie z powodu moich pieniędzy, ubrań czy koloru włosów, który podziwiała tak wielu, dodała w myślach. - Żeby kochał mnie dla mnie samej. - Słowa rozplywały się w nocnej ciszy.

Silny wiatr przygnał chmury, a księżyc schował się za kurtyną deszczu.

## Rozdział drugi

Następnego dnia rano zastała ojca na śniadaniu. Ostatnio niezmiernie rzadko dochodziło do takich spotkań. Spędzał mnóstwo czasu w klubach, a jego nowa pasja, czyli konie, sprawiała, że coraz częściej i dłużej bawił poza Londynem.

- Dzień dobry, Lillian - powiedział zaskakująco różnym tonem. - Doszły mnie słuchy, że doskonale bawiłaś się wczoraj u Lenningtonów.

Nie miała pojęcia, co ojciec ma na myśli.

- Lord Wilcox-Rice odwiedził mnie wczoraj z zapytaniem, czy może ubiegać się o twoje względy, mając nadzieję na ogłoszenie zaręczyn pod koniec miesiąca. Od Patricka dowiedziałem się, że wczorajszego wieczoru spędziłaś dużo czasu z lordem Wilcox-Rice'em

Lillian nie lubiła skłonności do plotkowania u swego najmłodszego kuzyna. Skrzywiła się nieznacznie.

- Towarzyszyłam milordowi jedynie jako przyjaciółka. - W jej słowach pobrzmiwała z trudem skrywana złość.

- Wilcox-Rice jeszcze ci o tym nie powiedział? Może jest nieśmiały, a może nie zachęciłaś go na tyle, na ile nakazywałby rozsądek?

- Nie odpowiadają mi jego zaloty. Nie jestem sobie nawet w stanie wyobrazić...

- Wszystkie najlepsze małżeństwa zaczynają się właśnie w taki sposób, od przyjaźni, która z czasem przeradza się w miłość i trwa aż po grób - oznajmił z przekonaniem lord Davenport.

W pokoju zapanowało milczenie.

Mówisz o małżeństwie, jakie nie było twoim udziałem, ojcze, pomyślała Lillian. Po krótkiej znajomości twoja żona i zarazem moja matka związała się z nieodpowiednim mężczyzną, a niedługo potem umarła.

- Lord Wilcox-Rice pragnie, byście się lepiej poznali. Chciałby spędzić z tobą jakiś czas w swym majątku w Kent. Oczywiście, będzie ci towarzyszyła przyzwoitka, ale znajdziecie się z dala od Londynu i to stworzy szansę, byście...

- Nie, papo.

Ernest Davenport znieruchomiał, po czym wolno odłożył trzymany w ręku nóż, na którym pozostała warstewka dżemu.

- Jak widzę, znaleźliśmy się w impasie. Masz silną osobowość, ale pamiętaj, że przybywa ci lat, a szanse na ułożenie sobie życia maleją wraz z kolejnymi urodzinami.

Lillian nienawidziła tego argumentu. Dwudzieste piąte urodziny spadły na nią wraz z całym ciężarem oczekiwań i nadziei. Weszła w wiek, w którym kobieta przestawała uchodzić za młodą i nie mogła się dłużej wycofywać, usprawiedliwiając się kłopotami z dokonaniem wyboru.

- John Wilcox-Rice pochodzi z dobrej rodziny i wpojono mu te same cenne zasady, co tobie. Nie będzie usiłował cię zmienić i z pewnością okaże się dobrym ojcem... Przypuszczam, że czasami myślisz o dzieciach.

- Nic do niego nie czuję. Nie żywię względem niego uczuć, które w naturalny sposób prowadziłyby do małżeństwa.

Lord Davenport pstryknął palcami, odprawiając tym gestem obecnych w pokoju służących. Zostali sami. W panującej wokół ciszy Lillian słyszała tykanie ojcowskiego zegarka.

- Dobiegam pięćdziesiątki - zaczął lord Davenport - i nie cieszę się tak dobrym zdrowiem jak dawniej. Chciałbym, byś miała dom i rodzinę, zanim całkiem się zestarzeję. Potrzebuję wnuków, a przede wszystkim dziedzica majątku i tytułu.

- Mówisz tak, jakbym skończyła trzydzieści lat, papo, a poza tym wyglądasz doskonale - zauważyła Lillian, nie kryjąc rozgoryczenia.

- Najwyraźniej nie rozumiesz istoty mojego przesłania, a to martwi mnie jeszcze bardziej.

Wypowiedział te słowa lekko podniesionym tonem. Lillian podeszła do okna i zapatrzyła się na jeźdźców zmierzających do Hyde Parku na codzienną przejażdżkę. Wszystko dookoła wydawało się toczyć według ustalonego porządku, podczas gdy w jej domu...

- Daję ci czas do Bożego Narodzenia - stwierdził stanowczo lord Davenport.

- Słucham? - Odwróciła się gwałtownie.

- Masz czas do Bożego Narodzenia, żeby znaleźć sobie takiego kandydata na męża, jaki ci odpowiada. Jeśli go nie spotkasz, obiecaj mi, że rozważysz kandydaturę Wilcox-Rice'a bez żadnych uprzedzeń.

Na twarzy lorda Davenporta pojawiły się czerwone plamy. Od ubiegłego roku znacznie przybrał na wadze. Czyżby istotnie coś mu dolegało? - zastanawiała się Lillian. W ubiegłym tygodniu widział się ze swoim lekarzem. Może dowiedział się od niego, że jest chory?

Poczuła wyrzuty sumienia, lecz o nic nie zapytała. Ojciec lubił mieć tajemnice i rzadko ujawniał, co naprawdę myśli. Uprzytomniła sobie, że jest w tym do niego podobna. Czła się osaczona. Znalazła się w sidłach władzy rodzicielskiej i własnej chęci zadowolenia starzejącego się ojca.

- Niełatwo jest znaleźć mężczyznę, który w pełni by mi odpowiadał.

- W takim razie poszukaj wystarczająco dobrego. Bardzo dużo szczęścia dadzą ci dzieci, a Wilcox-Rice jest porządnym, uczciwym człowiekiem. Uwierz mi, mądrość przychodzi z wiekiem. Wiem, co mówię.

- Dobrze. Obiecuję, że zastanowię się nad twoją radą. - Lillian wyciągnęła rękę do ojca. Cieszyło ją, że nie przerwał tego momentu bliskości, lecz długo trzymał jej dłoń.

Pół godziny później Lillian siedziała w saloniku, pijąc herbatę w towarzystwie Anne Weatherby, serdecznej przyjaciółki, rozpaczliwie starając się wykazywać zainteresowanie opowieściami o dzieciach i reszcie rodziny, które zazwyczaj wypełniały całą wizytę. Jednak tego dnia pojawiły się także inne sprawy do omówienia.

- Wczoraj na przyjęciu u Lenningtonów doszło do sprzeczki. Słyszałaś o tym?

Lillian natychmiast odzyskała zainteresowanie.

- Podobno twój kuzyn Daniel i nieznajomy z Ameryki o coś się pobili. Widziałam go, jak wychodził z salonu. Od razu można się było domyślić, że nie jest Anglikiem i przyjechał z jakiegoś mało cywilizowanego kraju. Mówi się, że byłaś świadkiem bójk.

- Zapewne trafiłam na sam koniec, kiedy wyszłam z pokoju dla pań. Nigdy bym nie przypuszczała, że mogło chodzić o coś poważniejszego.

Lillian chciała sprawić wrażenie zmęczonej tematem w nadziei, że Anne go porzuci, jednak przyjaciółka ciągnęła, wyraźnie nim zainteresowana:

- Podobno ma nie najlepszą reputację w Ameryce. Pochodzi z Wirginii, a jego żona zmarła w co najmniej podejrzanych okolicznościach.

- Podejrzanych?

- Alice, hrabina Horsham, nie chciała powiedzieć mi niczego więcej, ale z tonu jej głosu wywnioskowałam, że ten człowiek mógł się przyczynić do śmierci żony. - Z niedowierzaniem pokręciła głową. - Mimo że całe miasto huczy od plotek, młode dziewczęta wydają się oczarowane zbójnicką urodą Jankesa i trzepoczą rzęsami, licząc na to, że je zauważy. Ma dołeczek w prawym policzku. To mi się zawsze podobało u mężczyzn. - Anne szybko nakryła usta dłonią. - Co ja wygaduję! Skończyłam trzydzieści lat i powinnam być rozsądniejsza.

Lillian naląła sobie herbaty. Miała nadzieję, że przyjaciółka nie zauważy, jak herbata ścieka po imbryczku na śnieżnobiały koronkowy obrus. Nie była w stanie opanować drżenia rąk. Nieznajomy miał żonę, która zmarła w podejrzanych okolicznościach! Nocne rozmyślenia przy świetle księżyca natychmiast straciły na atrakcyjności. Musiała wręcz stłumić uczucie rozczarowania.

Od czasu debiutu przed siedmioma laty żaden mężczyzna nie zawrócił jej w głowie, a myśl o tym, że mogłoby się to udać temu Amerykaninowi, wydawała się wręcz absurdalna. Nie pasowałby do niej ten człowiek o wyglądzie dzikusa i pałającym, przenikliwym spojrzeniu. Przypomniała sobie o obietnicy złożonej ojcu niecałą godzinę temu. Przeżycia poprzedniego wieczoru wydały jej się nagle śmieszne.

Musiała znaleźć sobie narzeczonego przed nastaniem świąt Bożego Narodzenia. Kierując rozmowę na inny temat, pomyślała, że w najgorszym razie czeka ją ślub z Johnem Wilcox-Rice'em, mężczyzną uczciwym i szanowanym. Należało mieć na uwadze fakt, że skończyła dwadzieścia pięć lat.

Tego wieczoru spotkała Johna na przyjęciu w jednej z rezydencji przy Belgrave Square. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz, by domyślić się czekających ją kłopotów. John sprawiał wrażenie podekscytowanego. Kiedy ujął jej dłoń, była zadowolona, że włożyła rękawiczki. Zauważyła, że miejsce obok orkiestry jest bogato udekorowane.

wane zielenią. To stwarzało szansę ukrycia się przed oczami ciekawskich na czas rozmowy z Johnem, w czasie której zamierzała mu wszystko wyjaśnić.

Przenikliwe dźwięki kornetu, skrzypiec i wiolonczeli uniemożliwiały jednak rozmowę. Pociągnęła więc go za sobą za ścianę zieleni na balkon. Panował tam miły półmrok.

- Zapewne ojciec przekazał pani wiadomość o tym, że jestem zainteresowany... - zaczął, lecz nie pozwoliła mu na rozwinięcie zdania.

- Tak, ojciec mi powiedział. Bardzo dziękuję za to niezwykle miłe wyróżnienie, wydaje mi się jednak, że nie moglibyśmy...

- Pani ojciec ma na ten temat inne zdanie - przerwał, a w głowie Lillian zakiełkowało pewne podejrzenie.

- Widział się pan dzisiaj z moim ojcem? - spytała.

Zesztywniała, gdy skinął głową.

- Owszem. Stwierdził, że zgodziła się pani poważnie rozważyć moją propozycję.

- Obawiam się, że nie żywię względem pana odpowiednich uczuć, a nie jestem w stanie przewidzieć, czy kiedykolwiek się one pojawią.

- Rozumiem.

Ponownie ujął jej dłoń. Tym razem nieznacznie zsunął z niej jedwabną rękawiczkę, aby złożyć pocałunek na nadgarstku. Natychmiast cofnęła rękę i ukryła ją w obfitych fałdach spódnicy. Pomyślała, że wybrała niefortunne miejsce na przeprowadzenie niełatwej rozmowy.

- Chciałbym, żeby pani przynajmniej spróbowała. Pragnę uczynić panią szczęśliwą i uważam, że moglibyśmy stworzyć udany związek.

- Cóż... Bardzo sobie cenię pańską przyjaźń i nie chciałabym jej tracić, jednak jeśli chodzi o pozostałe kwestie...

Skłonił się dwornie.

- Jestem gotów dać pani więcej czasu na zastanowienie. Jesteśmy sobie równi urodzeniem i mamy podobne zainteresowania. Sądzę, że nasze małżeństwo byłoby ze wszech miar korzystne dla nas obojga.



Lillian skinęła głową. John Wilcox-Rice uklonił się i odszedł. Odprowadziła go wzrokiem. Wysoki, chudy, całkiem przystojny, z pewnością był doskonałym kandydatem na męża. Mogłaby się przy nim spokojnie zestarzeć ze świadomością, że nie zmarnowała życia. Z westchnieniem podeszła do krawędzi balkonu, zapatrzona na księżyc, ten sam, który był świadkiem jej rozterek minionej nocy.

- Dość! - powiedziała głośno.

- O co pani chodzi? - usłyszała męski głos.

Zza krzewów w donicach ustawionych na balkonie wyłonił się Amerykanin.

- Od jak dawna pan tu przebywa?

- Wystarczająco długo.

- Dżentelmen dawno by odszedł.

Wskazał balustradę.

- Świadomość, że do ziemi jest stąd dobre piętnaście stóp, nie pomogła mi w podjęciu tej decyzji.

- W takim razie powinien pan się ukrywać dopóty, dopóki bym stąd nie odeszła.

Większość znanych mi Anglików byłaby skrepowana, znalazłszy się w takiej sytuacji.

- Skrepowana? - powtórzył. - Nie pamiętam już, kiedy ostatnio towarzyszyło mi to uczucie.

Tego wieczoru prawie nie było słyhać obcego akcentu w jego głosie. Brzmiał zupełnie inaczej niż u Lenningtonów.

A może starannie to zaplanował? Omal nie podskoczyła, zauważywszy złotą ślubną obrączkę na jego palcu. Szybko odwróciła wzrok, aby nieznajomy nie domyślił się, gdzie padło jej spojrzenie.

- Nie zostaliśmy sobie przedstawieni i nasza rozmowa nie powinna mieć miejsca. Proszę natychmiast to naprawić.

Nie poruszył się, zauważyła jednak, że w jego policzku pojawił się dołek, o którym mówiła Anne Weatherby.

- Jestem Lucas Clairmont z Richmond w stanie Wirginia - powiedział po chwili. - Mam przed sobą pannę Davenport, wcielenie cnót, osobę o nienagannych manierach i

doskonałym gościu. Zastanawiam się, czy to ostatnie jest prawdą, skoro Wilcox-Rice jest pani narzeczonym.

- Nie jest moim narzeczonym. Przecież słyszał pan, co mówiłam.

- A jednak i on, i pani ojciec uważają co innego.

Lucas zerwał obsypaną pomarańczowymi owocami gałązkę ognika i podał ją Lillian, a ona wyciągnęła rękę.

- Dziękuję. - Nic innego nie przyszło jej do głowy.

Jakiś cierń boleśnie ukłuł ją w opuszkę kciuka.

- Cieszę się, że los dał mi szansę przeproszenia pani za to, że ją wczoraj wystraszyłem u Lenningtonów.

- Przyjmuje przeprosiny. Wiem, że mój kuzyn bywa popędliwy.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując białe zęby. Lillian uświadamiała sobie, że ma przed sobą człowieka, który najwyraźniej nie zamierza poddawać się konwenansom. Pod tym względem stanowił jej całkowite przeciwieństwo. Cofnęła się w obawie przed czymś, czego nie potrafiła nazwać. Zastanawiała się, jaki postępek jej kuzyna wywołał gwałtowną reakcję pana Clairmonta.

- Proszę się niczego nie obawiać, panno Davenport. Nie zabiję go, bo nie jest wart tego, żeby z jego powodu powieszono mnie w więzieniu Newgate.

Rozważał możliwość zabicia Daniela? Wielki Boże! Nie mieściło jej się w głowie, jak można w ogóle pomyśleć o takim uczynku. Zatęskniła za uprzejmą przeciętnością Johna Wilcox-Rice'a. Nie było jej jednak dane dłużej się nad tym zastanawiać, gdyż Lucas Clairmont ujął jej dłoń. Nie zaprotestowała. Obwiodł ją palcem, a potem przesunął nim wzdłuż żyłek widocznych spod jasnej skóry.

- Kiedyś w Richmond stara Indianka wróżyła mi z ręki. Powiedziała, że życie jest jak rzeka i że płyniemy z jej nurtem do miejsca naszego przeznaczenia. Czy to jest właśnie to miejsce, panno Davenport? - spytał.

Odniosła wrażenie, że czas się zatrzymał. Kiedy wyrwała dłoń z jego uścisku i niemal wbiegła do wnętrza, byłaby gotowa przysiąc, że słyszy śmiech dobiegający z balkonu skapanego w srebrzystym świetle księżyca.

Czując się bezpieczna w tłumie, zwolniła kroku. Nigdy dotąd nie doceniała znaczenia obecności większej liczby osób w pobliżu. Zadała sobie pytanie, czy Lucas przyjdzie tu, by z nią porozmawiać? Może znów wywoła zamieszanie i skandal? Rozwinęła wachlarz i zaczęła nim rytmicznie poruszać, chłodząc rozpaloną twarz. Była zadowolona, że w porę udało jej się schować gałązkę obsypaną pomarańczowymi owocami do aksamitnej torebki. Nie życzyła sobie złośliwych komentarzy.

- Jesteś silnie zarumieniona, Lillian - odezwała się ciotka Jean. - Mam nadzieję, że się nie przeziębiłaś teraz, kiedy tak niewiele czasu pozostało do świąt. Niedawno pani Haugh opowiedziała mi o tym, jak jej córka nabawiła się nieżyty oskrzeli i do tej pory nie może się wyleczyć...

Lillian przestała słuchać ciotki. Lucas Clairmont wszedł właśnie do sali. Wysoki, barczysty, męski... W porównaniu z nim otaczający ją dżentelmeni wydawali się bladzi, wąтли i dandysowaci. Skupiając uwagę na jego rozciętej wardze, wmawiała sobie, że nie obchodzą jej ukradkowe spojrzenia, jakimi obdarzają go mijane kobiety.

Lucas zmierzał do wyjścia w towarzystwie hrabiego St Auburna i lorda Stephena Hawkhursta. Ci wpływowi mężczyźni roztaczali wokół siebie podobnie tajemniczą aurę jak on. Była ciekawa, gdzie ich poznał. W drzwiach odwrócił się i popatrzył jej przeciągle w oczy, tak jak na balu u Lenningtonów. Czując mocne uderzenia serca, szybko uniosła wachlarz, chowając za nim twarz. Odniosła wrażenie, że brak jej tchu. Rozpoczęła się gra, której reguł jeszcze nie знаła.

Powróciwszy do domu umieściła pomiętą gałązkę ognika w wazoniku i postawiła na stoliku przy łóżku. Jej kolor i kształt nie harmonizowały z wystrojem sypialni, podobnie jak Lucas Clairmont nie pasował ani do niej, ani do towarzystwa, w którym się obracała. Ostrożnie dotknęła cierni gałązki. Wydały jej się zaskakująco ostre w zestawieniu z ciepłą barwą i obłym kształtem kulistych owoców.

Żałowała, że nie zostawiła gałązki na balkonie, nie porzuciła jej wraz z myślami o mężczyźnie, który ją zerwał. Nie zrobiła tego jednak i oto gałązka ognika pyszniła się w jej sypialni, nie pozwalając Lillian zapomnieć o niezwykłym Amerykaninie. Popatrzyła na przezroczyście zasłony udrapowane wokół jej łoża, kremową narzutę haftowaną w delikatny wzorek, lampę z mosiężną podstawą i abażurem z siedemnastowiecznego spło-

wiałego gobelinu. Wystrój jej pokoju w niczym nie przypominał modnych wnętrz z pasiastymi tapetami o deseniach przypominających powyginane płatki i pióra, w przeważających barwach czerwieni i purpury. Lubiła to swoje spokojne gniazdko.

Wszystko, czym Lillian się otaczała, było starannie dobrane i w najwyższym stopniu odpowiednie. Odnosiło się to zarówno do jej strojów, jak i przyjaciół, a także do całego życia. Nie pozostawiała miejsca na przypadek ani na ryzyko.

Coś nieprzewidywalnego zdarzyło się jej tylko raz. Rebecca Davenport, jej matka wpadła do domu, aby oznajmić, że po południu wyjeżdża, „by przeżyć fascynującą przygodę w ramionach wspaniałego mężczyzny”. Lillian wciąż miała odruch wymiotny na wspomnienie tych słów. Przypomniła sobie siebie jako małą dziewczynkę, wpatrzoną w matkę. Okazała się nie dość „wspaniała”, skoro matka ją zostawiła.

Porzucona jedynaczka starała się odzyskać poczucie własnej wartości, pragnąc za wszelką cenę zasłużyć na miłość ojca. Szybko przekonała się, że jest szczęśliwy, gdy pokornie spełnia jego wolę. Stała się więc córką dokładnie taką, jaką sobie wymarzył. Pilnie się uczyła i była grzeczna, a później, gdy w wieku osiemnastu lat zadebiutowała w towarzystwie, została uznana za ideał, wzór do naśladowania dla innych szlachetnie urodzonych dam.

Musiała przyznać, że ta rola jej odpowiadała. Czuła się dumna z faktu, że okazała się tak pojętna. Jednak tego dnia obsypana barwnymi owocami, ciernista gałązka ognika wniosła w jej życie niepokój.

Biedna Lillian?

John Wilcox-Rice i jego godna uwagi, rozsądna propozycja.

Starzejący się ojciec.

Elementy, składające się na jej życie, przestały tworzyć spójną całość, a winę za to bez wątpienia ponosił Lucas Clairmont, jego zuchwały uśmiech i oczy drapieżnika w urodziwej twarzy.

Stojąc przy oknie, dostrzegła swoje odbicie w szybie. Wydała się sobie błada. Czyżby okazała się podobna do matki także i w tym, że zainteresowała się fascynującym i zupełnie nieodpowiednim mężczyzną? Przyłożyła dłoń do chłodnego szkła, a potem napisała palcem inicjały matki na zaporowanym kawałku szyby.

Rebecca Davenport wróciła jesienią, znacznie chudsza i smutniejsza niż przed wyjazdem, a chociaż mąż przyjął ją z powrotem pod swój dach, nie potrafił wybaczyć zdrady. Nikt nie dowiedział o jej niewierności. Nie mówiono o jej przedłużonym wypoczynku w Fairley Manor, posiadłości Davenportów w północnej Anglii, a jeśli nawet ktoś żywił podejrzenia, milkł w zetknięciu z surową powściągliwością Ernesta Davenporta.

Ta maskarada najprawdopodobniej uczyniła sytuację tym trudniejszą, pomyślała Lillian. Pamiętała, jak matka umierała w gorączce, a ona, będąc dzieckiem, kursowała pomiędzy rodzicami, przekazując najpilniejsze wiadomości i obserwując, jak szacunek, jaki mieli dla siebie, usycha wraz z nastaniem zimy. Nawet pogrzeb był jednym wielkim oszustwem. Ciało matki zostało złożone w krypcie Davenportów z zachowaniem ceremoniału, lecz po tym nikt nie odwiedzał grobu.

Droga, jaką obrała Rebecca, oddaliła ją od rodziny i przyjaciół. Jeśli ona, Lillian, wkroczy na tę samą ścieżkę, wkrótce doświadczy bolesnych konsekwencji „fascynującej przygody”. John Wilcox-Rice nie złamałby jej serca. Był mężczyzną o niezłomnych zasadach i ustalonych poglądach politycznych.

Przeczesała włosy dłonią i uśmiechnęła się, czując rosnące ożywienie. Wszystko wydawało jej się teraz inne, jaśniejsze, wyraźniejsze. Podeszła do łóżka i przesunęła palcami po gładkich pomarańczowych jagodach, ciesząc się na myśl o tym, że wcześniej dotykał ich Lucas Clairmont. Skarciła się w myślach za dziecięcą głupotę i naiwność.

Miała dwadzieścia pięć lat i niezmiennie irytowały ją egzaltowane debiutantki, które dawały się ponieść emocjom, tymczasem zachowywała się teraz jak jedna z nich. Zauważyła leżące na parapecie zaproszenie na mający się odbyć nazajutrz bal u Cholmondeleyów. Czy Amerykanin tam przyjdzie? Może zaprosi ją do tańca? A może znów ujmie jej dłoń?

Odwróciła się w stronę służącej, która nadeszła, by pomóc jej przygotować się do snu.

## Rozdział trzeci

Lucas spędził ranek u Horatia Thackeraya, prawnika, podpisując liczne dokumenty. Irytowała go każda parafka składana na stronie tekstu.

Nie zależało mu na majątku Woodruff Abbey w Bedfordshire. Wydawało mu się, że krzyki konającej żony są tu znacznie donośniejsze niż w Charlottesville w stanie Wirginia, gdzie dokonała żywota. Powracały do niego w bolesnych wspomnieniach nieustannie od czasu, gdy ją zabił.

Nie chciał tego domu ani zgromadzonych w nim dóbr. Najchętniej uciekłby stąd jak najdalej. Zmusił się do uśmiechu, starając się odgonić upiory przeszłości.

- Czy zamierza pan obejrzeć majątek?

- Niewykluczone - odpowiedział wymijająco.

- Pytam jedynie po to, aby poczynić plany na wypadek, gdyby życzył pan sobie, bym mu towarzyszył.

- Dziękuję, to nie będzie konieczne. - Pomyślał, że jeśli nawet wybierze się do Woodruff Abbey, wolałby być tam sam.

- Tamtejsza służba wciąż otrzymuje regularne wynagrodzenie z dochodów za dzierżawę gruntów, ale, prawdę mówiąc, majątek znajduje się w nie najlepszym stanie.

- Rozumiem. - Lucas chciał zabrać papiery i jak najszybciej opuścić kancelarię, aby dłużej nie rozmawiać o schedzie nieżyjącej żony.

- W majątku mieszkają dzieci siostry pańskiej żony. Ich matka zmarła pod koniec ubiegłego roku. Napisałem do pana...

Lucas uniósł wzrok.

- Nie otrzymałem żadnej wiadomości.

Prawnik przejrzał leżącą na blacie biurka stertę dokumentów i po chwili podał Lucasowi kartkę papieru.

- Czy to pańskie pismo? - zapytał, unosząc brwi.

Spojrząwszy na swój podpis, Lucas skinął głową.

- Ile lat mają dzieci?

- Osiem i dziesięć. To dziewczynki.



- A gdzie jest ich ojciec?

- Wyjechał z Anglii dość dawno temu i jak dotąd nie powrócił. Słyszał z brutalności i podejrzewam, że najprawdopodobniej spoczywa gdzieś w jakimś bezimiennym grobie. Charity\* i Hope\* są dziewczynkami godnymi swych imion, a gdy osiągną pełnoletność, stracą prawa do korzystania z dochodu, jaki przynosi Woodruff Abbey.

\* *Charity* - (j.ang.), miłosierdzie, (przyp. red.).

\* *Hope* - (j.ang.), nadzieja, (przyp. red.).

Lucas odłożył pismo na stół. Był z siebie niezadowolony. Dokuczała mu świadomość, że zamierza wypełnić swą powinność jedynie do pewnego stopnia, a potem wyrzec się wszelkich związków ze sprawą. Niejednokrotnie obserwował takie zachowanie u ojca. Rodzic dumnie podkreślał swoje zasługi w sumiennym wykonywaniu obowiązków, by zyskać poklask. Los podległych mu ludzi niewiele go obchodził.

Niespodziewanie pomyślał o Lillian Davenport. Poprzedniego wieczoru, gdy przesuwał palcami po alabastrowej skórze jej nadgarstka, poczuł, jak bardzo go pociąga. Zanim odwróciła się i uciekła, zdążył zobaczyć lekki rumieniec barwiący jej policzki.

Panna Davenport w żadnym razie nie była zimna jak lód, a jej zasady moralne kruszyły się w zetknięciu z jego pożądaniem. Pragnął jej; chciał ująć jej twarz w dłonie, całować usta, przyciągnąć do siebie, by poczuć przy sobie całe jej ciało.

Na litość boską, czyżby tracił rozum? Nie powinien był zaczepiać jej na balkonie. Niepotrzebnie się z nią droczył i muskał jej dłoń. Lillian Davenport była dumną, uczciwą kobietą i powinien trzymać się od niej z daleka. Nie będzie to łatwe, ponieważ udało jej się ożywić uczucia stłumione brzemieniem winy.

Lucas powrócił do rzeczywistości. Popatrzył na księgi prawnicze i niezliczone tomy akt wypełniające półki ustawione pod ścianami kancelarii. Blade słońce oświetlało zakurzone grzbiety. Horatio Thackeray właśnie omawiał procedurę przeniesienia prawa własności.

Woodruff Abbey należało do Lucasa. Przekreślił złotą ślubną obrączkę na palcu i docisnął ją aż do bólu.

Lillian popijała popołudniową herbatkę w lokalu przy Regent Street wraz z Anne Weatherby i jej mężem Allenem. Po chwili zjawił się jego brat Alistair, wysoki i przystojny młodzieniec.

- Już od kilku lat mieszkam w Edynburgu - wyjaśnił, gdy Lillian spytała go, dlaczego nie spotkali się wcześniej. - Mam tam dom, a wolę spokojniejsze tempo życia. - Patrząc przez okno na mężczyznę, usiłującego umocować choinkę w witrynie swego sklepu, roześmiał się i dodał: - Trzeba przyznać, że królowa Wiktorja zadbała o odpowiednią oprawę świąt Bożego Narodzenia. Czy pani też udekoruje drzewko, panno Davenport?

- Owszem, i to niejedno, panie Weatherby. Zazwyczaj są u nas trzy a nawet cztery choinki.

- Muszą to być cudeńka, sądząc po tym, co moja bratowa mówi na temat pani gustu. - Uśmiechnął się i przysunął do Lillian. - Jeśli wolno mi pozwolić sobie na taką śmiałość... Chciałbym, aby pozwoliła mi pani towarzyszyć Anne, gdy przyjdzie do pani zobaczyć te wspaniałe bożonarodzeniowe drzewka.

Lillian zdała sobie sprawę, że szwagier Anne z nią flirtuje. Szybko odwróciła wzrok. Zerknąwszy na przyjaciółkę, utwierdziła się w przekonaniu, że Alistair dołączył do nich nieprzypadkowo. Oto podstawiono jej pod nos kolejnego kandydata na męża. Jeszcze jeden absztyfikant pragnął zawrzeć z nią bliższą znajomość. Wystarczyło tylko, aby jej się spodobał. W tym rzecz.

W drodze do powozu Anne wzięła ją pod rękę.

- Jesteś milcząca, Lillian.

- Mam mnóstwo spraw do przemyślenia.

- Żywię nadzieję, że wśród jest Alistair? - szepnęła Anne. Gdy odpowiedziało jej milczenie, dodała głośniejszym głosem: - Nie sądzisz, że jest godnym konkurentem Wilcox-Rice'a? Dorównuje mu majątkiem, a Szkocja jest bardzo piękna.

Choinka na wystawie została w końcu ustawiona prosto, co zgromadzeni przed sklepem powitali radosnymi okrzykami. Ta scenka przypomniała Lillian o warunku postawionym przez ojca: musi znaleźć narzeczonego do świąt Bożego Narodzenia.

- Nie jestem jeszcze tak zdesperowana, by wiązać się z nieznanym, choćby był chodzącym ideałem - powiedziała. - Byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie próbowała mnie uszczęśliwić na siłę.

Bez troski nastrój się ulotnił. Lillian dostrzegła cień poirytowania w oczach przyjaciółki. Nie miała jednak ochoty jej przeproszać. Nie była w dobrej formie. Źle spała. Przewracała się na łóżku, rozmyślając o ciemnowłosym Amerykaninie. Wydawało jej się, że czuje dotyk jego kciuka na swym nadgarstku i widzi spojrzenie, które jej posłał, wychodząc z sali w towarzystwie przyjaciół.

Znani jej młodzieńcy nie mogli się równać z Lucasem Clairmontem. Byli niczym robaczki świętojańskie obok słońca. Ten mężczyzna, tak niepodobny do dżentelmenów ze środowiska, w którym się obracała, obudził w niej zmysłową kobietę. Głęboko zaczerpnęła tchu, a po chwili, już opanowana, uprzejmie odpowiedziała na jakieś pytanie zadane przez Alistaira.

## Rozdział czwarty

Lillian postanowiła olśnić swym wyglądem uczestników balu u Cholmondeleyów. Poprosiła o przygotowanie ulubionej białej sukni z atlasu z szeroką spódnicą ozdobioną koronką i tiulowymi kwiatami oraz prostym, wdzięcznym trenem z błyszczącego jedwabiu. We włosy kazała wpleść sznur brylancików, doskonale komponujących się z błyszczącymi guzikami stanika. Niezmiernie rzadko decydowała się na tak wiele ozdób. Wolała skromniejszy styl i niemal zawsze występowała w bieli.

Bał trwał już w najlepsze, gdy po dziesiątej wieczorem zjawiła się w domu Cholmondeleyów w towarzystwie ojca i ciotki. Wszystkie drzwi pokojów na pierwszym piętrze stały otworem. Parkiet w głównym salonie lśnił, wypolerowany na wysoki połysk. Na podwyższeniu zajęli miejsca liczni członkowie orkiestry; w sali tłoczyło się ponad czterysta osób.

- James Cholmondeley chce za wszelką cenę udowodnić, że jest ważną osobistością i jest popularny - powiedział cicho Ernest Davenport, gdy weszli do środka. - Miejmy nadzieję, że zadbał o odpowiedniej jakości szampana.

- Zapewne hołdują zasadzie, że w Londynie należy dać się zapamiętać, nieważne, ze złej czy z dobrej strony. - Ciotka Jean wypowiedziała te słowa tonem głośniejszym, niż wypadało. - Mam nadzieję, że twoja suknia nie zostanie podeptana w tłumie i nie zabrudzisz satynowych pantofelków. - Uniosła wzrok. - Na szczęście zastąpili świece w żyrandolach lampami, tak więc przynajmniej nie grozi nam pożar.

Lillian nie słuchała niekończących się utyskiwań ciotki. Jej zdaniem salon, ozdobiony jasnożółtymi wstęgami i świeżymi kwiatami, wyglądał pięknie. Szczególnie przypadły jej do gustu herbaciane róże. Zastanawiała się, czy Lucas Clairmont jest już obecny na sali. Był tak wysoki, że powinna bez trudu wypatrzeć go w tłumie.

Podskoczyła, gdy John Wilcox-Rice ujął ją za ramię.

- Czekałem na panią, Lillian. Myślałem, że spotkam panią na balu u MacLayów w Mayfair.

- Byliśmy u Mannersów przy Belgrave Square.

- Miałem ochotę tam pójść, ale Andrew MacLay jest moim serdecznym przyjacielem i obiecałem, że przyjdę. - Gdy rozległy się dźwięki doskonale zestrojonych instrumentów, spojrzął w stronę orkiestry. - Niedługo zagrają kadryla. Czy mogę poprowadzić panią na parkiet?

Perspektywa tańca z Wilcox-Rice'em nie ucieszyła Lillian. Zmusiła się jednak do uśmiechu.

- Oczywiście - odparła, wpisując nazwisko do karnety.

Tańczony w spacerowym tempie kadryl stwarzał jej szansę przyjrzenia się uczestnikom balu. Uznała, że Lucas Clairmont, jako nieznany szerszemu ogółowi, nie może zająć miejsca u szczytu sali. Zastanawiała się, czy Amerykanin zna wymogi etykiety. Czy zdawał sobie sprawę, że jeśli zajmie nieprzystługujące mu miejsce, czeka go towarzyski ostracyzm? Nie posiadała się ze zdumienia, że sprawy, które dotychczas nie zaprzętały jej uwagi, stały się nagle niezmiernie istotne.

Nie udało jej się wypatrzeć Lucasa. Być może grał w karty - pokój gier musiał znajdować się na tym samym piętrze. Rozwinęła wachlarz i zaczęła nim poruszać, chłodząc twarz. Miała nadzieję, że gdy Lucas nadejdzie, uda jej się powściągnąć emocje.

Po chwili zaproszono gości do kadryla. Lillian udała się ku wejściu do sali, wymieniając po drodze niezobowiązujące uwagi z innymi uczestnikami przyjęcia, co stanowiło nieodłączną część tanecznego rytuału.

Nieznacznie uniósłszy spódnicę, wykonała powolne kroki w przód i w tył, umożliwiające prowadzenie rozmowy.

- Zostanie pani w Londynie przez cały okres świąteczny? - spytał Wilcox-Rice.

- W pierwszym tygodniu stycznia zamierzamy wyjechać do Fairley i zabawimy tam aż do lutego. Papa chce zobaczyć, jak spisują się nowe wierzchowce. Pragnie, by jego koń wziął udział w gonitwie Epsom w przyszłym roku. Zatrudnił sławnego dżokeja. A jakie są pańskie plany? - zapytała jedynie z uprzejmości.

- Pani ojciec zaprosił mnie do Fairley po święcie Trzech Króli. Nie wspomniał o tym?

Lillian pokręciła głową.

- Jeśli życzy pani sobie, żebym odmówił, wystarczy mi powiedzieć.

Kolejne figury tańca, oddalające ją od Johna Wilcox-Rice'a, na chwilę wybawiły ją z kłopotu. Starszawy dżentelmen, naprzeciw którego się teraz znalazła, uśmiechnął się do niej, ale nie odezwał się ani słowem, za co była mu głęboko wdzięczna.

Lucas obserwował Lillian Davenport ze swego miejsca. Na wpół ukryty stał za kolumnami na obrzeżach salonu. Widział, jak wchodziła, jak otoczyli ją mężczyźni, prosząc o taniec, a Wilcox-Rice chwycił ją za ramię, by odegnąć konkurentów. Był tam też jej ojciec - pokazał mu go Nathaniel - i starsza kobieta, zapewne krewna. Mówiła, co chwila unosząc wzrok. Lucas domyślił się, że chodzi jej o oświetlenie sali. Lillian jak zwykle prezentowała się nienagannie - elegancko i nieprzystępnie. Zauważył, że kobiety zerkają ukradkiem na jej ozdobną białą suknię, której fałdy tworzyły intrygujące światłocienie.

Jak dotąd, widywał Lillian tylko w bieli doskonale komponującej się z jej alabastrową cerą i jasnymi włosami. Uśmiechnął się, nagle zdając sobie sprawę z tego, że dotąd nie zwracał uwagi na kobiece stroje. Wolał nie myśleć, o czym świadczy ta niespotykana u niego spostrzegawczość. Odwrócił wzrok od tańczących kadryła. Angielskie elity traktowały siebie i swoje zwyczaje ze śmiertelną powagą. W Wirginii nie przykładano takiego znaczenia do tych niepisanych kodów społecznych zachowań. Nie zamierzał jednak nikogo przekonywać do swych racji. Za niespełna dwa miesiące wsiądzie na statek i wróci do Ameryki, a cudaczne figury tańców wyższych warstw angielskiego społeczeństwa pozostaną jedynie dalekim wspomnieniem.

Usłyszał obok siebie podekscytowane kobiece głosy. Po chwili Nathaniel przedstawił mu dwie urodziwe siostry Parker. Starsza położyła Lucasowi rękę na ramieniu i wskazała na puste miejsca w swoim karnecie.

- Mam jeszcze wolną polkę. Gdyby chciał mnie pan poprosić...

Nathaniel roześmiał się.

- Lucasie, odkąd tu przyszliśmy, jestem zmuszony bronić cię przed adoratorkami. Błagam, zechciej spędzić resztę wieczoru tak, żebym nie musiał zajmować się mediacjami i ćwiczyć się w sztuce dyplomacji.



Zapędzony w ślepią uliczkę, Lucas wyraził zgodę na taniec, chociaż obawiał się, że nie pamięta kroków polki. Mgliście przypominał sobie, że są skomplikowane i nie tak szybkie jak w galopie. Żałował, że w dzieciństwie nie przykładał się do nauki tańca, nie mówiąc już o tym, że wolałby teraz mieć za partnerkę Lillian Davenport.

Młodsza z sióstr, wzorem starszej, wyciągnęła ku niemu karnet. Poczował ulgę, kiedy w końcu sobie poszły. Nie miał za dużo czasu, a nie chciał zostawać w Anglii ani jednego dnia dłużej, niż było to konieczne.

Kątem oka zauważył, że Lillian skończyła tańczyć kadryla i skłoniła głowę przed partnerem. Liczył na to, że Wilcox-Rice odejdzie, a on będzie mógł chociaż przez chwilę porozmawiać z najpiękniejszą kobietą na sali. Jednak gdy kolejny mężczyzna poprosił Lillian do walca, Lucas poddał się i przeszedł do sąsiedniego pokoju, aby się posilić.

Mając za sobą połowę zaplanowanych tańców, Lillian czuła ogarniające ją zmęczenie. Celowo wpisała w karnecie wymyślone inicjały obok dwóch walców na wypadek, gdyby Lucas Clairmont chciał z nią zatańczyć. Około północy zaczęła jednak tracić nadzieję.

Sir Richard Graham, mężczyzna, który kilka lat temu bezskutecznie zabiegał o jej względy, poprosił ją do trzeciego galopu. Zająwszy swoje miejsce w kole, niespodziewanie poczuła mrowienie w karku. Była przekonana, że na sali pojawił się Lucas. Podobnie zareagowała na jego widok u Lenningtonów.

Postąpiła cztery kroki w przód. Sir Richard ujął jej lewą dłoń. Gdy się cofnęli, jakby od niechcienia obejrzała się przez ramię. Od Lucasa dzieliły ją trzy lub cztery pary. Towarzyszył urodziwej dziewczynie, młodszej z sióstr Parker, i sprawiał wrażenie niezmiernie zadowolonego. Jego partnerka była w siódmym niebie. Świadczyły o tym zaróżowione policzki, oczy błyszczące ożywieniem oraz urocze dołeczki w uśmiechniętej twarzy.

Lillian nabrała podejrzeń, że Lucas bawi tu już od dłuższego czasu i po prostu nie zadał sobie trudu, aby zamienić z nią choćby słówka. Najprawdopodobniej nie odwzajemniał jej zainteresowania. Szybko postąpiła kilka kroków, doganiając tańczącą przed nią parę. Graham ścisnął jej dłoń, dając znak, by zwolniła. Z trudem zmusiła się do opamiętania. Postanowiła zachowywać się tak, jakby Lucasa Clairmonta nie było na parkie-

cie. Uznała, że jednak nie powinna się zadawać z tym nieokrzesanym Amerykaninem, który zagrażał jej reputacji.

Po niedługim czasie odzyskała spokój i pewnie wykonała kolejne figury tańca. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie w stronę Lucasa i jego mrugnięcie okiem, by straciła głowę. Szybko się odwróciła, starając się uważnie słuchać tego, co mówił do niej partner. Udawała wesołą i beztroską, choć była od tego jak najdalsza. Kiedy taniec dobiegł końca, dygnęła i pozwoliła, by Graham ujął ją za rękę i zaprowadził do ciotki.

- Masz czerwone policzki, moja droga - powiedziała Jean, wypiwszy ostatni łyk lemoniady z okazałej szklanki, i sięgnęła po cukierek truskawkowy.

Rozległy się pierwsze dźwięki walca.

Lillian popatrzyła w karnet, na wpisane przez siebie fikcyjne inicjały.

- Twój partner do tańca wyraźnie się spóźnia. - Ciotka Jean niespokojnie rozejrzała się dookoła. - Ooo, już jest.

Lillian uniosła głowę i ujrzała Lucasa Clairmonta. Nie była w stanie oderwać wzroku od jego oczu o barwie bursztynu.

- Panno Davenport - powitał ją, po czym zwrócił się w stronę ciotki. - Pani.

Ciotka z wrażenia otworzyła usta. Cukierek truskawkowy zabarwił jej język na niepokojąco czerwony kolon

- Ciociu, pozwól, że przedstawię ci pana Lucasa Clairmonta z Ameryki. Panie Clairmont, to jest moja ciotka, lady Taylor-Reid.

Lucas skłonił głowę.

- Miło mi panią poznać.

Starsza pani się zarumieniła.

- Od jak dawna bawi pan w Anglii, panie Clairmont?

- Przyjechałem przed kilkoma tygodniami.

- Podoba się tu panu?

- Bardzo - odparł, patrząc na Lillian.

Rozległy się dźwięki walca i Lillian pozwoliła Lucasowi poprowadzić się przez ludzką ciżbę na parkiet. Mocno otoczył ją ramieniem w pasie. Miała wrażenie, że jego ręka ją parzy. W Anglii pary zachowywały stosowną odległość w tańcu, jednak Amery-

kanie najwyraźniej mieli inne zwyczaje, gdyż Lucas przyciągnął ją do siebie, a drugą ręką chwycił jej dłoń.

- Myślałem, że nie uda mi się zatańczyć z tobą walca, Lillian. Jak to możliwe, że nikt nie zapisał się u ciebie na najpiękniejszy taniec wieczoru?

Postanowiła nie zwracać uwagi na to, że zwrócił się do niej po imieniu. Miała nadzieję, że nikt oprócz niej tego nie słyszał.

- Zaszło nieporozumienie - odpowiedziała, poddając się płynnemu wirowaniu.

Lucas okazał się dobrym tancerzem. Nic dziwnego, że siostry Parker były nim zachwycone.

- A może są jeszcze inne wolne miejsca w karnecie?

Roześmiała się, rozbawiona jego szczerością.

- Prawdę mówiąc, mam wolny także i drugi walc.

- Proszę mnie natychmiast wpisać - powiedział, zmuszając ją do obrotu.

Jeszcze nigdy nie czuła się w tańcu tak radośnie i pewnie. Wirowała jak w uniesieniu. Widziała zarys mięśni Lucasa pod czarną tkaniną fraka, czuła siłę jego potężnych ud. Ten mężczyzna nie wychował się w salonach. Trudnił się pracą. Jego strój dowodził co najwyżej umiarkowanego zainteresowania modą. Frak mógłby mieć lepszy krój, a czarne buty były wykonane z matowej skóry. Lucas miał fular związany w prosty węzeł i nie włożył rękawiczek. Uczynił więc lekki ukłon w stronę konwenansów, a jednocześnie pokazał, że obca jest mu wszelka dandysowość.

Żałowała, że nie zdjęła rękawiczek, by lepiej czuć dotyk jego ręki, gdy wypowiedział słowa, które gwałtownie wprowadziły ją na ziemię.

- Niedługo wracam do Wirginii. Pod koniec grudnia zamierzam wsiąść na statek, i jeśli morze będzie spokojne, w połowie lutego będę już w Hampton.

- Mieszka pan w Hampton? - zapytała, siląc się na obojętny ton.

- Nie. Mieszkam nad rzeką James, w pobliżu Richmond.

- A pańska rodzina?

Nie odpowiedział i posmutniał. Po chwili milczenia postanowiła zastosować inną taktykę.

- Miałam kiedyś przyjaciółkę, która wyjechała z Londynu do Filadelfii. To gdzieś niedaleko?

- Powiedzmy, że niedaleko... - rzekł, okręcając ją po raz ostatni przed umilknięciem muzyki. Skłoniwszy się, zapytał: - Czy mogę odprowadzić panią do ciotki? Pani ojcu najwyraźniej nie spodobał się styl mojego tańca.

Lillian uśmiechnęła się. Nie spojrzała na ojca, obawiając się, że każe jej wracać do domu.

- Nie, dziękuję. Nie jadłam kolacji i jestem głodna.

Dała Lucasowi wybór. Gdyby miał ochotę odejść, mógł to uczynić pod byle pretekstem, a jeśli chciał towarzyszyć jej w jadalni, wystarczyło podać jej ramię. Była zadowolona, że wybrał tę drugą możliwość i poprowadził ją do sąsiedniej sali.

Nie miała pojęcia, co powinna teraz powiedzieć. Wiadomość o tym, że Lucas już niedługo zamierza wrócić do Ameryki, zbiła ją z tropu. Zauważyła, że siostry Parker i ich przyjaciółki uważnie się jej przyglądają. Podziękowała Lucasowi za podany jej talerz. Sam nie chciał się posilać. Sięgnął po szklanekę z lemoniadą.

- Zamierza pani spędzić Boże Narodzenie w Londynie? - Zadał to pytanie obojętnym tonem.

Poczuła rozczarowanie, wspominając wyjątkowe porozumienie, jakie wywiązało się między nimi w czasie poprzedniego spotkania.

Kiwnęła głową.

- Zazwyczaj wyjeżdżamy do Fairley Manor, naszej wiejskiej posiadłości w Hertfordshire, w pierwszym tygodniu stycznia.

Uśmiechnął się i natychmiast powróciła dawna atmosfera.

- W weekend, zaczynający się dwudziestego listopada, Nathaniel Lindsay wydaje przyjęcie w swojej wiejskiej posiadłości w Kent. Będzie tam pani?

- Hrabia St Auburn? Nie wiem, czy otrzymam zapro...

- Mogę je pani przysłać.

- To niestosowne.

- Ale przyjedzie pani?

Nie przysunął się do niej, nie ściszył intymnie głosu, nie dotknął jej ręki ani się o nią nie otarł, choć łatwo mógł to uczynić w zatłoczonej jadalni. Tym przyjemniej zaskoczyła ją rozmowa o zaproszeniu.

Nadejście hrabiny Horsham uniemożliwiło odpowiedź. Lucas szybko się czymś wymówił i odszedł. Lillian została ze wzrokiem utkwionym w pozbawiony smaku herbatnik leżący na talerzu.

Alice, hrabina Horsham, odprowadziła Lucasa wzrokiem, uśmiechając się złośliwie.

- Słyszałam, że byłaś świadkiem jego potyczki z twoim kuzynem? Znasz tego mężczyznę, Lillian? Wiesz coś na temat jego rodziny? Gdzie on mieszka?

- Wiem bardzo niewiele. Jest przyjacielem hrabiego St Auburna.

- Doszły mnie słuchy, że po śmierci żony odziedziczył znaczny majątek. Niektórzy mówią, że chce sprzedać posiadłość i wyjechać. Będzie teraz mógł bez ograniczeń oddawać się hazardowi. Nieżyczliwi szepcą, że zabił swoją żonę, by wejść w posiadanie majątku, i że w posiadłości mieszkają już jego dzieci z nieprawego łoża.

- Pragnie mnie pani przestrzec, hrabino?

- A powinnam?

- Nie. - Lillian ugryzła herbatnik o smaku cytrynowym i popiła mrożoną herbatą. Uświadomiła sobie, że od dłuższego czasu jest starannie obserwowana.

Oczywiście nie mogła jechać do Kent, mimo iż bardzo jej na tym zależało. Wymawiając się bólem głowy, zakończyła rozmowę z hrabiną i poszła odszukać ciotkę.

Lucas zobaczył, że Lillian opuszcza salę, choć bal trwał w najlepsze. Zrozumiał, że nie jest im pisane zatańczenie drugiego walca. Mąż hrabiny Horsham, z którym spotkał się kiedyś przy karcianym stoliku, był plotkarzem. Zapewne pogłoski o fatalnej reputacji Lucasa zdążyły dotrzeć do Lillian. Domyślał się, że cnotliwa panna nie będzie tolerować niemoralnego zachowania. Powinien być z tego zadowolony. Dobrzy ludzie mieli dane przez Boga mechanizmy obronne, odstraszające ludzi takich jak on.

Kiedy starsza z sióstr Parker zastąpiła mu drogę, przymawiając się o następny tańiec, z uśmiechem poprowadził ją na parkiet.

Po powrocie do domu Lillian przejrzała zaproszenia pozostawione na stoliku w holu. Nie znalazłszy liściku od hrabiego St Auburna, poczuła ulgę. Nie będzie musiała walczyć z pokusą. Los postanowił oszczędzić jej jałowych rozmyślań, a być może także i bólu złamanego serca. Wychodząc z sali, zobaczyła Lucasa Clairmonta flirtującego z urodziwą dziedziczką Parkerów, w towarzystwie której widziała go już wcześniej tego wieczoru. Uśmiechał się do niej szeroko, tak jak do Lillian.

Gdy znalazła się w sypialni, wyszarpnęła gałązkę ognika z wazonika ustawionego na stoliku przy łóżku i rzuciła ją w ogień buzujący w kominku. Kilka jagódek oderwało się po drodze. Uniosła je i z wściekłością zdusiła w palcach, po czym z chorobliwym zadowoleniem patrzyła, jak czerwony sok ścieka po jej dłoni.

Postanowiła zaprosić nazajutrz Wilcox-Rice'a i zmusić się do okazania mu przychylności. Powinno to zadowolić jej ojca i rozwiać obawy ciotki, która przez całą drogę do domu raczyła ją opowieściami o tragicznych skutkach mezaliansów, doprowadzających kobiety do ruiny.

Zastanawiała się, jak wiele jej ojciec powiedział swej jedynej siostrze na temat upadku żony. Była zadowolona, że ciotka Jean nie wspomniała o tym ani słowem. Lillian pragnęła odzyskać równowagę umysłu, spokój i opanowanie, a w tym celu musiała trzymać się z dala od Lucasa Clairmonta.



## Rozdział piąty

Woodruff Abbey w Bedfordshire był starym domem, wzniesionym pod koniec szesnastego lub na początku siedemnastego wieku, gdy triumf święciła architektura inspirowana sztuką klasyczną. Obecnie budynek znajdował się w opłakanym stanie. Kolumny w portyku były wyszczerbione, wiele okien zabito deskami. Zastanowiło to Lucasa - dochód z majątku pozwalał na pokrycie kosztów jego utrzymania. Tak twierdził jego adwokat, Thackeray. Dlaczego więc Woodruff Abbey był tak zapuszczony?

Przystanął u wejścia i popatrzył na ogród rozciągający się od domu po leżący w dole park. Hałaśliwy, brudny Londyn wydawał się bardzo odległy. Z rozkoszą wciągnął do płuc rześkie powietrze. Odniósł wrażenie, że opuszcza go napięcie, nieustannie towarzyszące mu przez ostatnie lata. Elegancki w swym zniszczonym pięknie budynek i jego zaniedbane otoczenie podziały nań kojąco.

Drzwi niespodziewanie się otworzyły i stanął w nich stary mężczyzna w kapeluszu głęboko nasadzonym na głowę. Popatrzył na Lucasa wilgotnymi oczami człowieka tracącego wzrok.

- Czy mógłbym w czymś pomóc? - spytał z zaskakująco poprawnym akcentem.
- Nazywam się Lucas Clairmont. Pan Thackeray miał zapowiedzieć moją wizytę.
- Ten prawnik? Clairmont? Zdażył pan tu przyjechać?
- Tak, to ja. - Lucas cierpliwie czekał.

Mężczyzna nie ruszał się ze swego miejsca w drzwiach, zaciskając palce na framudze, tak jakby bał się, że upadnie.

- Pan Clairmont z Ameryki?
- We własnej osobie. - Z trudem powstrzymał gorzki śmiech. Czy w końcu zostanie zaproszony do wnętrza?
- Kto tam jest, Jack? Powiedz, że niczego nie potrzebujemy.

W progu stanęła wątła kobieta, równie leciwa, jak mężczyzna, szczelnie opatulona chustą. Na wąskim nosie chwiały się okulary.

- To pan Clairmont, Lizzie. Panie Clairmont, to moja żona, pani Poole.

Oczy pani Poole zrobiły się okrągłe, a zmarszczka na jej czole pogłębiła się.

- Otrzymaliśmy wiadomość, że zamierza pan przyjechać, ale nie spodziewaliśmy się... - Urwała.

Oboje przypatrywali się Lucasowi tak, jakby nie wierzyli, że przed nimi stoi.

- Czy mogę wejść?

To pytanie wyraźnie ożywiło staruszków. Drzwi zostały szeroko otwarte, a oni sami cofnęli się, by zrobić miejsce. Dzięki ogromnym oknom we wnętrzu było widno. Lucas zauważył, że podłogi są starannie wyszorowane, a balustrady schodów i meble - wypolerowane do połysku. Sądząc z panującego wewnątrz ładu i porządku, był to czyjś ukochany dom, który popadał w ruinę z powodu braku pieniędzy.

- Jesteśmy Jack i Lizzie Poole - wyjaśniła starsza kobieta, zamknawszy drzwi. - Służymy w tym domu już prawie pół wieku.

Lucas z uznaniem skinął głową.

- Gdzie są pozostali służący?

- Pozostali służący? - Jego pytanie najwyraźniej wprawiło państwa Poole'ów w zdumienie.

- Chodzi mi o kucharza, guwernantkę, pokojówki i stajennych. Gdzie się podziali?

- Od dłuższego czasu jesteśmy sami.

- Podobno mieszkają tu dzieci.

Ich oblicza rozjaśniły się, oczy zwilgotniały.

- O, tak. Panienki Charity i Hope. Dobre, kochane dziewczynki.

- Kto daje im lekcje?

- Nie mają nikogo oprócz nas.

- Czy to znaczy, że w tym domu mieszkają tylko państwo i dwie dziewczynki? Czy ta sytuacja trwa od wielu miesięcy?

- To już prawie rok, jak pieniądze przestały przychodzić. W końcu wszyscy stąd uciekli. My zostaliśmy ze względu na panienki.

Lucas głęboko zaczerpnął tchu. Postanowił udać się do Thackeraya natychmiast po powrocie do Londynu. Musiał się dowiedzieć, gdzie trafiają dochody z majątku.

- Gdzie są dzieci? Czy mogą zejść na dół?

- Na dół?

- Myślałem, że są na piętrze, w pokoju dzieciennym.

- Och, dziewczynki rzadko tu przebywają. W pogodne dni bawią się nad jeziorem, a jeśli pada, są w domku przy parku.

Roześmiał się. Dwie małe dziewczynki nieobciążone sztywnym gorsetem zasad angielskiej etykiety musiały być interesującym zjawiskiem. Jego dzieciństwo wyglądało bardzo podobnie. Miał brutalnego ojca, którego widywał niezmiernie rzadko i chorowitą matkę. Czułby się szczęśliwy, mając oparcie w staruszkach takich jak, ci dwoje.

Z holu dobiegł jakiś hałas. Odwróciwszy się, Lucas zobaczył chude, blade dziecko z ogromnymi niebieskimi oczami i krótkimi jasnymi włoskami. Nigdy jeszcze nie widział tak krótko ostrzyżonej dziewczynki.

- Charity - powiedziała pani Poole. - Wcześniej dziś wróciłaś. Proszę, podejdź tu i przywitaj się z panem Clairmontem. Przyjechał do nas z Londynu.

Dziewczynka nerwowo zagryzła dolną wargę i niespokojnie rozejrzała się na boki. Pańi Poole wzięła ją za rękę i lekko pociągnęła w przód.

- Od śmierci swojej mamy Charity nic nie mówi, ale z pewnością pana zapamięta.

Ta dziewczynka nie mówi? Lucas miał niewiele do czynienia z dziećmi i nie wiedział, jak powinien się teraz zachować.

- Chciałbym kiedyś zobaczyć twój domek wśród drzew - powiedział w końcu.

Kiwnęła głową. Na szczęście słuch miała dobry - nie musiała czytać z jego warg. Stała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Jej siostra, Hope, wróci dopiero po zmierzchu. Zostanie pan do tej pory?

Zastanawiał się, jak Hope spędza czas poza domem, jednak skoro tutejsi mieszkańcy nie zdradzali oznak niepokoju, powstrzymał się przed zadawaniem pytań.

- Zamierzam wyjechać dopiero jutro. Myślę, że powinniśmy poważnie porozmawiać o zaistniałej sytuacji.

Lizzie i Jack Poole'owie wymienili zaniepokojone spojrzenia, a Charity kurczowo ścisnęła dłoń opiekunki.

Lucas mógł się przekonać, że pomimo dotkliwego niedostatku mieszkańcy tego domu darzą się miłością.

- Jack zaprowadzi pana do pokoju, a ja pójdę do kuchni i przygotuję obiad. Charity, kochanie, pomożesz mi?

Dziewczynka uśmiechnęła się. W jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki, niebieskie oczy rozbliły się wesoło. Lucas pomyślał, że jest bardzo piękna, i natychmiast przyszła mu na myśl Lillian Davenport. Charity prezentowała podobną elegancję, mimo że miała na sobie o dwa rozmiary za małą i połataną sukienkę. Wstępując za Jackiem Poole'em na dębowe schody, zastanawiał się, jak wygląda Hope.

Pani Poole podała na obiad dwa gotowane dzikie ptaki, ziemniaki w misce i zielecinę, przypominającą wyglądem rzeżuchę uprawianą przez farmerów nad rzeką James.

- Bóg daje, Bóg zabiera - powiedziała sentencjonalnie, gdy usiedli przy stole w kuchni.

Ogień płonący w palenisku pozwalał cieszyć się ciepłem w ten chłodny dzień.

Hope wciąż przebywała na dworze. Jej miejsce przy stole było puste. Charity siedziała obok Lucasa, z rękami złożonymi na kolanach, cierpliwie czekając na modlitwę. Lizzie Poole długo dziękowała Bogu za życie i zdrowie, za otrzymane łaski i obfite dary ziemi, które mieszkańcy tego domu mogą spożywać dzięki Bożej szczodrobliwości. Lucas pomyślał, że Lizzie jest bardzo hojna w swej wdzięczności. Gotowane ptaszki wyglądały tak, jakby przeżyły zaledwie parę miesięcy, a w tym okresie niezmiernie rzadko się posilały. Cieszyły go jednak te szczerze słowa. Zastanawiał się, co powiedziałyby pani Poole na widok uginających się od jadła i napitku londyńskich stołów.

Gdy kończyli posiłek, drzwi otworzyły się i do środka weszła starsza z dziewczynek. Równie chuda, jak siostra, była poza tym do niej niepodobna: miała długie kasztanowe kędziory i ciemną cerę, ogorzałą od słońca i wiatru.

- Przepraszam, że się spóźniłam, Lizzie - powiedziała, gwałtownie przystając na widok Lucasa.

Gdy nań spojrzała, mógł podziwiać ogromne oczy o barwie szmaragdu. Choć prezentowała inny typ urody, była piękna, podobnie jak młodsza siostra.

- To jest pan Lucas Clairmont, Hope. Przyjechał dziś z Londynu, żeby zobaczyć się z tobą i twoją siostrą.

Hope i Charity wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Miło mi pana poznać. - Hope dygnęła w staroświecki sposób.

- Pani Poole powiedziała mi, że spędzacie mnóstwo czasu na świeżym powietrzu.

Co tam robicie?

- Łowimy ryby i zbieramy rzeżuchę. Jeśli dopisze nam szczęście, łapiemy zające i dzikie ptaki, a wiosną podbieramy ptakom jaja z niżej położonych gniazd.

- To wszystko znalazło się na stole dzięki wam? - Zatoczył łuk ręką.

- Nie wszystko. Zima to najtrudniejsza pora, ale od wiosny zbieramy jagody i grzyby, dzikie pomidory...

- Twoja siostra ci pomaga?

- Oczywiście! - Uśmiechnęła się, a druga dziewczynka kiwnęła głową. Charity sprawiała wrażenie bardziej zaniepokojonej niż przed kilkoma godzinami. Hope troskliwie się nią zajęła. Usiadła obok, podejmując z siostrą niemy dialog, zrozumiały tylko dla nich.

- Są bardzo zżyte. Gdyby ktoś chciał je rozdzielić...

- Zapewniam, że nie mam takiego zamiaru.

- Ten dom jest jedynym, jaki znają, i gdyby zostały stąd wyrzucone...

- Nie przyjechałem tu w tym celu.

- Ich matka była może trochę szalona, ale Charity i Hope nigdy nie dały nam powodów do niepokoju.

Lucas odłożył sztucce.

- Pan Thackeray zapewnił mnie, że dziewczynki mają doskonałą opiekę, taką, jakiej życzyłyby sobie ich matka i moja świętej pamięci żona. Gdybym wiedział o państwa kłopotach finansowych trwających Bóg raczy wiedzieć jak długo... - Urwał, widząc, że pani Poole drgnęła, gdy użył imienia Boga nadaremno. - Trwających już wiele miesięcy... - poprawił się. - Gdybym został o nich poinformowany, przyjechałbym wcześniej.

- Możemy tu zostać? - spytała Hope.

- Oczywiście, że tak. Zadbam o to zaraz po powrocie do Londynu.

Wyjeżdżał z Woodruff Abbey żegnany serdecznie przez wszystkich jego mieszkańców. Od Charity dostał na drogę ciepłe ziemniaki zawinięte w kawałek płótna.

Po przyjeździe do Londynu oznajmił starszawemu mecenasowi, Horatiowi Thackerayowi, że nie będzie więcej korzystał z jego usług prawniczych i podjął kroki mające na celu wyjaśnienie, gdzie znikają dochody z majątku. Zatrudnił Davida Kennedy'ego, młodego, przejętego swą rolą prawnika, cieszącego się coraz większym uznaniem w kręgach londyńskiej socjety.

- Chciałby pan, żeby majątek Woodruff Abbey został przekazany dzieciom, a do czasu osiągnięcia przez nie pełnoletności, oddany w zarząd powierniczy? - spytał David Kennedy z lekkim niedowierzaniem w głosie.

- Tak.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę z tego, że wraz z przekazaniem tytułu własności bezpowrotnie traci pan prawo do majątku i nie może już zmienić zdania?

- Jestem tego świadom.

- Życzy pan sobie również, by dochód z majątku był przekazywany na fundusz w celu zabezpieczenia środków na zarządzanie posiadłością; a także chce, by najęto służących, których zadaniem będzie pomoc starszym państwu w prowadzeniu domu?

- Tak.

- W takim razie, jeśli jest pan pewien, że takie jest pańskie życzenie i rozumie pan nieodwracalność tego wspaiałomyślnego gestu, proszę złożyć swój podpis w tym miejscu. To pozwoli mi przystąpić do działania. Skontaktuję się z panem w ciągu miesiąca, po sporządzeniu aktu własności.

Lucas szybko się podpisał, wsunął pióro do kałamarza i sięgnął po kapelusz.

- Jest jeszcze jeden warunek, panie Kennedy.

Prawnik sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Nie może pan o tym nikomu powiedzieć - rzekł Lucas.

- Nie chciałby pan, żeby dowiedziano się o pańskiej hojności?

- Zdecydowanie sobie tego nie życzę.

- Dobrze.

- I jeszcze jedno. Zamierzam przelać pieniądze z mojego londyńskiego konta na dostępne zarządowi powierniczemu na wypadek, gdyby pojawiły się kłopoty. Mieszkań-



cy Woodruff Abbey nie mogą ani przez chwilę cierpieć niedostatku. Gdyby pojawiły się problemy, proszę o pilny kontakt, żebym jak najszybciej mógł podjąć odpowiednie kroki.

- Oczywiście. Jestem bardzo zadowolony, mogąc z panem współpracować...

- Dziękuję - uciał Lucas.

Za dwie godziny czekał go pojedynek przy karcianym stoliku i w żadnym razie nie mógł się spóźnić. Zamierza udać się omnibusem na Piccadilly.

Lillian schowała pamiętnik do szafki przy łóżku, postanawiając, że nie będzie przelewać na papier rozważań na temat Lucasa Clairmonta.

Słyszała, że przed pięcioma dniami wyjechał z Londynu. Tak twierdziła żona Nathaniela Lindsaya, która była siostrą Anne Weatherby. Cassandra nie wiedziała jednak, dokąd się udał i kiedy wróci.

Zapewne zjawi się w Londynie przed piątkowym przyjęciem, pomyślała Lillian. Zastanawiając się, u kogo mógł by spędzić kilka dni, przypomniała sobie plotki zasłyszane od hrabiny Horsham. Potrząsnęła głową. Wydawało jej się nieprawdopodobne, by Lucas, jako człowiek niezbyt majątny, niedawno przybyły z Ameryki, utrzymywał w Anglii dom dla swoich dzieci z nieprawego łoża.

Lucas Clairmont był dla niej zagadką. Jego akcent zmieniał się przy kolejnych spotkaniach, w oczach kryło się coś niepokojącego. Z pewnością był indywidualnością, człowiekiem inteligentnym, pewnym siebie, niezależnym.

Zeszła do biblioteki znajdującej się na pierwszym piętrze i sięgnęła po książkę na temat Ameryki, kupioną przez ojca przed kilkoma laty. Wyszukała na mapach Wirginię, Hampton i Zatokę Chesapeake o poszarpanej linii brzegowej. Przy niebieskiej falistej linii oznaczającej rzekę James leżało Richmond, otoczone zielenią i długimi jezorami zatok. Zastanawiała się, jakie góry i doliny zna Lucas i czy odwiedził miasta położone na wschód i zachód od miejsca zamieszkania. Przed jej oczami przesuwały się nazwy: Charlottesville, Arlington, Williamsburg i Hope well. Nic nie wiedziała na temat tych miejscowości i mogła je sobie jedynie wyobrazić.

Z rozmyślań wyrwało ją pukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała.

- Przyjechał lord Wilcox-Rice ze swoją siostrą, lady Eleanor. Mówił, że zamierzają państwo wybrać się na zakupy - oznajmił kamerdyner.

- Która godzina? - spytała, zaniepokojona.

- Wpół do czwartej, panienko.

Lillian szybko wstała. Dzienna suknia była na tyle elegancka, że nie musiała się przebierać. Spojrzawszy w okno, z zadowoleniem stwierdziła, że wyszło słońce.

- Proszę, wprowadź ich do niebieskiego salonu i powiedz, że przyjdę za chwilę, tylko wezmę pelerynę i kapelusz.

Lillian bardzo lubiła Ellie Wilcox-Rice. To głównie pod jej wpływem zdecydowała się rozważyć możliwość zaręczyn z Johnem i pozwoliła innym na głośne snucie domysłów na ten temat.

Idąc Park Lane zaśmiewała się z opowieści Ellie o sobotnim balu w Kensington, który okazał się bardzo męczący.

- Żałuję, że nie wybrałam się na bal u Cholmondeleyów, mimo że podobno panował tam okropny ścisk. - Ellie westchnęła. - Jennifer Parker powiedziała mi, że przeżyła tam piękne chwile i tańczyła z Amerykaninem, w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia.

- Zapewne był to pan Lucas Clairmont - wtrącił John, czekając, aż damy obejrzą pięknie udekorowaną świąteczną wystawę. - Słyszałem, że wszystkim kobietom serca biją mocniej w jego obecności, ale nikt tak naprawdę nie wie, kim on jest.

- Czy twoje serce również biło mocniej, Lillian? - Ellie głośno się roześmiała.

- Oczywiście, że nie - odparł za nią John. - Lillian jest zbyt rozsądna, by się emocjonować widokiem mężczyzny.

- Jennifer twierdzi, że on jest bogaty i posiada w Ameryce ziemie rozleglejsze niż Ancaster; setki, tysiące akrów.

- Tak jej powiedział? - spytała Lillian, zaintrygowana.

- Nie. Jennifer po prostu uwielbia pana Darcy'ego z *Dumy i uprzedzenia* i wyobraża sobie, że Lucas Clairmont jest do niego podobny.

- W takim razie jest bardzo płocha i ma jeszcze mniej rozsądku, niż myślałem! - niespodziewanie wybuchnął Wilcox-Rice.

Lillian przeżyła zaskoczenie. Zazwyczaj John dostrzegał jedynie dobro i wyowiadał się wyłącznie na temat ludzkich zalet.

- Jennifer powiedziała mi również, że tańczyłaś z nim walca, Lillian.

- To prawda. O ile sobie przypominam, jest dobrym tancerzem.

- I nie wywarł na tobie większego wrażenia?

Lillian szybko uciekła wzrokiem w bok, mając wrażenie, że mocno bijące serce lada chwila wyskoczy jej z piersi. Już sama rozmowa na temat Lucasa sprawiała, że brakowało jej tchu. To było zupełnie do niej niepodobne!

- O wilku mowa! Coś mi się wydaje, że właśnie tu idzie. Chyba w towarzystwie lorda Hawkhursta - powiedział Wilcox-Rice.

Siostra chwyciła go za rękę.

- John, musisz mi go koniecznie przedstawić. Chciałabym wyrobić sobie własną opinię na jego temat.

Dwaj mężczyźni zmierzali w ich stronę; obaj wysocy i ciemnowłosi. Lucas Clairmont szedł z widocznym wysiłkiem, utykając. Gdy byli już blisko, Lillian domyśliła się powodu takiego stanu rzeczy. Lucas miał podbite oko i opuchniętą powiekę oraz ranę na nosie. Zauważyła, że tego dnia włożył rękawiczki. Domyśliła się, że po to, aby ukryć si-  
ne kostki dłoni.

- Wilcox-Rice. - Lord Hawkhurst skłonił głowę, po czym zaczął dokonywać prezentacji.

Kiedy nadszedł czas na Lillian, Lucas Clairmont nie dał po sobie poznać, że łączy ich coś więcej niż spotkanie na balu. Uniósł kapelusz tak samo jak przed Eleanor.

Tego dnia jedyne otwarte oko Lucasa było pozbawione zwykłego blasku, spoglądało na Lillian nieśmiało, jakby ze wstydem. Wypowiedział zaledwie kilka uprzejmych słów, a gdy lord Hawkhurst zakończył przedstawianie znajomych, skłonił się i odszedł wraz z nim.

- Hm... - mruknęła Eleanor, gdy mężczyźni oddalili się na tyle, aby nie słyszeć jej głosu. - Wygląda na to, że książę Jennifer miał wypadek.

- Raczej wdał się w kolejną bójkę - poprawił siostrę John. - Podobno pobił się z kimś na balu u Lenningtonów w zeszłym tygodniu.

- O! - Ellie odwróciła głowę za odchodzącymi. Lillian miała ochotę pójść za jej przykładem. - Z kim się bił? I dlaczego?

- Przy stolikach karcianych rodzą się wielkie emocje - pospieszył z odpowiedzią John. - A swoją drogą, Lillian, twój kuzyn ma opinię zawiadyki. Podobno już niejednemu „upiększył” twarz.

- Daniel? - Ellie skrzywiła się komicznie. - To niemożliwe. Przecież on ubiera się tak elegancko, że nie może się bić.

Lillian nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu i w doskonałych nastrojach doszli do Oxford Street.

- Teraz już rozumiem, czemu Jennifer Parker się w nim zadurzyła. Widziałeś kiedyś człowieka wyglądającego równie groźnie, jak Lucas Clairmont?

John gniewnie zmarszczył czoło, a siostra natychmiast zmieniła temat.

Coraz więcej sklepów usytuowanych przy Oxford Street prezentowało świątecznie udekorowane wystawy. Starsza kobieta z dzieckiem sprzedawali z taczki gałązki jemioli. Ellie pociągnęła za sobą Lillian i zaczęła przebierać wśród pęków jemioli, aż w końcu znalazła odpowiednio okazały.

- Podobno jeśli kobieta pocałuje mężczyznę pod jemiolą, spotka prawdziwą miłość. Jakie to urocze! Może powinnaś pocałować mojego brata pod jemiolą? Kupię gałązkę także dla ciebie.

Eleanor wręczyła kobiecie pieniądze, a w zamian otrzymała dwie brązowe paczuszki: pęki jemioli owinięte w gruby papier i związane sznurkiem. Gdy odchodziły, do taczki podeszła młoda para. Nie wyróżniali się modnym strojem i prawdopodobnie nie byli zamożni, lecz kiedy mężczyzna uniósł gałązkę jemioli i pokazał kobiecie, Lillian nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy.

Malowała się na niej miłość i uwielbienie. Gdy podał ukochanej pakunek, ich ręce zetknęły się na chwilę, a kobieta uśmiechnęła się bezgranicznie szczęśliwa. Można było odnieść wrażenie, że w ich świecie istnieli w tej chwili tylko oni dwoje.

Lillian poczuła ogarniającą ją tęsknotę. Od dawna marzyła o tym, by móc się cieszyć poczuciem bliskości. Gałązki jemioli przypominały o tym, czego dotkliwie jej bra-

kowało. Zapewne nigdy już tego nie znajdzie. Popatrzyła na Johna, upominającego siostrę za wydawanie pieniędzy na błahostki, i posmutniała.

Niosące radość i nadzieję święta Bożego Narodzenia w pewien sposób przeciwstawiają się działaniom czysto racjonalnym. To czas, w którym ludzie poddają się emocjom, odnawiają więzi rodzinne i przyjacielskie, hołubią świąteczny nastrój.

- Mam nadzieję, że nie podziela pani dzieciennych upodobań mojej siostry - powiedział John.

Lillian wsunęła brązowy pakunek do torby i odwróciła wzrok od wpatrzonych w siebie młodej pary, stojącej po drugiej stronie ulicy.

TLR

## Rozdział szósty

Następnego ranka, kiedy Lillian zeszła do biblioteki, aby ponownie zajrzeć do książki o Ameryce, zastała tam Daniela Davenporta. Kuzyn nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

- Już dawno z sobą nie rozmawialiśmy - powiedział burkliwym tonem, do którego zdążyła przywyknąć.

Przez ostatnie kilka lat Daniela nie było w Anglii, a po jego powrocie trudno im odnaleźć dawne porozumienie, jako że kuzyn niekorzystnie się zmienił.

- Czy mój ojciec wie, że tutaj jesteś?

- Tak. Szuka dokumentu, o który prosiła moja matka.

- Aha.

Daniel wertował leżącą na stole książkę o Ameryce.

- To wielki kraj. Byłem tam, na wschodnim wybrzeżu. Głównie w Waszyngtonie i w Nowym Jorku.

- To właśnie tam spotkałeś pana Clairmonta?

Zmarszczył czoło, zdziwiony, lecz po chwili domyślił się, z jakiego powodu zadała mu to pytanie.

- Prawda, widziałeś nas u Lenningtonów.

- Wczoraj spotkałam go na ulicy w towarzystwie Hawkhursta. Wyglądał tak, jakby brał udział w kolejnej bójce i pomyślałam...

Kuzyn nie pozwolił jej dokończyć zdania.

- Trzymaj się od niego z daleka, Lillian, bo Clairmont wpędzi cię w kłopoty.

Kiwnęła głową, a usłyszawszy kroki ojca w holu, z ulgą opuściła bibliotekę.

Tego popołudnia John Wilcox-Rice przyszedł sam, przynosząc Lillian okazały bukiet kwiatów. Podziękowała, myśląc o tym, że doskonale będą się komponowały z wystrojem jej pokoju.

Tego dnia John miał na sobie granatowy surdut, kamizelkę w jaśniejszym odcieniu, brązowe spodnie i modne buty wypolerowane na wysoki połysk. Musiała przyznać, że doskonale się prezentuje.



Po porannej rozmowie z kuzynem nie miała ochoty przeciwstawiać się losowi. Coraz częściej myślała o własnej rodzinie i dzieciach. Doszła do wniosku, że małżeństwo z Johnem Wilcox-Rice'em będzie dla niej korzystne, a może nawet okaże się całkiem udane. Jej ojciec i ciotka lubili go, a ona przyjaźniła się z jego siostrą Eleanor. Przypomniała sobie spotkanie wczoraj na Oxford Street zakochaną parę, lecz pierwsze wrażenie zachwytu zdążyło się zatrzeć w jej pamięci, ustępując miejsca rozsądkowi.

Kiedy John ujął jej dłoń, nie cofnęła się, ciesząc się miłym ciepłem jego ręki.

- Znamy się już całkiem długo, Lillian, i myślę, że gdybyśmy dali sobie szansę...

Był niezmiernie rad, gdy skinęła głową.

- Niedawno pytałem twojego ojca, czy mogę ubiegać się o ciebie, i wyraził zgodę. Chciałbym uzyskać takie pozwolenie od ciebie.

Przypomniała sobie ostrzeżenie wygłoszone dzisiaj przez Daniela Davenporta i opowieść hrabiny Horsham.

Trzymaj się z daleka od Lucasa Clairmonta, przestrzegła się w duchu. Nie szukaj kłopotów.

- Zostało sześć tygodni do świąt Bożego Narodzenia. Może w tym czasie moglibyśmy się przekonać, czy... - Nie dokończyła zdania. O czym chciała się przekonać? O tym, czy czuje pożądanie?

John pociągnął ją za sobą tak, że wstała. Gdy nakrył jej wargi ustami, odwzajemniła pocałunek, czekając, aż ogarnie ją podekscytowanie, lecz nic takiego nie nastąpiło. Odsunęła się rozczarowana i zobaczyła rozplomienioną twarz Johna.

- Na zawsze zapamiętam smak tej słodkiej obietnicy - zapewnił.

Usłyszawszy kroki służącej, niosącej tacę z herbatą, szybko się cofnął i usiadł w fotelu naprzeciwko Lillian. Na jego twarzy wciąż gościł uśmiech.

John Wilcox-Rice jest dobrym, uczciwym człowiekiem, pomyślała Lillian. Niestety, jego pocałunki nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia.

Tej nocy leżała w łóżku i płakała. Opłakiwała matkę, ojca i samą siebie, schwytaną w pułapkę zasad, konwenansów i etykiety.

Otrzymały od Johna bukiet kwiatów tkwił w wazonie ustawionym na stoliku przy łóżku. Lillian żałowała, że wrzuciła do kominka ciernistą gałązkę z pomarańczowymi

owocami. Wolałaby patrzeć na nią, a nie na bukiet o stonowanych barwach i delikatnym zapachu. Zażęknęła za mężczyzną, od którego ją dostała.

Jeśli wierzyć plotkom, żona Lucasa zmarła całkiem niedawno. Musiał to ciężko przeżyć. Zapewne dlatego oddawał się nałogom i brakowało mu pieniędzy. Zamknęła oczy, uniosła dłoń do warg i pocałowała ją tak, jak John Wilcox-Rice jej usta. Dziwiło ją, że nawet się przy tym nie poruszył. Jego spokój zdawał się wykluczać emocje, jakie spodziewała się przeżyć.

Jeszcze nigdy w życiu nikt jej nie pocałował i nie mogła uchodzić za znawczynię tematu, jednak instynkt podpowiadał jej, że pocałunek powinien łączyć się z czymś więcej, z tym o czym szeptano i co opiewano w książkach. Musiały istnieć uczucia, których nie doznała tego dnia w obecności Johna Wilcox-Rice'a. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i miała coraz mniej czasu na przekonanie się, czym naprawdę jest pocałunek.

Raptem przyszła jej do głowy szalona myśl.

Może jednak uda jej się poznać rozkoszny smak pocałunku? Gdyby zaprosiła Lucasa Clairmonta i zaproponowała mu pewną sumę za usługę i dyskrecję, mogłaby stać się bogatsza o piękne przeżycie. Uśmiechnęła się, próbując sobie wyobrazić scenę pocałunku.

Chciała kupić pocałunek!

W żadnym razie nie mogła sobie pozwolić na coś podobnego. Nie powinna zawierać żadnych umów z Lucasem Clairmontem. Nie wiedziała nawet przecież, czy może mu zaufać. Zastanowiło ją to, że nie doszła jej uszu żadna plotka na temat rozmowy, jaką odbyła z Wilcox-Rice'em na balkonie podczas balu u Lenningtonów w ich domu przy Belgrave Square. Najwyraźniej Lucas zachował dla siebie to, co niechcący podsłuchał. Poprzedniego dnia na ulicy udawał, że się nie znają. Nie wiedziała jednak, czy powodowała nim ostrożność, czy też ona, Lillian, była mu doskonale obojętna.

Myśląc o Lucasie, mocno przywarła wargami do dłoni i natychmiast przeszył ją dreszcz pożądania. Szybko usiadła, dotknęła plecami oparcia łóżka i podciągnęła kołdrę aż pod brodę.

Miała tylko jedną szansę, by się przekonać, jak smakuje pocałunek Lucasa Clairmonta. Od jej debiutu minęło blisko osiem lat i w tym czasie ani razu nie rozmyślała o żadnym mężczyźnie tak jak teraz o Amerykaninie.

Już za kilka tygodni przyrzeknie posłuszeństwo i odda swą niewinność mężczyźnie, którego pocałunki nie wzbudzały w niej żadnych emocji.

Zadała sobie w duchu pytanie, jak mogłaby przebiec rozmowa z Lucasem na temat pocałunku. Nie powinna mu się zwierzać z tego, co czuła po pocałunku Johna Wilcox-Rice'a. To byłoby nielojalne względem narzeczonego. Nie chciała się przyznać do tego, że powoduje ją ciekawość, lecz nie mogła się przecież zaprezentować jako kobieta rozwiązła. Czy mężczyźni potrafili dobrze całować, wiedząc, że porównuje się ich z innymi? Być może osłabiało to ich zapał?

Ile powinna mu zapłacić? Czy aby go nie obrazi, proponując pięćdziesiąt funtów? A może byłby jej za to wdzięczny? Czy zażądałby stu funtów, gdyby pocałował ją dwa razy?

Podobne rozmyślenia zajęły jej wiele nocnych godzin. Przez cały czas była świadoma tego, że Lucas wyjedzie z Anglii niedługo po Bożym Narodzeniu. Ta myśl stanowiła nawet pewne pocieszenie. Gdyby jej plan legł w gruzach, nie musiałaby unikać Lucasa na przyjęciach.

W pewnej chwili doznała olśnienia.

Przypomniała sobie jemiolę, kupioną na Oxford Street. Jeśli powiesi ją nad drzwiami i ustawi się tak, by znaleźć się pod nią, tuż obok Lucasa, będą mogli udawać, że pocałowali się pod wpływem nastroju chwili. Czy Lucas znał angielskie zwyczaje? Czy słyszał o pocałunkach pod jemiolą? Może powinna mu o tym powiedzieć?

Zegar w sypialni wybił drugą. Inne domowe zegary odpowiedziały mu jak echo. Czy Lucas Clairmont także nie mógł zasnąć, ze swym podbitym okiem i posiniaczoną nogą?

Odrzuciła kołdrę i podeszła do okna. Odsunawszy ciężkie kremowe zasłony, zapatrzyła się w mrok. Park Lane była cicha, nagie drzewa niewyraźnie rysowały się na tle ciemnego nieba. Tej nocy księżyc schował się za gęstymi, szarymi chmurami, kłębiącymi się na zachodzie.

Mam dwadzieścia pięć lat i nie znam smaku prawdziwego pocałunku, pomyślała z goryczą Lillian. Jeśli nie wykorzystam tej szansy, będę skazana na wieczne zastanawianie się. Pod wpływem impulsu usiadła przy biurku, wyjęła papier i kopertę, zanurzyła pióro w kałamarzu i zaczęła pisać list.

Lucas przeczytał otrzymany przed kilkoma minutami list już kilka razy, lecz wciąż nie wiedział, co ma o nim sądzić. Lillian Davenport chciała go poprosić o coś, co miało dla niej wielkie znaczenie, i zapraszała go na piętnastą. List przyniósł mu służący Stephena Hawkhursta, tak więc musiał zostać najpierw dostarczony do domu przyjaciela. Lokaj czekał na odpowiedź.

Lucas skreślił parę słów i sięgnął po pieczęć, której jak dotąd nie używał w Anglii.

- Proszę doręczyć ten list panie Davenport.

Młody służący kiwnął głową i pospiesznie się oddalił. Po jego wyjściu Lucas uniósł list od panny Davenport do światła i przeczytał go ponownie.

Lillian pragnęła z nim porozmawiać na jakiś ważny temat. Miała nadzieję, że przyjdzie sam. Zastanawiała się, czy w Ameryce są takie same tradycje bożonarodzeniowe jak w Anglii i czy są tam znane jemiola i ostrokrzew.

Zamyślił się. Znał się na drzewach i drewnie, lecz botanika nigdy nie należała do jego ulubionych przedmiotów. Wiedział, że ostrokrzew ma kolce i czerwone jagody, ale jemiola? Czy to aby nie ta roślina, którą damy dekorowały salony na Boże Narodzenie, by bezkarnie się pod nią całować? Niespodziewanie zaczął wyobrażać sobie pocałunek z Lillian.

Natychmiast skarcił się w myślach za snucie podobnych wizji. Panna Davenport wydawała się pozostawać w bliskich stosunkach z Wilcox-Rice'em, a on za kilka tygodni wyjeżdżał z Anglii.

Jednak myśl o pocałunku nie dawała mu spokoju. Dobrze pamiętał chwilę, w której trzymał dłoń Lillian. Był pewien, że pod maską chłodnej uprzejmości kryje się czuła kobieta otwarta na zmysłowe doznania.

Przeczesał włosy palcami i wzdrygnął się, dotknąwszy guza na potylicy. Kiedy trzy dni temu wracał nocą do domu, napadło na niego czterech mężczyzn i tylko woj-

skowe szkolenie, odbyte w przeszłości, pozwoliło mu się bronić do czasu przybycia pomocy.

Żałował, że dał się namówić na spacer, podczas którego spotkał Lillian i jej przyjaciół. Panna Davenport przyglądała mu się nadzwyczaj krytycznym wzrokiem i trudno ją było za to winić. Tajemnica, jaką owiany był jego pobyt w Anglii, zaczynała mu ciążyć. Chciałby powiedzieć Lillian, że nie jest awanturnikiem, że był żołnierzem i pozyskiwał drewno na dziewiczych terenach w Wirginii. Nie mógł jednak pozwolić sobie na pełną szczerość. Były w jego życiu sprawy i historie, o których ona nie powinna wiedzieć.

Mimo wszystko po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł przyjemne podekscytowanie i przyływ sił.

Lucas wszedł do żółtego saloniku na parterze, gdzie oczekiwała go zarazem podekscytowana i zakłopotana Lillian. Jak zwykle emanował energią, choć wciąż utykał, a sińce wokół oka pociemniały.

- Panna Davenport! - Skłonił głowę, trzymając list w ręku.

- Pan Clairmont.

Zapanowało krępujące milczenie. Lillian dała Lucasowi znak, by usiadł, nagle przerażona tym, co narobiła. Cały misternie obmyślony plan wydał jej się niedorzeczny. Jak mogła wyjść z honorem z obecnej sytuacji?

- Dziękuję, że pan przyszedł. Domyślam się, że jest pan zajęty...

- W karty grywam głównie wieczorami i nocą - przerwał, wyraźnie rozbawiony.

- Pewnie wciąż boli pana noga. - Tylko to przyszło jej teraz do głowy.

Tym razem nie doczekała się odpowiedzi.

Popatrzyła na drzwi, zastanawiając się, czy może podjąć temat, zanim służąca przyniesie herbatę. Postanowiła, że zaczeka, a potem poprosi, by dziewczyna zostawiła ich samych.

- Mam nadzieję, że spotkał się pan z miłym przyjęciem w Londynie - zagadnęła i natychmiast pożałowała tych słów.

- Owszem, mam tylko kilka ran i siniaków, ale to doprawdy drobnostka wobec możliwości podziwiania tak pięknego miasta.

- Przewrócił się pan?

Spochmurniał.

- Tak - burknął.

- W zeszłym roku przydarzył mi się upadek w Fairley, naszym rodzinnym majątku w Hertfordshire.

- O? - Uniósł brwi.

- Spadłam z konia podczas gonitwy w parku.

- Mam nadzieję, że niczego sobie pani nie złamała?

- Ucierpiała jedynie moja godność. To zdarzyło się podczas wiejskiego jarmarku, a wzięłam udział w gonitwie, bo miałam taki kaprys.

- Godność... No cóż, to delikatna materia - skwitował z amerykańskim akcentem, przeciągając samogłoski.

Poczuła, że się czerwieni. Poruszyła się niespokojnie w obawie, że sam list powiedział mu zbyt wiele. Przeniosła wzrok na jemiolę, którą powiesiła przy drzwiach, po czym spojrzała na ręce Lucasa, złożone na kolanach wnętrzem dłoni do góry.

Niespodziewanie doznała olśnienia. Wiedziała już, jak ma przedstawić swoją prośbę.

- Opowiedział mi pan kiedyś o kobiecie z Richmond, która wróżyła panu z dłoni.

Skinął głową.

- Podobno powiedziała panu, że życie jest jak rzeka, niosąca nas do miejsca przeznaczenia - ciągnęła z ożywieniem. - Panie Clairmont, zamierzam zadać panu pytanie, które, gdyby nie odrobina wiary w przeznaczenie, mogłoby się panu wydać dziwne.

- Wiem bardzo niewiele na temat właściwości jemioly i ostrokrzewu - oznajmił. - Czy zamierza mnie pani przepytąć z botaniki?

- Pan wybaczy, ale nie rozumiem...

- W swoim liście pisze pani o roślinach...

Niespodziewanie się uśmiechnęła, lecz po chwili, już poważnym tonem, kontynuowała:

- Nie o to mi chodzi. Słyszałam od pewnych osób, że znajduje się pan w trudnej sytuacji finansowej i chciałabym zaproponować panu pomoc, która w pewnym stopniu by panu pomogła rozwiązać problem braku pieniędzy.



Zerwał się na nogi, nie kryjąc gniewu. Zrozumiała, że obrała fatalną taktykę. Ogarnięta panicznym strachem, zapomniała o ostrożności.

- Chcę kupić od pana pocałunek - wypaliła.

- Chce pani...?

- Kupić od pana pocałunek - powtórzyła.

Wstała i drżącymi dłońmi sięgnęła do torebki, usiłując z niej wyjąć banknoty pobrane rano z banku.

Kiedy je w końcu wydobyła, Lucas zaklął siarczyście, nie zważając na obecność damy.

- Cii... Mogą usłyszeć.

- Kto może usłyszeć? Pani ojciec? Kuzyn? Ktoś nasłał na mnie zbirów w tym tygodniu i nie zamierzam dać się podejść po raz drugi.

- Ktoś chciał panu zrobić krzywdę?

Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że powinna zdobyć się na uczciwość. Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Mam dwadzieścia pięć lat i wciąż jestem panną, panie Clairmont. Wczoraj po raz pierwszy w życiu pocałował mnie mężczyzna, lord Wilcox-Rice. Chciałabym się przekonać, czy to, co czułam, było... normalne.

- A co, do diabła, pani czuła?

Pokonując wstyd, wyznała:

- Niczego nie czułam.

Słowa rozeszły się echem w ciszy panującej w salonie. Złość Lucasa natychmiast się ulotniła. Wybuchnął tubalnym śmiechem.

- Wiem, że to wszystko może się panu wydać dziwne, ale...

- Nie o to chodzi, Lilly. - Delikatnie dotknął jej policzka i przesunął po nim palcem.

Zadrżała i popatrzyła na Lucasa w niemym błaganiu o dalsze pieszczoty, lecz właśnie wtedy rozległy się kroki w korytarzu. Lucas szybko się cofnął w stronę okna.

Czyżby znów się gniewał? Może był zgorzony jej zuchwałością?

Uśmiechnęła się blado na widok służącej i powiedziała, że sama naleje herbatę do filiżanek. Pytający wzrok dziewczyny uświadomił jej, że zostało niewiele czasu na rozmowę. Niezamężna kobieta nie może przebywać z mężczyzną w jednym pokoju bez obecności przyzwoitki. Wprawdzie mając dwadzieścia pięć lat mogła pozwolić sobie na nieco więcej swobody, jednak wizyta Lucasa Clairmonta nie powinna zbyt długo trwać.

Ledwie za służącą zamknęły się drzwi, podeszła do niego.

- Nie chciałabym pana popędzać, ale...

Nie pozwolił jej dokończyć. Gwałtownie się pochylił i nakrył jej wargi swoimi ustami. Ujął jej twarz w dłonie i przywarł do Lillian, jakby domagając się odpowiedzi płynącej z głębi duszy. Czując ciepło rozchodzące się po całym ciele, wsunęła Lucasowi palce we włosy i dotknęła jego karku. Nie kontrolowała swych poczynań. Tymczasem on zawładnął jej ustami w gwałtownym pocałunku, a po chwili zaczął obsypywać pocałunkami jej policzki i szyję.

Nagle się odsunął.

Oszołomiona Lillian wychyliła się i dotknęła jego ust wargami, spragniona dalszych pieszczot, lecz Lucas przycisnął jej głowę do swego torsu i przytrzymał. Słyszała mocny, szybki rytm jego serca.

- To nie jest odpowiednie miejsce, Lilly...

Natychmiast powróciła do rzeczywistości. Uzmysłowała sobie, że jest w żółtym saloniku, słyszy kroki służących w korytarzu, a na stoliku stoi imbryczek z parującą herbatą i filiżanki.

Odsunęła się, świadoma nieodwracalnej zmiany, jaka zaszła w jej życiu po tym pocałunku. Jej uporządkowany świat legł w gruzach. Poznała trudną do okiełznania, pierwotną część własnej natury.

Lucas Clairmont położył jej list na stoliku i sięgnął po kapelusz.

- Panno Davenport. - Ukłonił się i wyszedł z pokoju.

Przez całą drogę z Pall Mall do swojego mieszkania rozmyślał o tym, co się wydarzyło. Nie powinien był całować Lillian ani prowokować jej do wyznania, że „niczego” nie czuła po pocałunku Johna Wilcox-Rice'a.

Teraz tęsknił do niej i pragnął czegoś więcej, tymczasem ona zapewne go przeklinała. Powinien był zostać przy niej dłużej, utulić ją i pocieszyć, a przynajmniej wziąć na siebie całą winę za zaistniałą sytuację.

Ujęła go swą szczerością i nieśmiałą próbą wręczenia mu wymiętych banknotów. Jak mogła myśleć, że powinna mu zapłacić? Że przyjmie od niej pieniądze? Złość ustąpiła miejsca niedowierzaniu, które z kolei zostało wyparte przez podziw.

Panna Davenport słynęła z nienaganych manier i była stawiana za wzór do naśladowania. Z pewnością niełatwo jej było przedstawić mu swą prośbę. Miała tysiące razy więcej do stracenia niż on. Niedługo wyjedzie z Anglii, aby wrócić do Wirginii, a jego fatalnej reputacji niewiele mogło zaszkodzić.

Dlaczego więc Lillian wybrała właśnie jego? Musiała starannie rozważyć wszystkie za i przeciw. Z pewnością pomyślała o tym, że mógłby niegodziwie wykorzystać wiedzę o jej chwili słabości. Dobrze też zdawała sobie sprawę z tego, że łamie konwenanse i naraża na szwank reputację.

Dlaczego więc mimo to postanowiła zaryzykować?

Odpowiedź narzucała się sama. Lillian była zdesperowana. Rozpaczliwie chciała się dowiedzieć, czy to, co czuje do Wilcox-Rice'a jest „normalne”. Miał nadzieję, że przekonała się, iż nie jest.

Cóż, pomyślał, należy się cieszyć, że poznała prawdę.

Lillian rzuciła się na łóżko i głęboko zaczerpnęła tchu.

Lucas Clairmont był wściekły, gdy zobaczył banknoty w jej dłoni. Po jego wyjściu ułożyła je starannie. Dwieście funtów! Z pewnością był ich wart. Popatrzyła na sufit, starając się odtworzyć w pamięci każdy szczegół pocałunku. Przesuwała przy tym rękami po swym ciele, imitując ruchy Lucasa.

Co by się stało, gdyby się nie wycofał? Czy zdążyłaby odzyskać trzeźwość myślenia? Uczciwość nakazywała jej odpowiedzieć sobie: nie.

„Uważaj, żeby nie stać się taką jak matka, Lillian”, przypomniała sobie słowa ojca, wypowiedziane w rozpaczy, gdy jej matka umierała. Lillian miała wtedy trzynaście lat, zaczynała interesować się modą i różnymi możliwościami, które dawał świat.

Czy tamta przestroga ją zmieniła? Czy teraz znów stawała się płochą?

Obudziło ją pukanie do drzwi. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Niezmiernie rzadko zdarzało jej się zapadać w popołudniową drzemkę. Zorientowała się, że jest w swoim pokoju. Przypomniawszy jej się Lucas Clairmont i jego pocałunek. Ogarnął ją strach.

- Mam dla pani kwiaty, panienko.

Służąca wniosła duży rozwichrzony bukiet pomarańczowych kwiatów. Lillian wstrzymała oddech.

- Jest tam bilecik?

- Tak, panienko. - Dziewczyna wyłuskała z bukietu niewielką kopertę z wstążeczką. Nie potrafiła ukryć zaciekawienia.

- To wszystko, dziękuję - powiedziała Lillian, czekając, aż służąca zamknie za sobą drzwi.

Po chwili wyjęła z koperty niewielki kartonik.

„A JA COŚ CZUŁEM”.

Słowa były napisane wielkimi literami. Brakowało podpisu.

Lillian poczuła, że po jej policzkach płyną łzy. Kreśląc te cztery słowa, Lucas Clairmont oddawał jej coś, czego nie spodziewała się już odzyskać: jej honor i godność. Przycisnęła bukiet do piersi, zraszając łzami pomarańczowe płatki.

## Rozdział siódmy

- Pan Clairmont z Ameryki był dziś w klubie jako gość lorda Hawkhursta. - Ton głosu ojca mówił Lillian, że nie jest z tego zadowolony. - Ten człowiek to łajdak, hazardzista. Nie rozumiem, jak to możliwe, że wciąż otrzymuje zaproszenia od szanowanych osób.

- A wydawał się miły, kiedy podszedł, by poprosić cię do tańca na balu u Cholmondeleyów. Cóż, pierwsze wrażenia mogą zmylić - orzekła ciotka Jean.

- Tańczyłaś z tym Amerykaninem? - Ojciec groźnie zmarszczył brwi. - Ach, prawda, coś sobie przypominam...

Serce zamarło jej w piersi. Nie tylko tańczyła, ale także się z nim całowała.

- Tak, papo. Poprosił mnie do walca.

- A ty mu nie odmówiłaś? Moja droga, przecież chyba wiesz, co to za ziółko.

- Mężczyźni tacy jak on szybko wykorzystują nadarzające się okazje, Erneście.

Lillian niczego nie podejrzewała. Nie karć jej, proszę, bo jest niewinna.

Niewinna? - pomyślała Lillian. Bukiet pomarańczowych kwiatów wciąż stał przy jej łóżku. Codziennie zmieniała im wodę. Od czasu pamiętnego pocałunku nie spotkała jednak Lucasa podczas spaceru w parku ani w trakcie zakupów, ani na przyjęciach.

- Podobno hrabia St Auburn jest serdecznym przyjacielem Clairmonta. Wiesz coś na ten temat? - spytał lord Davenport.

Ciotka Jean wzruszyła ramionami.

- Nie znam go osobiście. Zapewne Daniel mógłby ci o nim więcej powiedzieć.

Lillian uważnie przyjrzała się ciotce, starając się wyczytać z jej twarzy, czy wie coś na temat wybryków swojego syna Daniela. Uśmiech Jean dowodził, że prawdopodobnie pozostaje w błogiej nieświadomości.

- Zadałem to pytanie - podjął Ernest Davenport - ponieważ wczoraj przyszło do ciebie zaproszenie, Lillian. Hrabia i hrabina St Auburnowie oczekują cię w Kent, gdzie organizują duże przyjęcie. Jeśli spodziewają się przybycia Clairmonta, to wołałbym, żebyś zrezygnowała z uczestniczenia w tym towarzyskim spotkaniu.

Lord Davenport wypił łyk herbaty i zaczął obracać w palcach okulary.

- Kiedy odbędzie się przyjęcie, ojczy? - Lillian starała się nadać głosowi obojętne brzmienie.

- Potrwa od piątku do niedzieli. Gdybyś chciała tam pojechać, mógłby ci towarzyszyć Wilcox-Rice.

- Dobrze - zgodziła się Lillian.

- Czy to ma znaczyć, że jednak się wybierzesz, moja droga?

- Lady St Auburn jest moją przyjaciółką. Chciałabym się dowiedzieć, co u niej słychać.

- Będiesz mogła jej towarzyszyć, Jean? Lillian nie może jechać bez przyzwoitki.

Ciotka z ciężkim westchnieniem obiecała wystąpić w roli przyzwoitki bratanicy.

Piękną sześciokolumnową rezydencję w stylu georgiańskim otaczały wspaniale utrzymane ogrody. Gdy powóz wtaczał się na kolisty podjazd, Lillian wyjrzała przez okno i ujrzała licznych gości zgromadzonych w oranżerii po lewej stronie budynku. Z tej odległości Lillian nie była w stanie się przekonać, czy jest wśród nich Lucas Clairmont. Towarzyszący jej John Wilcox-Rice nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

- Nie rozumiem, dlaczego chciałaś tu przyjechać - powiedział lekko poirytowany. - Hrabia St Auburn ma, hm... oryginalnych przyjaciół. Gdyby nie był tak nieprzyzwoicie bogaty, z pewnością by go nie fetowano.

- Cassandra jest młodszą siostrą pani Weatherby, mojej przyjaciółki, i bardzo ją lubię.

- W takim razie powinnaś się z nią spotkać w Londynie.

- W Kent jest tak pięknie nawet o tej porze roku... Chyba przyznasz mi rację?

Ciotka Jean obudziła się i wyprostowała gwałtownie na siedzeniu, gdy powóz się zatrzymał.

- Czyżbyśmy byli na miejscu? Drogi na południe są coraz lepsze. Może powinniśmy przekonać twojego ojca, żeby kupił majątek gdzieś w tych stronach. Znacznie łatwiej jest dojechać do Kent niż do Hertfordshire. - Spojrzała w okienko powozu. - Widziałaś, jakie czyste jest tu niebo? Ani śladu tego okropnego żółtego smogu!

Wokół powozu zaroilo się od służących. Młodszy zaczęli ściągać z dachu bagaże, pilnie słuchając poleceń, gdzie mają je zanieść. Ochmistrzyni wyszła gościom na powi-



tanie, dygnęła i przedstawiła się, a stojący obok niej kamerdyner gotów był spełnić wszystkie życzenia nowo przybyłych. Podziwiając wzorowy porządek i doskonałą organizację pracy służby, Lillian pomyślała o rodzinnym majątku Fairley Manor.

John Wilcox-Rice był tego dnia niezwykle marudny. Zlecał służącym hrabiego liczne zadania, a choć starali się go zadowolić, nie doceniał ich wysiłków, nagradzając ich ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Swą postawą dawał wszystkim do zrozumienia, że znalazł się w posiadłości hrabiego St Auburna nie z własnej woli. Lillian zastanawiała się, jak to się stało, że do tej pory nie dostrzegła wielu irytujących cech jego charakteru.

Wbrew złemu humorowi Johna poczuła się podekscytowana, myśląc o czekającym ją weekendzie na wsi i ewentualnym spotkaniu z Lucasem. Zasuszyła jeden z pomarańczowych kwiatów w książce, którą schowała w torbie podróżnej, by móc go pokazać panu Clairmontowi. O tej porze roku kwiaty były bardzo drogie, a Lucasowi dotkliwie brakowało pieniędzy, więc tym bardziej chciała mu dać do zrozumienia, że docenia jego gest.

- Lillian! - zawołał ktoś.

Odwróciwszy się w stronę, z której dobiegł ją głos, zobaczyła idącą ku niej Cassandrę St Auburn. Jej jasnorude włosy okalające wdzięczną twarzyczkę mieniły się ognistocie.

- Przyjechałaś! Bałam się, że się nie zdecydujesz.

- Grzechem byłoby nie odwiedzić tak wspaniałego miejsca. Cassandro, to jest lord Wilcox-Rice.

- Miło mi pana poznać - powiedziała Cassandra i uśmiechnęła się, lecz Lillian wyczuła lekki niepokój w jej głosie. - Myślałam, że przyjedziesz z ciocią...

- Jestem, kochanie, tyle że wysiadam bardzo powoli. To przez stare kości. - Jean podziękowała służącemu za pomoc. - Ostatnio byłam tutaj z Leonardem St Auburnem, kiedy miałam tyle lat, co ty.

- To dziadek mojego męża. Mieszka tutaj, ale większość czasu spędza w bibliotece.

- Pamiętam. Jest bardzo czytany. Zawsze interesował się światem roślin.

Cassandra roześmiała się perliście. Lillian bardzo lubiła tę wesołą, bezpretensjonalną młodą kobietę. Czasami żałowała, że nie jest taka jak ona.

- Większość gości zgromadziła się w oranżerii - poinformowała hrabina St Auburn.

- Czy zechcą państwo do nas dołączyć po chwili odpoczynku?

- Bardzo chętnie - odpowiedziała Lillian, wchodząc do holu.

Dwadzieścia minut później znaleźli się w pięknej oranżerii i podeszli do gości zgromadzonych wokół stołu zastawionego półmiskami z wytwornym jedzeniem, a także napojami.

Rozczarowana Lillian nie dostrzegła Lucasa Clairmonta i zaczęła żałować, że nie może się z nim spotkać nieoficjalnie. Zobaczyła, że Nathaniel, hrabia St Auburn dołączył do żony. Przypomniała sobie, że wpadła mu w oko wtedy, gdy po raz pierwszy wystąpiła w towarzystwie. Było to kilka lat temu i najprawdopodobniej hrabia tego nie pamiętał.

- Panna Davenport! - Uśmiechnął się serdecznie. I lord Wilcox-Rice! Bardzo się cieszymy, że zdecydowali się państwo do nas przyjechać.

Wyraźnie zaakcentował słowo „państwo”, a Lillian zauważyła, że St Auburnowie wymienili wymowne spojrzenia. Czyżby zaczęto postrzegać ją i Johna jako parę narzeczonych? Poczula zimne ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa.

- Widzę, że przybyło dużo gości. Czy spodziewają się państwo kolejnych? - spytała Lillian. Jeśli Lucas Clairmont nie pojawi się na przyjęciu po tym, jak wysłał jej zaproszenie, nigdy mu tego nie wybaczy.

- Zaprosiliśmy naszych sąsiadów, a poza tym pan Clairmont przyjedzie z Londynu z lady Shelby.

- Caroline Shelby? - W głosie Johna pobrzmiwał ton męskiego uznania dla piękności, która niedawno dołączyła do grona londyńskiej socjety.

- Nie mogła wcześniej wyjechać z miasta, więc Nathaniel poprosił przyjaciela, by zczekał i jej towarzyszył - wyjaśniła Cassandra.

Lillian poczuła, jak napinają się mięśnie jej policzków. Rozpaczliwie starała się zatrzymać uśmiech na twarzy. Jeśli Lucas Clairmont zaprosił ją tutaj, by na jej oczach

flirtować z inną... Zastanawiała się, jak mogłaby wcześniej wrócić do Londynu, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Zaraz potem postanowiła jednak, że nie będzie uciekać, lecz stawi czoło sytuacji. Od pięciu dni przygotowywała się na ewentualne spotkanie z Lucasem. Obmyśliła podziękowanie za kwiaty. Po krótkiej rozmowie zajmie się swoimi sprawami. Pamiętała przecież o tym, że za kilka tygodni Lucas Clairmont opuści Anglię, niewykluczone, że na zawsze.

Młoda dama otuliła się szalem i drobnymi kroczkami udała się do powozu. Towarzyszyła jej przyzwoitka, kobieta po czterdziestce. Lucas zaczynał już tracić nadzieję, że panie kiedykolwiek będą gotowe do drogi. Zniecierpliwiony, popatrzył na zegarek i pomyślał, że Lillian Davenport z pewnością jest już w Kent.

Czy Nathaniel powie jej o tym, że Lucas się spóźni?

Caroline Shelby podała mu dłoń i nie cofnęła jej jeszcze długo po tym, gdy jego pomoc przy wsiadaniu do powozu nie była potrzebna. Zajął miejsce naprzeciwko dwóch dam i zapatrzył się w okienko.

- Za godzinę będziemy na miejscu - poinformował oficjalnym tonem.

Caroline zachichotała.

- Podobno St Auburnowie mają piękny dom?

- To prawda.

- A jazda z jednego końca ich majątku na drugi zajmuje cały dzień?

- Możliwe.

Pomyślał o Wirginii. Droga z jednego końca jego posiadłości w drugi zajęłaby tydzień. Z zaskoczeniem stwierdził, że ogarnia go tęsknota za Ameryką.

- Bardzo chciałabym wybrać się na przejażdżkę po terenach majątku. Jeździ pan konno?

Skinął głową, mając nadzieję, że Caroline nie uzna tego za znak zgody na wspólną wyprawę.

- W takim razie musimy pożyczyć konie i wybrać się na przejażdżkę - powiedziała.

Lucas przeraził się nie na żarty.

- Mam pilne sprawy do omówienia z hrabią... - zaczął, lecz natychmiast mu przerwała.

- Chyba znajdzie pan godzinkę dla damy, która bardzo o to pana prosi? - Pieszczotliwym gestem nakryła jego rękę swoją dłonią. Przyzwoitka odwróciła wzrok.

- Oczywiście. - Lucas cofnął rękę i pomyślał, że zadba o to, aby w wycieczce wzięło udział więcej osób.

Czterdzieści minut później ich oczom ukazała się wiejska posiadłość St Auburnów, a kobieta siedząca obok lady Shelby uznała, że czas ukrócić popisy młodej podopiecznej.

- Masz przekrzywiony kapelusz, moja droga - powiedziała, szybko poprawiając nakrycie głowy, które przekrzywiło się, gdy na jednym z wyboistych odcinków drogi dziewczyna wpadła na Lucasa. - Nie zapomnij włożyć rękawiczek.

Wkrótce zajęchali pod dom. Większość gości wciąż przebywała w oranżerii, ciesząc się ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Lucas bez trudu wypatrzył Lillian. Tego dnia miała włosy upięte w klasyczny węzeł, a biała suknia wspaniale uwydatniała kobiece krągłości. Lillian rozmawiała z hrabiną St Auburn, a towarzyszył jej John Wilcox-Rice.

- Cholera. - Lukas zaklął pod nosem. Był zadowolony, że może opuścić powóz i uwolnić się od towarzystwa irytującej lady Shelby i jej słamazarnej przyzwoitki.

Powitał go Nathaniel.

- Jest tu Wilcox-Rice - powiedział tonem ostrzeżenia.

- Zdążyłem zauważyć.

- Mam stać pomiędzy wami?

- Aby nie doszło do pojedynku?

- Podobno się jej oświadczył, więc jeśli nadal będziesz na nią patrzył z takim błyskiem w oku...

- Cierpliwości, Nathaniel. Już za kilka tygodni nie będziesz musiał czuć się za mnie odpowiedzialny.

- Myślisz, że będziesz wtedy na statku? - Oczy przyjaciela błysnęły wesoło.

- Oczywiście! Mam już wykupione miejsce, a nic mnie tu nie trzyma.

- Ani nikt?

Lucas zaśmiał się, przejrząwszy przyjaciela na wylot.

- Pamiętaj, że już byłem żonaty - odparł.

- Elizabeth była kobietą, która nawet świętego wpędziłaby w nałóg. Naprawdę nie wiem, dlaczego wciąż nosisz małżeńską obrączkę.

Lucas poczuł, że wzbiera w nim złość.

- Noszę ją, ponieważ mi o czymś przypomina.

- Mianowicie?

- O tym, żeby nie popełniać tego samego błędu po raz drugi. - Lucas sięgnął po szklankę napełnioną ponczem i odszedł.

Lillian odwróciła się w momencie, gdy Lucas Clairmont duszkiem pił poncz. Po chwili podszedł do stołu po kolejną szklankę. Sprawiał wrażenie rozsierdzonego. Trudno jej było uwierzyć, że patrzy na tego samego człowieka, który przysłał jej kwiaty i nikomu nie pisał ani słówka na temat jej propozycji i pocałunku. Z ulgą stwierdziła, że siniaki wokół jego oka szybko się goją.

Caroline Shelby nie odstępowała go na krok. Patrząc na nią, trudno było się dziwić, że została uznana za najpiękniejszą dziewczynę sezonu. Stojący obok Lillian John Wilcox-Rice ujął ją za ramię, jakby dla podkreślenia swych praw. Widziała, że Lucas właściwie odczytał ten gest.

Starając się wyjść naprzeciw towarzyskim oczekiwaniom, rozdawała uśmiechy na prawo i lewo. Co pewien czas powtarzała jednak w myślach słowa podziękowania za kwiaty.

- Panna Davenport.

Wyciągnęła rękę, ciesząc się znajomym dotykiem ciepłej dłoni Lucasa.

- Pan Clairmont. Miło mi znów pana widzieć.

- To wy się znacie? - Cassandra nie posiadała się ze zdumienia.

- Trochę - powiedziała.

- Niezbyt dobrze - poprawił Lucas.

Śmiech hrabiny Auburn przyciągnął uwagę Caroline Shelby, która dołączyła do ich niewielkiej grupki.

- Wspaniałe przyjęcie! Szkoda, że nie mogłam wcześniej wyjechać z Londynu. Gdyby nie pańska pomoc, panie Clairmont, nie byłoby mnie tu teraz. Mam nadzieję, że nie straciłam wiele. Wszyscy są w tak doskonałych nastrojach...

- Przybyła pani w samą porę, lady Shelby - powiedziała Lillian.

- Panna Davenport. To cudownie, że pani tutaj jest. Od dawna podziwiam pani wyczucie stylu, maniery i stroje... - Wskazała białą jedwabną suknię Lillian. - Och, jaka piękna.

- Dziękuję.

- Moja przyjaciółka Eloise mówi, że pani ubrania są szyte w Anglii, ale podejrzewam, że to nieprawda, bo tkaniny i krój są wprost wspaniałe. Powiedziałam kiedyś mojej mamie, że powinnyśmy panią zapytać, która modniarka szyje pani kreacje, i udać się do niej, bo...

Lillian zastanawiała się, czy panna Shelby trąkocze ze zdenerwowania, czy też po prostu jest głupiutka. Popęlniła błąd, spoglądając na Lucasa Clairmonta. Przypatrywał się lady Shelby z wyrazem komicznego niedowierzania na twarzy. Pomyśleć, że musiał słuchać podobnej paplaniny przez całą podróż. Nic dziwnego, że niemal wyskoczył z powozu, ledwie ten się zatrzymał.

- Lubi pani kwiaty, panno Davenport? - Donośne pytanie Caroline Shelby wyrwało Lillian z rozmyślań.

- Bardzo.

- Prawda, że tutejszy ogród jest cudowny? Dominuje w nim biel. Pomyślałam sobie, że skoro lubi pani jasne kolory, zapewne najbardziej podobają się pani kwiaty w jasnych barwach?

Lillian uśmiechnęła się. Nareszcie otwierała się przed nią szansa.

- Ostatnio coraz bardziej podoba mi się kolor pomarańczowy.

Zauważyła wyraz zaciekawienia na twarzy Lucasa Clairmonta, jednak obecność Johna uniemożliwiła rozwinięcie tematu.

- Pomarańczowy? - Caroline najwyraźniej przeżyła zaskoczenie. - Panno Davenport, chyba pani sobie ze mnie żartuje?



Kiedy Cassandra St Auburn zaproponowała, by goście poszli się przebrać do kolacji, Lillian udała się wraz z innymi. Niestety, Lucas Clairmont nie przyłączył się do towarzystwa.

## Rozdział ósmy

Lucas, za zgodą Nathaniela, wziął ze stajni St Auburnów potężnego wałacha i pojechał do Maygate, wioski oddalonej o dobre dziesięć mil. Był zmęczony i pragnął odmiany. Korzystając z ostatnich świateł zmierzchu i blasku księżyca udał się na przejażdżkę. Chciał się odprężyć i poczuć na twarzy wiatr, zaznać smaku wolności.

Nie mógł się nadziwić, że Anglicy tak długo celebrują popołudniowe herbatki. W Ameryce uznano by to za stratę czasu. Powrócił myślami do Wirginii, do zielonych terenów rozciągających się od rzeki James aż po Potomac. To były jego ziemie. Pochłonęły wiele krwi, potu i łez. Dzięki ciężkiej pracy pierwsze sto akrów przyniosło dochód pozwalający na kupno pozostałych.

Dotknął palcem blizny na udzie, czując twarde brzegi źle zagojonej rany. Kiedyś groził mu wypadek mienia, a nie dysponował żadnymi środkami pozwalającymi na zamówienie przewozu drewna. Włókł je więc konno wzdłuż rzeki James. W pewnej chwili bale skrzyżowały się, a wystraszony koń stanął dęba, zrzucając go na ostrą krawędź. Rana brzydtko ropiała, jednak mimo to udało mu się dojechać do tartaku w Hopewell, gdzie sprzedał drewno i wpłacił należność do banku, zyskując spokój na kilka miesięcy.

Były to ciężkie lata, podczas których samotnie zmagał się z przeciwnościami losu. Paradoksalnie, najbardziej sam poczuł się wtedy, gdy w jego życiu pojawiła się Elizabeth ze swymi zachciankami, kaprysami i - na końcu - bezbrzeżnym smutkiem. Odsunął od siebie bolesne wspomnienia. Przecież chciał odpocząć w otoczeniu wiejskiego krajobrazu hrabstwa Kent.

„Ostatnio coraz bardziej podoba mi się kolor pomarańczowy”.

Te słowa przyplęły do niego, niosąc mu pocieszenie. Czyżby Lillian miała na myśli kwiaty, które jej ofiarował? Po co zaprzęta sobie głowę tą piękną Angielką?

Najlepiej dla niej, żeby wyszła za mąż Johna Wilcox-Rice'a i wiodła spokojne życie w swojej ojczyźnie.

Zatrzymał się nad potokiem. Na ziemi kładły się długie cienie. Nie wolno mu było oddawać się marzeniom. Nazajutrz powinien wyjechać do Londynu, zostawiając Lilly z jej kusząco pełnymi wargami i cudownym ciałem. Nie był jednak w stanie zdobyć się na podobne wyrzeczenie. Już teraz zawracał konia w stronę domu.

Lillian znów czuła się jak młoda dziewczyna, nie mogąc się zdecydować, którą suknię włożyć do kolacji. Była więc niezmiernie zadowolona z pomocy pokojówki Casandry. Cieszyło ją także, że ciotka Jean wciąż leżała w łóżku, ponieważ po podróży do bólu głowy dołączyły objawy przeziębienia.

Kiedy w końcu dokonała wyboru, podeszła do okna. Wschodzący księżyc objął srebrzystym światłem spowite w mroku ogrody St Auburnów. Wtem jej uwagę przyciągnął samotny jeździec na koniu, pędzący na złamanie karku. Lucas Clairmont. Czuła, że to on. Doskonale, jakby bez najmniejszego wysiłku, panował nad koniem. Oświetlony blaskiem księżycy, z włosami opadającymi do ramion, bez surduta, wyglądał jak grecki bóg. Marzyła o tym, by znaleźć się blisko niego. Ciekawe, co by czuła, leżąc obok...

Szybko odwróciła się od okna. Damy nie powinny pozwalać sobie na takie fantazje, a poza tym wielokrotnie ostrzegano ją przed tym mężczyzną. Mimo to niewinny flirt jeszcze nikomu nie zaszkodził... Potajemny pocałunek można było zaliczyć do tej kategorii, nie powinna jednak podejmować dalszych, śmielszych kroków. Ulegając pokusie, odrzuciłaby to, co zdobyła pracą nad sobą: opanowanie, dystans, rozsądek. Podeszła do lustra i przyjrzała się sobie krytycznie. W jej oczach kryła się tęsknota...

Za Lucasem!

Obciągnęła halkę tak, by odsłonić dekolt, i uśmiechnęła się do własnego odbicia. Jak dotąd, nie przekroczyła granicy przyzwoitości, lecz była tego bliska. Jeszcze do niedawna nie podejrzewała się o zdolność do przeżywania podobnych emocji.

- Boże, dopomóż - powiedziała szeptem, zastanawiając się, o co chciałaby prosić w modlitwie. O odpuszczenie grzechów czy o siłę woli w przeciwstawieniu się pokusie?

Prowadzona do stołu przez hrabiego St Auburna Lillian przeżyła zaskoczenie, gdy obok niej usiadł Lucas Clairmont. Z zasady gościom przydzielano miejsca przy stole

stosownie do statusu. Była tym bardziej zdumiona, widząc, że Johnowi przypadło krzesło przy drugim końcu stołu. Wilcox-Rice wyglądał na zawiedzionego. Spojrzawszy na Cassandrę, Lillian odniosła wrażenie, że dostrzega figlarne iskierki w oczach hrabiny. Czyżby z premedytacją rozdzieliła Lillian z Johnem? Tak czy owak, nietypowy przydział miejsc zapowiadał spore emocje.

Przed przyjęciami odbywającymi się w jej domu Lillian truchlała ze strachu, że może niechcący kogoś obrazić, nieodpowiednio usadzając gości. Zerknęła na Lucasa. Tego wieczoru włosy zaczesał do tyłu. Zauważyła, że nie zdążyły jeszcze wyschnąć po kąpieli.

- Widziałam, jak wracał pan z przejażdżki - powiedziała, aby przerwać denerwujące milczenie.

- Musiałem odetchnąć po podróży powozem. - Głos Caroline Shelby, siedzącej dwa krzesła dalej, nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że Lucasowi potrzebny był odpoczynek. Uśmiechnął się, widząc, że Lillian się czerwieni. - Czy musi pani zawsze być taka grzeczna, panno Davenport?

- Różnie z tym bywa, panie Clairmont - odparła, wracając myślami do pocałunku. - Kto jak kto, ale pan powinien dobrze o tym wiedzieć.

- Zapewne ma pani teraz na myśli pewien eksperyment, mający na celu określenie stanu uczuć. Uznaję go za zdrowy przejaw ciekawości, chęć poznania, właściwą rodzajowi ludzkiemu.

Poczuła ogromną ulgę. Lucas okazał się bardziej rycerski, niż się spodziewała. Ujęła kieliszek drżącymi palcami i wypła łyk wina.

- Dziękuję panu za wyrozumiałość i sympatyczne podsumowanie tego wydarzenia, ale nie pochwalam swojego postępowania. Zazwyczaj wymagam od siebie znacznie więcej.

- Mam dla pani wątpliwe pocieszenie. Mądrość przychodząca z wiekiem sprawia, że obniżamy wymagania wobec siebie. Kiedy będzie pani w moim wieku, z pewnością doceni uroki robienia tego, na co ma się ochotę.

- Na przykład bicia się z moim kuzynem u Lenningtonów?

- Albo przysyłania pięknej kobiecie kwiatów.

Zamilkła. Czy rzeczywiście uważał ją za piękną?

- Ile ma pan lat, panie Clairmont? - Nie powinna była zadawać tego pytania po tym, co między nimi zaszło.

- Trzydzieści trzy, ale zapewniam, że jestem rozsądny ponad wiek, panno Davenport.

- Niektórzy z tu obecnych nazywają pana hazardzistą.

- Bo nim jestem.

- I oszustem.

- Mimo że nim nie jestem.

- Chodzą też plotki, że zabija pan ludzi.

- A więc zabiłem więcej niż jednego człowieka? - Uniósł brwi i roześmiał się. - „Można nosić na ustach uśmiech i być łotrem” - zacytował nieco teatralnie\*.

\* „Hamlet”, przekład Józef Paszkowski, (przyp. red.).

- Jest pan dla mnie zagadką, panie Clairmont. Ilekroć myślę, że zaczynam pana rozumieć, znów mnie pan zaskakuje.

- Znajomością Szekspira?

Pokręciła głową.

- Nie! Umiejętnością otaczania się aurą tajemnicy.

- Mam za sobą lata praktyki.

- I lata swawoli?

Ponownie się roześmiał.

- Życie to nie bajka, Lilly.

- Jestem panna Davenport - poprawiła go. - Usiłuje mnie pan przekonać, że jest inny, niż mi się wydaje?

Uniósł kieliszek do światła.

- Czyż nie można tego powiedzieć o każdym z nas?

Miała wrażenie, że w przy stole znajdują się tylko oni dwoje. Jak zza mgły docierał do niej szmer prowadzonych wokół rozmów. Lillian zapragnęła bliskości Lucasa tak bardzo, że aż zakreśliło jej się w głowie. Kurczowo zacisnęła palce na krawędzi krzesła.

Ucieszyła się, kiedy podano delikatną zupę z bażanta, a potem wspaniale przyrządzonego turbota w sosie z homarów. Siedząca naprzeciw niej lady Hammond, kobieta o surowym wyglądzie, długo raczyła zebranych opowieścią o zaletach polowań w hrabstwie Somerset, a gdy wniesiono trzecie danie, którego główną część stanowiły pieczone bekasy i dzikie kaczki w potrawce, rozmowy skupiły się wokół znakomitych warunków do rozwoju interesów w krajach kolonialnych.

- Co pan o tym sądzi, panie Clairmont? - zapytał jeden ze starszych wiekiem gości.

- Czy są możliwości rozwinięcia dochodowego przedsiębiorstwa w rejonie Baltimore i zatoki Chesapeake?

- Myślę, że ludzie, którzy mają mało pieniędzy i niewiele skrupułów, radzą tam sobie doskonale. Na przykład ziemie należące do mojego stryja zostały nieuczciwie kupione za nędzne grosze, a sprzedane z nieprawdopodobnym zyskiem.

- Przez Amerykanów?

- Nie, przez Anglika. Nowe gałęzie przemysłu przynoszą krociowe zyski, więc konkurenci nie przebijają w środkach.

Ta wypowiedź wywołała duże zainteresowanie zgromadzonych przy stole. John Wilcox-Rice uznał za stosowne wtrącić swoje trzy grosze:

- Mam wrażenie, że nasza wielowiekowa tradycja, stanowiąca podstawę ładu społecznego, jest coraz częściej lekceważona przez pozbawione skrupułów nowe pokolenie.

Lillian zauważyła, że Lucas zacisnął dłonie. Udało mu się jednak nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowany. Pełna podziwu dla jego opanowania, usłyszała nagle brzęk tłuczonego szkła. To mocno pijany lord Paget przewrócił kieliszek. Wino wylało się na obrus i zaczęło skapywać na spodnie Johna Wilcox-Rice'a. Paget chwiejnie uniósł się z krzesła, bełkocząc coś pod nosem. Żona na próżno usiłowała go zmusić do ponownego zajęcia miejsca.

John odsunął się od stołu, by wytrzeć spodnie. Paget próbował mu pomóc, lecz znajdując się w stanie upojenia alkoholowego, niezdarnie przesunął ręką po udach poszkodowanego, aż w końcu dotknął intymnych części. Wilcox-Rice zerwał się jak oparzony i wywiązała się szamotanina. Mający kłopoty z zachowaniem równowagi Paget przewrócił się na podłogę, pociągając za sobą obrus. Talerze z jedzeniem i kieliszki z winem spadły ze stołu i rozbiły się z głośnym brzękiem.

Widząc, że gramolący się z podłogi Paget zamierza zaatakować Wilcox-Rice'a, Lucas Clairmont zerwał się z krzesła.

- Dość tego! - zawołał, chwytając napastnika za kark i blokując jego cios. - Jest pan pijany. Radziłbym panu natychmiast opuścić pokój i ten dom, żeby nie doszło do dalszych incydentów.

Żona Pageta była wyraźnie wściekła, zarówno z powodu zachowania męża, jak i interwencji Lucasa Clairmonta.

- To ty powinieneś wracać tam, skąd przyjechałeś, Clairmont, zamiast rzucać na nas oszczerstwa! Zostałeś wyrzucony z Eton. Sądząc po tym, co mówią ludzie, niczego cię to nie nauczyło! - wyrzucił z siebie z goryczą Paget.

- A co mówią? - zapytał Lucas.

Oczy błyszczały mu złowrogo.

- Zostaw go, kochanie, nie jest wart twojego zainteresowania. Jeśli hrabia St Auburn chce robić z siebie pośmiewisko, twierdząc, że ten Amerykanin jest dżentelmem, to jego rzecz. - Lady Paget wydawała się akceptować zachowanie męża i nie przyszło jej nawet do głowy podziękować Lucasowi za pomoc.

Lillian poczuła, że wzbiera w niej gniew.

- Lady Paget, odnoszę wrażenie, że pani maniery są gorsze niż te, które gotowa jest pani stawiać pod pręgierzem. Pan Clairmont próbował jedynie nie dopuścić do tego, aby rażące uchybienia ze strony lorda Pageta nie wyrządziły krzywdy obecnym tu damom. Osobiście jestem bardzo wdzięczna panu Clairmontowi za interwencję. Muszę przyznać, że zachowanie pani męża sprawiło mi w przerażenie.

Dumnie wyprostowana, potoczyła wzrokiem po siedzących przy stole. Skinienia głów utwierdziły ją w przekonaniu, że większość zebranych podziela jej punkt widzenia.



Czasami pozycja królowej manier na coś się przydawała. Niezadowolenie gości skupiło się więc na Pagetach, a nie na Lucasie Clairmoncie. Żona Pageta udała się w ślad za wychodzącym mężem. Z korytarza dobiegły echa ich prowadzonej podniesionymi głosami rozmowy.

Lillian nie patrzyła na Lucasa Clairmonta ani nie zadawała mu żadnych pytań. Czowała, że nie należy wracać do sprawy incydentu. Zmusiwszy się do opanowania, podjęła rozmowę na neutralny temat, bez wątpienia niezwykle interesujący dla dam.

Siedzący obok Lucas był na siebie zły o to, że głupie uwagi Pageta wyprowadziły go z równowagi. Anglia była chyba jedynym miejscem na świecie, gdzie grzechy przeszłości wlokły się za człowiekiem do śmierci. Niczego tu nie zapomniano ani nie wybaczano, a ludzkie upadki z ożywieniem wspomniano nawet po wielu latach.

Lilly z ożywieniem omawiała kroje sukien oraz różne dodatki i ozdoby, a także nakrycia głowy, buciki, biżuterię, wachlarze, parasolki i fryzury, które tego lata widziała w Paryżu. Gdyby nie dławiąca go wściekłość, szczerze podziwiałby kobiecą zdolność do zapamiętywania tak wielu nieistotnych szczegółów.

Obecne na sali damy z pewnością nie podzielały jednak jego poglądu na ten temat. Wpatrzone w Lillian, z uwagą chłoneły każde słowo, gdy tymczasem służący zbierali skorupy naczyń i ponownie nakrywali do stołu. Po niedługim czasie wszystko wyglądało tak, jakby nie doszło do przykrego incydentu. Kiedy podano deser, na który składały się kandyzowane wiśnie, figi i lody imbirowe, zauważył, że wszyscy nałożyli sobie duże porcje.

Czuł, jak ogarnia go miłe ciepło. Lillian Davenport publicznie go broniła; przybyła mu na pomoc niczym anioł zemsty. Jej rozsądna, logiczna wypowiedź pomogła zebrany w dokonaniu przychylniej dla niego, a niekorzystnej dla Pagetów oceny sytuacji. Wzbudziła jego podziw swym zdecydowaniem. Nikt nie mógł zarzucić jej braku manier.

Tym bardziej powinien cenić sobie jej pocałunek. Lillian najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z ryzyka, na jakie się narażała. Wzruszała go jej dobroć i wrażliwość. Szczerze podziwiał wysiłek, jaki wkładała w to, by cieszyć się opinią wzoru cnót.

To on doprowadził do obecnego spotkania u St Auburnów. Pragnął ją zobaczyć i być może znaleźć okazję do rozmowy w cztery oczy. Nie zastanawiał się nad tym, że wizyta w Kent może zaszkodzić reputacji Lillian. Okazał się egoistą, tymczasem ona natychmiast przyszła mu z pomocą w chwili, gdy tego potrzebował. Przynależał sobie, że nie uczyni niczego, co mogłoby narazić na szwank jej dobre imię.

Nie podszedł do niej, gdy podano herbatę w salonie. Usiadł na sofie znajdującej się daleko od miejsca, w którym siedziała. Prawdę mówiąc, Lillian myślała, że okaże jej choć odrobinę wdzięczności za to, że się za nim wstawiła. Lucas nie przejawiał jednak ochoty do rozmowy, a nawet nie patrzył w jej stronę. Był zajęty konwersacją z Caroline Shelby i jej bezmyślnie uśmiechniętą przyjaciółką.

- Zauważyłem, że miała pani wiele do powiedzenia panu Clairmontowi, panno Davenport - zagadnął ją Nathaniel St Auburn. Nie było to wścibskie pytanie, a raczej stwierdzenie faktu. - Przyjaźnimy się od czasów szkolnych w Eton - dodał.

- Nie wiedziałam, że pan Clairmont mieszkał w Anglii. Wydaje mi się bardzo... amerykański.

Nathaniel zaśmiał się serdecznie. W jego głosie było jednak coś, co zmusiło ją do zastanowienia.

- Odwiedził go pan kiedyś w Wirginii?

- Tak.

- Podobało się tam panu?

- Bardzo!

Lillian wolałaby usłyszeć obszerniejsze wypowiedzi, umożliwiające jej lepsze poznanie intrygującego mężczyzny siedzącego w drugim końcu salonu.

- Pan Clairmont powiedział mi, że mieszka w pobliżu rzeki James. Czy ma tam rodzinę? - Starła się zadać to pytanie obojętnym tonem.

- Jego żona pochodziła z tamtych stron, ale zginęła w wypadku powozu. To bardzo smutna historia. Lucas obwinia się za ten wypadek, jak na przyzwoitego i wrażliwego dżentelmena przystało.

Poczuła wielką ulgę, dowiedziawszy się, że Lucas nie zabił żony, jak utrzymywali plotkarze. Na szczęście, w podłych pomówieniach kryło się jedynie ziarno prawdy. Była

jednak pewna, że St Auburn starannie dobiera słowa. Nie wiedziała, czy pragnie ją ostrzec, czy też rozwiać jej wątpliwości.

- Uważa pan, hrabio, że pan Clairmont jest wrażliwy?
- Zdecydowanie tak, ale sądząc po pani minie, jest pani przeciwnego zdania.
- Doszły mnie słuchy... Nie pozwolił jej dokończyć.
- Proszę dać mu szansę - powiedział cicho hrabia i zaraz potem odszedł.

O jakiej szansie mówił hrabia St Auburn? Przypomniała sobie cudowne ciepło bijące od Lucasa Clairmonta, gdy ich ramiona znajdowały się blisko siebie podczas kolacji. Gdyby przesunęła się choćby o cal, dotknęłaby jego ręki. Zabrakło jej śmiałości. Nie mogła tego zrobić w obecności tak licznych świadków.

Niezwykłe rzadko brała udział w weekendowych przyjęciach na wsi. Zyskała teraz potwierdzenie wcześniejszych obaw. Lubiła mieć możliwość powrotu do domu w każdej chwili, tymczasem była tu uwięziona co najmniej do następnego dnia. Nie istniała możliwość ucieczki, zważywszy na obecność Johna Wilcox-Rice'a i ciotki.

Jej rozmyślania przerwał John.

- Lillian, teraz, kiedy już trochę ochłonęłaś, z pewnością zdajesz sobie sprawę, że twoje wystąpienie przy stole było niepotrzebne? Zawsze lepiej jest trzymać się z dala od takich nieporozumień. Niech te sprawy toczą się swoim własnym trybem.

- Sądzisz, że powinnam milczeć, nawet jeśli uważam krytykę za nieuzasadnioną? - Poglądy Johna coraz bardziej ją irytowały. Miała serdecznie dość jego rad.

- Nie zapominaj o tym, że jesteś wytworną damą. Nie powinnaś stawać w obronie człowieka, któremu rozpaczliwie brakuje dobrych manier.

- To Paget zachował się wysoce nieodpowiednio.

- Ale to nie on został wyrzucony z Eton za kradzież.

- Za kradzież?! - Poczowała, że brak jej tchu.

- Młody Clairmont ukradł zegarek z gabinetu dyrektora i schował pomiędzy kocami. Gdy znaleziono zegarek, przyznał się do kradzieży i został wyrzucony ze szkoły.

Lillian mocno zacisnęła dłoń. Dlaczego nic, co dotyczyło Lucasa Clairmonta, nie mogło być jasne i proste? Czemu nikt nie chwalił jego zalet? Docierały do niej wyłącznie opowieści o skandalicznym zachowaniu.

Zastanawiała się, dlaczego młody chłopak zdecydował się ukraść zegarek. Czyżby zrobił to dla pieniędzy? A może chciał go po prostu mieć, aby wiedzieć, która jest godzina? Nie znajdowała powodu, dla którego Lucas miałby zaryzykować tak wiele. Dlaczego nie ukrył zegarka tak, by nikt go nie znalazł? Wzięła głęboki oddech. Tym razem nie mogła stanąć w obronie Lucasa. Nic nie usprawiedliwiało kradzieży.

Zauważywszy, że starsi wiekiem goście zaczynają się rozchodzić do swoich pokoi, udała się na piętro. John odprowadził ją pod drzwi.

- Spędziłem bardzo miłe chwile w twoim towarzystwie, Lillian - powiedział, gdy otwierała drzwi.

Spostrzegła, że lekko się przy tym pochylił, chcąc ją pocałować. Szybko udała, że kicha, i przyłożyła chusteczkę do nosa.

- Ojej, chyba zaraziłam się od cioci Jean!

- Może poproszę ochmistrzynię, aby przyniosła ci jakieś lekarstwo? - W jego oczach pojawił się wyraz szczerego zatroskania.

- Proszę, nie rób sobie kłopotu. Samo minie, jeśli się wygrzeję i wyśpię. - Pociągnęła nosem.

John cofnął się o krok.

- W takim razie chyba powinienem powiedzieć ci dobranoc - rzekł, nie kryjąc rozczarowania.

- Dziękuję, że mnie odprowadziłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Weszła do środka, zamknęła drzwi i schowała chusteczkę do kieszeni. Musiała tu spędzić najbliższą noc, a potem jeszcze następną. Postanowiła, że nazajutrz wejdzie na górę w towarzystwie innych kobiet, by nie dawać Johnowi pretekstu do znalezienia się z nią sam na sam.

## Rozdział dziewiąty

Na następne popołudnie zaplanowano przejażdżkę konną. Jako wytrawna amazonka, Lillian bardzo cieszyli się na tę wyprawę. Marzyła o galopie przez wiejskie tereny hrabstwa Kent. Martwiły ją tylko sine chmury zasnuwające niebo.

Lucas Clairmont wciąż trzymał się na dystans. Mijając ją w drodze do stajni, uniósł kapelusz w powitalnym geście, jednak nie przystanął ani na chwilę, nie zaoferował też pomocy przy sadowieniu się w siodle. Tymczasem John bardzo się starał, okazując troskę. Opadły ją wątpliwości. Lucas Clairmont pod koniec grudnia wypływa do Ameryki i nie było wiadomo, czy i kiedy zamierza ponownie zawitać w Anglii. Czas szybko mijał, był koniec listopada i warunek postawiony przez ojca coraz bardziej niepokoił Lillian. Przecież w trakcie świąt Bożego Narodzenia miały zostać ogłoszone jej zaręczyny.

Poprawiła futrzany kołnierz pelerynki i poprosiła o przyprowadzenie konia. Kasztanowa klacz, ani ładna ani brzydka, sprawiała wrażenie spokojnej. Była w tym podobna do Wilcox-Rice'a, który towarzyszył Lillian czuwając, aby niczego jej nie zabrakło.

Caroline Shelby jechała na swym wierzchowcu pomiędzy Nathanielem St Auburnem a Lucasem Clairmontem. Wiatr niósł jej perlisty śmiech, podczas gdy jeźdźcy pokonywali pola i łąki. Oprócz nich na przejażdżkę wybrały się jeszcze trzy pary. Brakowało Pagetów. Lillian przypuszczała, że lordostwo spakowali się i wyjechali. Miała nadzieję, że ten żaloszny pijaczyna nie spotka jej ojca w klubie. Nie chciała, aby ojciec dowiedział się właśnie od Pageta o tym, jak stanęła w obronie pana Clairmonta. Ta wersja wydarzeń z pewnością nie byłaby dla niej korzystna. Nie zrażała do siebie ludzi i fakt, że ma teraz nieprzyjaciela w osobie Pageta, bardzo ją martwił.

- Hrabina St Auburn nie pojawiła się rano na śniadaniu - zauważył John, wyraźnie zaintrygowany.

- Zapewne dołączy do nas później - odrzekła Lillian, choć i ją zastanowiła nieobecność Cassandry.

Prawdę mówiąc, dziwiło ją, że St Auburnowie pozostawali w tak zażyłej przyjaźni z Lucasem Clairmontem. Nathaniel odwiedził go nawet w Wirginii. Czy towarzyszyła mu wtedy Cassandra? Postanowiła wypytać przyjaciółkę o szczegóły jeszcze tego wieczoru i dowiedzieć się, jak rozległa jest posiadłość Lucasa.

Gdyby tylko był... pomyślała i zaraz zadała sobie pytanie: jaki? Jaki miał być, żeby mógł zostać przez nią zaakceptowany? Bogaty? Powszechnie lubiany? Wpływowy i znający odpowiednich ludzi? Zaczynała rozumować jak niektórzy jej znajomi o ciasnych horyzontach. Nie mogła jednak pozwolić sobie na nawiązanie bliższej znajomości z mężczyzną, który wzbudzał powszechną niechęć.

Zasady etykiety obowiązujące w jej środowisku nie wzięły się znikąd. Ich przestrzeganie dawało gwarancję bezpieczeństwa. Nawet konwencjonalne zachowanie Johna dodawało jej otuchy - wiedziała przynajmniej, czego się po nim może spodziewać.

Tymczasem Lucas Clairmont z pewnością nie dawał sobą sterować. Zamyśliła się. Czuła, że nie udałoby jej się odgonić Lucasa od drzwi kilkoma kichnięciami, jak wczoraj Johna. Nie osiągnęłaby niczego pochlebstwami ani groźbami. Ten człowiek nie dawał się okiełznać. Przypomniała sobie jego pocałunki i natychmiast musiała wziąć głęboki oddech.

Nie, nie, nie!

Powinna pamiętać, że przyzwoite zachowanie gwarantowało spokój sumienia, a folgowanie żądzom niejedną kobietę doprowadziło do upadku. Uniosła wzrok ku niebu. Powinna się cieszyć z faktu, że Lucas zainteresował się panną Shelby, tymczasem miała ochotę wydrapać jej oczy. Caroline Shelby była piękną, nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Poczynała sobie jednak nazbyt śmiało, a upatrzawszy ofiarę, wytrwale ją osaczała. Rolę ofiary pełnił teraz z pewnością Lucas Clairmont.

Gdy wjechali na łąkę na skraju posiadłości St Auburnów, rozległ się pierwszy grzmot nadchodzącej burzy. Wszyscy zatrzymali konie. Tylko wierzchowiec Caroline Shelby spłoszył się i poniósł w stronę odległego zagajnika. Piski dziewczyny tym razem zabrzmiały alarmująco. Lillian bez zastanowienia ścisnęła klacz piętami i puściła się galopem.

Miała przed sobą Lucasa Clairmonta: Jego ogier szybko doganiał mniejszą klacz.



- Pochyl głowę! - krzyczał Lucas do przerażonej dziewczyny. - Mocno się trzymaj !

Jednak ogarnięta strachem Caroline nie była w stanie wykonać jego poleceń i niebezpiecznie chwiała się w siodle. Jeszcze kilka jardów i niechybnie znajdzie się na ziemi z nogą uwięzioną w strzemieniu, a koń powlecze ją nie wiadomo dokąd.

- Wyjmij stopy ze strzemion! - krzyczał Lucas.

- N-nie mogę... - W końcu dotarły do niej jego słowa, chociaż nie wypełniła polecenia, niemal leżąc teraz na koniu.

Ogier zrównał się z klaczą. Lucas wychylił się z siodła tak, że Lillian zamarło serce. Gdyby spadł, konie mogłyby go stratować, Krzyknęła, by uważał, z przerażeniem patrząc, jak jego mięśnie napinają się w walce o utrzymanie równowagi. Bezskutecznie usiłował chwycić wodze konia lady Shelby.

Wysunawszy stopy ze strzemion, tuż przed początkiem zagajnika, nie widząc innego wyjścia, przeskoczył ze swego konia na klacz i szarpnął wodze. Gałęzie dębów uderzyły go boleśnie w twarz. Po chwili koń się zatrzymał. Caroline Shelby zanosła się szlochom i mocno przywarła do Lucasa, obejmując go za szyję.

Lillian stanęła i zsiadła z konia.

- Jest pani ranna, lady Shelby? - spytała, zaniepokojona.

- Nie tak groźnie jak ja. - Lucas uwolnił się z uścisku wciąż przestraszonej młodej kobiety.

Zeskoczywszy z konia, dotknął zakrwawionego policzka i uśmiechnął się.

Tymczasem Lillian była bliska smagnięcia go pejczem.

- Mógł się pan zabić! - wykrzyknęła, nie zważając na to, że nie są sami. - Mógł pan upaść, rozbić sobie głowę o kamienie albo zginąć pod końskimi kopytami!

Caroline Shelby ze zdumieniem wpatrywała się w nią swymi błękitnymi oczami. Co ja wyczyniam! - pomyślała Lillian. Zachowałam się histerycznie, zupełnie tak jak ona. Odwróciła się i z wściekłością trzasnęła biczem w gałąź, zadowolona, że po jej uderzeniu z drzewa spadł grad suchych, brązowych liści.

Trzęsła się na całym ciele. Najpierw zaczęły drżeć jej ręce, potem poczuła łaskotanie w żołądku, a gdy postąpiła kolejny krok w stronę konia, poczuła, że kręci jej się w głowie. Ogarnął ją strach, zachwiała się, a potem straciła przytomność.

Lucas chwycił Lillian, zanim upadła. Jasne włosy wymknęły się z ciasno upiętego koka, gdy kapelusz zsunął jej się z głowy. Ostrożnie położył ją na trawie.

- Lilly... - Delikatnie poklepał ją po policzku i wzruszony patrzył, jak otwiera oczy i próbuje się podnieść. - Nie ruszaj się. Zemdlałaś.

- Nigdy... nie... mdleję - powiedziała, po czym dotarło do niej, że przed chwilą jej się to przydarzyło. - To pański brak rozsądku doprowadził do tego, że...

- Nic mi nie jest.

Dotknęła strużki krwi na jego policzku.

- To tylko zadrapanie od gałęzi - wyjaśnił.

Poczuła, że jest pokryta lepkim potem, a po chwili zobaczyła zmierzającego w jej stronę Johna Wilcox-Rice'a. Za nim szli Hammondowie, a na końcu hrabia St Auburn. Lucas odniósł wrażenie, że przyjaciel się uśmiecha.

- Chciałam ci powiedzieć, że ja też coś czułam - powiedziała ledwie dosłyszalnie tuż przed tym, nim pochylili się nad nią John i lady Hammond.

Wiedział, że miała na myśli pocałunek. Jego słowa na bileciku mówiły o tym samym. Stojąca obok nich Caroline Shelby przyglądała im się wzrokiem, w którym wdzięczność mieszała się ze zdumieniem. Czyżby coś słyszała? Jeśli tak, to czy wszystkim o tym opowie? Uniósł kapelusz Lillian i otrzepał go o spodnie.

- Wygląda na to, że świat jest dziś pełen przerażonych łań - podsumował i odszedł, chociaż wolałby nie zostawiać teraz Lilly, bladej i przestraszonej omdleniem.

Wszyscy się o nią troszczyli, dbali o jej wygodę, otulali ją kocami i poprawiali poduszki. Czuwały przy niej na zmianę ciotka Jean, lady Hammond i Caroline Shelby. Pojawiła się nawet płomiennowłosa Cassandra St Auburn. Wyglądała jak okaz zdrowia i wciąż pozostawało tajemnicą, dlaczego wcześniej nie dołączyła do gości. Lillian zastanawiała się, czy będzie miała szansę zadania przyjaciółce kilku pytań na osobności.

W pewien sposób była zadowolona z tego, co się stało. Leżąc w łóżku, nie mogła spotykać się z Lucasem Clairmontem, co bardzo jej odpowiadało po tym, jak niepożrebnie zdobyła się na wyznanie.

„Chciałam ci powiedzieć, że ja też coś czułam”.

Co też sobie wyobrażała? Czego się spodziewała? Mocno zacisnęła powieki. Ciotka Jean natychmiast dotknęła jej ramienia.

- Źle się czujesz, kochanie? Mam posłać po twojego ojca? - Po tych słowach ciotka zanosła się suchym kaszlem.

Lillian naciągnęła prześcieradło na twarz, by się nie zarazić.

- Nie. Czuję się doskonale, ciociu. - Tylko jestem bardzo nierozsądna, dodała w myślach.

Czy powinna pozostać w ukryciu, symulując chorobę? Czy jednak w takim przypadku pozwolono by jej na podróż do domu? W Londynie wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, tymczasem znajdowała się w wiejskiej rezydencji odległej o godzinę drogi od stolicy, pod jednym dachem z mężczyzną, który budził w niej niepokojące tęsknoty.

Zdażyła się już przekonać, że nie może sobie ufać.

Z dnia na dzień stała się nieodpowiedzialną, płochą kobietą, co chwila zmieniającą zdanie.

„Można nosić na ustach uśmiech i być łotrem!”.

Tak powiedział Lucas. Mówił też o tym, że na świecie roi się od oszustów i nawet ona z pewnością coś ukrywa. Nie mylił się. Miała sekret, którego nie mogła wyjawić nikomu.

Kocha Lucasa Clairmonta.

Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia na balu u Lenningtonów. Reprezentował wszystko to, czego jej brakowało. Był śmiały, buntowniczy, nieokiełznany...

Tego dnia, gdy śmierć zajrzała mu w oczy, przekonała się, że go kocha.

- Boże, pomóż mi...

Cassandra St Auburn usiadła w fotelu przy łóżku Lillian. Ciotka i lady Hammond opuściły pokój i przyjaciółki zostały same. Nadarzała się okazja do rozmowy, lecz po

dokonaniu niedawnego odkrycia Lillian nie miała odwagi pytać o Lucasa Clairmonta. Co by zrobiła, gdyby okazało się, że jest łotrem? Gdyby Cassandra, która dobrze go знаła, starała się ją przed nim ostrzec?

- Cieszę się, że dobrze się czujesz - zaczęła, by przerwać milczenie.

- Czuję się źle tylko do południa. Potem wszystko mija Lillian nie domyśliła się, co dolega przyjaciółce.

- Jestem brzemienna - wyjawiała hrabina St Auburn i się roześmiała. - To już piąty miesiąc.

Lillian poczuła zazdrość. Cassandra miała męża, który ją kochał, a teraz oboje oczekiwali przyjścia na świat ich pierwszego dziecka. Szczęśliwa hrabina wiodła życie zupełnie inne niż ona. Lillian, pełniąc rolę posłusznej córki i wzoru cnót, była dotkliwie samotna.

- Lord Wilcox-Rice co chwila pyta o ciebie - powiedziała Cassandra - chociaż wyraźnie dałam mu do zrozumienia, że musisz odpocząć.

- Dziękuję.

- Nathaniel wezwał lekarza do pana Clairmonta. Oprócz rany na policzku, którą trzeba było zszyć, ma tylko złamany paznokieć. Czuję się dobrze i też pyta o twoje zdrowie.

- Naprawdę? - spytała, przyjemnie zaskoczona Lillian.

- Tak. Czuję się w pewien sposób odpowiedzialny za twoje omdlenie.

- Bałam się, że konie go stratują.

- Nathaniel twierdzi, że Lucas doskonale potrafi o siebie zadbać.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Z tą blizną na policzku wygląda jeszcze bardziej zawadiacko niż dotychczas.

- Skaleczenie na pewno nie zagraża jego zdrowiu? spytała Lillian, nie potrafiąc opanować drżenia w głosie.

Miała nadzieję, że przyjaciółka niczego się nie domyśla.

- Wątpię, czy doktorowi udałoby się nakłonić Lucasa do położenia się do łóżka, nawet gdyby rana była poważniejsza.

- Podobno pan Clairmont zamierza wyjechać do Ameryki pod koniec grudnia. Czy już wykupił miejsce na statku? - chciała wiedzieć Lillian, mimo że obiecała sobie nie dopytywać się o Lucasa.

Cassandra nie odpowiedziała. Wstała i spojrzała na zegar przy łóżku.

- Nie mogę cię męczyć. Lekarz zalecił odpoczynek. Myślę, że powinnaś się zdrzemnąć. - Z tymi słowy wyszła z pokoju.

Lillian zastanawiała się, czemu przyjaciółka nagle ją opuściła. Najwyraźniej nie miała ochoty odpowiadać na pytania dotyczące Lucasa Clairmonta. Jaki jednak mógł być tego powód? Czyżby St Auburnowie uknuli spisek. Od kilku godzin symulowała migrenę, a teraz głowa zaczęła boleć ją naprawdę.

Caroline Shelby znalazła Lucasa w salonie. Żałowała, że po kolacji nie wyszedł z pokoju wraz z innymi mężczyznami. Panna Shelby sprawiała wrażenie podekscytowanej, jej policzki były zarumienione.

- Jeszcze raz chciałabym panu podziękować za pomoc, panie Clairmont.

Ponieważ dziękowała mu już wiele razy, uzbroił się w cierpliwość i czekał.

- Chciałabym również zadać panu pewne pytanie. Rozejrzała się dookoła, chcąc się przekonać, czy nikt nie podsłuchuje. Uspokojona, kontynuowała nieco ciszej: - Czy mogłabym zapytać o charakter pańskiej znajomości z Lillian Davenport?

- Z panną Davenport?

Lucas poczuł mocniejsze uderzenia serca.

Caroline musiała usłyszeć słowa Lilly i sprawy przybrały niepomysłny obrót. Zawrzał w nim gniew, lecz szybko się opanował. Musiał zachować rozsądek.

- Uratowałem ją przed osunięciem się na ziemię. Postąpiłbym tak samo w przypadku każdej innej kobiety.

- Każdej innej? - Lady Shelby poczuła wyraźną ulgę. - Zatem nie łączy państwa nic szczególnego?

- Nie. Ledwie się znamy.

- W takim razie, czy mogłabym pana prosić, żeby towarzyszył mi pan jutro w drodze powrotnej do domu? Muszę wracać do Londynu i potrzebuję eskorty.

- Oczywiście. Zrobię to z przyjemnością.

Gdy wyszła, nalał sobie szklanekę zimnej wody.

Czterdzieści minut później Nathaniel zastał go wpatzonego w okno.

- Nie idziesz spać?

- Jutro rano wyjeżdżam z Caroline Shelby.

- Zmiana planów?

- Przyszła tutaj i sugerowała, że darzę szczególnymi względami Lilly Davenport.

Lilly?

- A to nieprawda.

- Oczywiście, że nie.

- Zrujnowałbym jej reputację.

- Na litość boską, Lucas! Czasami myślę, że jesteś dla siebie zbyt surowy, a Wirginia znajduje się daleko stąd.

- Tam jest mój prawdziwy dom, jedyny, jaki znam.

- Tylko dlatego, że nie chciałeś wrócić do Anglii.

- Nie chciałem - powtórzył ze złością. - Nic nie rozumiesz!

- Bardzo chciałbym cię zrozumieć, ale mi na to nie pozwalasz. Wiem, że coś przede mną ukrywasz, a jeśli jest na świecie ktoś, kto jest ci winien przysługę, to właśnie ja. Po tym, co wydarzyło się w Eton...

- To nie była twoja wina.

- To ja ukradłem zegarek, a ty wzięłeś winę na siebie. - To wyznanie zostało wypowiedziane tak ponurym tonem, że Lucas się roześmiał.

- Nathanielu, przecież to był twój zegarek i dyrektor nie miał prawa ci go zabrać.

- Mimo wszystko wstydę się tego, że w najważniejszym momencie zabrakło mi odwagi.

- Po prostu chciałeś odzyskać własność, a z kolei ja - stamtąd uciec. Obaj osiągnęliśmy cel. Dobrze o tym wiesz.

- Gdybyś został w Anglii, mógłbym ci pomóc.

- Wyrzucenie z Eton mnie uratowało. Matki i ojca nie było wtedy w kraju. Mogłem uciec i zyskać samodzielność.

- Miałeś zaledwie czternaście lat.



- To już prawie tak jak dwadzieścia. - Lucas wypił łyk wody. - A ty i Hawk byliście moimi jedynymi przyjaciółmi w Anglii.

- Obawiam się, że nie spisałem się najlepiej w roli twojego przyjaciela. To przede mną Paget ośmiela się wypominać ci przeszłość.

- Paget nie zdążył dorosnąć.

- I na tym właśnie polega problem. Ludzie mają dobrą pamięć, ale nie potrafią przebaczać. Ponieważ nie stoi za tobą wpływowa rodzina, jesteś łatwym celem. Mógłby u nas zamieszkać...

- Wolę utrzymywać bezpieczny dystans.

- Dlatego, że byłeś w wywiadzie? Powiedziałeś mi, że z tym skończyłeś i nie pracujesz już dla wojska.

- To prawda, ale są też inne zaszłości.

Księżyc niespodziewanie wyłonił się zza chmur i zajrzał do salonu przez niezasłonięte okna. Lucas dotknął niedawno zszyciej rany na policzku, wstał i dopił wodę.

- Masz rodzinę, Nathaniel. Jesteś mężem, a niedługo zostaniesz ojcem. Radzę ci się skupić na tych właśnie rolach.

Na skąpany w srebrzystym blasku trawnik spadła nagle sowa, chwytając w szpony pełną myszkę i unosząc ją w niebo. Biedne szamoczące się stworzonko najwyraźniej znalazło się w nieodpowiednim miejscu o niewłaściwej porze. Podobnie jak ja za młodu, pomyślał Lucas, zaciągając ciężkie aksamitne zasłony w kolorze burgunda.

## Rozdział dziesiąty

- Diabeł nie próżnuje, Lillian - stwierdził Ernest Davenport, przystrajając świąteczną girlandą obramowanie kominka w niebieskim salonie. - Dziś rano lord Paget został znaleziony martwy w swoim domu.

Lillian skończyła mocować sosnową gałąź i dopiero po chwili, nieco ochłonawszy, odwróciła się w stronę ojca.

- I pomyśleć, że zaledwie parę dni temu widziałam go na przyjęciu u St Auburnów...

- Właśnie dlatego o tym mówię. Niektórzy twierdzą, że ta śmierć budzi podejrzenia, bo na przyjęciu doszło do kłótni pomiędzy Pagetem a Clairmontem. Amerykanin będzie wezwany na przesłuchanie.

- Przecież to nie pan Clairmont doprowadził do wybuchu awantury, papo. Wprost przeciwnie, starał się ratować sytuację.

- Jestem pewien, że policja dowie się, co tam naprawdę zaszło. To nie nasz problem. Wszystko wskazuje na to, że Amerykanin ma niejedno na sumieniu, i doprawdy trudno mi zrozumieć, dlaczego wciąż zapraszają go na przyjęcia. Ja z pewnością nie chciałbym mieć z nim do czynienia. - Podszedł do Lillian i wskazał gałązkę sosny. - Bardzo ładnie tu wygląda. Może warto by zawiesić drugą po lewej stronie kominka?

Lillian skinęła głową. W jednej chwili opuścił ją radosny świąteczny nastrój. Powróciła myślami do minionego weekendu.

Kiedy w niedzielny rano wstała z łóżka, Lucasa Clairmonta nie było już w domu St Auburnów. Wyjechał do Londynu z lady Caroline Shelby. Nie zdecydował się zostać w Kent, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat jej wypowiedzianego niemal szeptem wyznania, że „coś” czuła, i nie próbował się z nią później skontaktować.

Czy to możliwe, by to właśnie on zamordował lorda Pageta tylko dlatego, że go obraził? Jej świat stanął na głowie i nie wiedziała, w jaki sposób odzyskać równowagę. Leżał przed nią stos ozdób świątecznych, które na jej prośbę służąca przyniosła ze strychu. Zazwyczaj bardzo cieszyło ją dekorowanie domu na święta Bożego Narodzenia, teraz jednak... Popatrzyła na blaszane żołnierzyki, lakierowane obrazki, papierowe rogi

obfitości, czekające na napełnienie łąkociami, oraz na ręcznie wyrabiane świece, które tak starannie wyrzeźbiła w ubiegłym roku. Nieco dalej leżały karty świąteczne i lalki, które ustawiała w szopce pod choinką. Przed świętami czekało ją dużo pracy.

Kiedy służąca oznajmiła, że „panienka” ma gościa i podała jej wizytówkę Caroline Shelby, Lillian ucieszyła się, że może odłożyć przedświąteczne obowiązki na później.

- Proszę, wprowadź ją - zwróciła się do służącej.

Po chwili do salonu weszła lady Shelby.

- Panno Davenport! Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale przychodzę tu w niezwykle delikatnej sprawie.

Dając lady Shelby znak, by usiadła, Lillian zajęła miejsce w fotelu i zastygła w oczekiwaniu.

- Nie wiem, co robić. Pomyślałam, że pani jest taka rozsądna, i na pewno będzie wiedziała, jakie powinnam podjąć kroki.

Lillian uśmiechnęła się, zaskoczona. Czowała się o wiele starsza niż jej kipiąca emocjami rozmówczyni.

- Chodzi mi o to, że coraz bardziej podoba mi się pan Lucas Clairmont z Wirginii, a przyszedł tu, bo słyszałam co mu pani powiedziała, kiedy odzyskała pani przytomność po omdleniu.

- Słucham?

Lillian miała nadzieję, że nie dała po sobie poznać zdenerwowania.

- Słyszałam, jak pani mówiła, że coś do niego czuje.

Panna Davenport zmusiła się do uśmiechu.

- Musiała się pani przesyłścić, ponieważ niedługo zostaną ogłoszone moje zaręczyny z lordem Wilcox-Rice'em.

Panna Shelby na chwilę zamilkła, wyraźnie zbита z tropu.

- Nic o tym nie wiedziałam.

- Być może dlatego, że była pani zajęta wymyślaniem nieprawdziwych historii - powiedziała Lillian. - Od trzech tygodni jesteśmy z Johnem po słowie, a mój ojciec dał nam swoje błogosławieństwo.

Caroline Shelby wstała.

- Och, w takim razie nie mam już nic więcej do powiedzenia i serdecznie panią przepraszam za swoje zachowanie. Prosiłabym również, aby treść naszej rozmowy pozostała między nami. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek się o niej dowiedział.

- Zapewniam panią, że zachowam wszystko w najgłębszej tajemnicy.

Nacisnęła guzik dzwonka; po chwili zjawiała się służąca.

- Życzę miłego popołudnia, lady Shelby - powiedziała chłodnym tonem Lillian.

- Do widzenia, panno Davenport.

Po wyjściu Caroline, Lillian ciężko opadła na kanapę. Pomyślała, że tego dnia nic gorszego się nie może wydarzyć, lecz, jak się miało wkrótce okazać, bardzo się myliła.

Pół godziny później przyszedł rozpromieniony Wilcox-Rice.

- Właśnie spotkałem lady Shelby. Z tego, co mówiła, wynika, że zmieniłaś zdanie co do naszych zaręczyn.

Lillian przyjrzała mu się uważnie po raz pierwszy od wielu tygodni. John był dość pospolity, można go nawet było uznać za nudziarza, ale z pewnością nie był kłamcą ani mordercą. Tego dnia oczy błyszczały mu ożywieniem, a w ręku miał książkę, o której wspomniała mu u St Auburnów i powiedziała, że chciałaby ją przeczytać. Musiała przyznać, że się o nią troszczył.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać z moim ojcem.

Ernest Davenport otworzył butelkę najlepszego szampana i napełnił cztery kieliszki. Ciotka Jean została przywołana ze swej części domu, aby usłyszeć radosną nowinę.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem szczęśliwy z powodu tej decyzji, moja droga. John z pewnością będzie dobrym mężem i należycie zadba o twój majątek.

Ciotka Jean klasnęła z radości i zapytała:

- Kiedy chciałabyś mieć ślub, Lillian?

- Ustalimy datę po świętach Bożego Narodzenia, ciociu - odparła, nie mając ochoty na zastanawianie się nad tym teraz. Prawdę mówiąc, przerażała ją myśl o zamieszaniu towarzyszącym przygotowaniom do wesela.

- Och, i suknia! Musimy ci sprawić najpiękniejszą suknię ślubną, kochanie. Może powinniśmy udać się w tym celu do Paryża, Erneście?

Ojciec roześmiał się. Lillian uświadomiła sobie, że już od wielu miesięcy nie słyszała jego śmiechu.

- Myślę, że to bardzo dobry pomysł, Jean.

John podszedł do Lillian i ujął jej dłoń.

- Moja droga Lillian, sprawiłaś, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Moja droga? Tak zwracał się do niej ojciec. Jak ona powinna mówić do narzeczonego? Nie miała pojęcia. Podeszła do stolika i sięgnęła po kieliszek szampana. Służąca wprowadziła Eleanor. Siostra Johna sprawiała wrażenie zaskoczonej i podekscytowanej.

- Przed chwilą usłyszałam wiadomość - powiedziała - więc postanowiłam natychmiast przyjść. Mama i papa dziś wieczorem wracają z majątku, więc doskonale się składa.

Uśmiechnęła się i wzięła Lillian w ramiona.

- A ty, moja szwagierko - zwróciła się do przyjaciółki - nic mi nie powiedziałaś. Nie miałam pojęcia, że jesteście sobie z Johnem tak bliscy. Może gałązka jemioli tak na was podziałała? Kiedy planujecie ślub? Czy wybraliście już drużny?

Roześmiali się wszyscy, z wyjątkiem Lillian, która nagle w pełni zdała sobie sprawę z tego, co uczyniła. Nieostrożnie wypowiedzianymi słowami wywołała istną lawinę wydarzeń. Kwestia zaręczyn nie dotyczyła już tylko jej i Johna, lecz także całej rodziny, Eleanor i wielu innych osób, których w żadnym razie nie chciałyby zranić.

Głęboko zaczerpnęła tchu, zmusiła się do opanowania i dopiła szampana, po czym zajęła się odpowiadaniem na liczne pytania Eleanor. John z pewnością będzie rozsądnym, uczciwym mężem, powtarzała sobie te słowa w myślach jak mantrę, by ukoić ból serca.

W końcu wszyscy sobie poszli. Ojciec udał się do klubu, ciotka na partyjkę brydża do przyjaciółki. Eleanor i John wrócili do domu, by się przekonać, czy rodzice wrócili.

Cztery dni temu Lillian doszła do wniosku, że jest zakochana w Lucasie Clairmoncie, a dzisiaj zgodziła się na małżeństwo z innym. Na myśl o tym zachichotała nerwowo, a po chwili zaniosła się histerycznym szlochem.

Nieco się uspokoiwszy, podeszła do półki i sięgnęła po książkę, w której zasuszyła pomarańczowy kwiat. Przypominał teraz papier, był suchy i wyblakły. Pomyślała, że ona także uschnie w czekającym ją małżeństwie. Ze złością potrząsnęła głową. Dokonała rozsądnego wyboru. Większość kobiet w jej sytuacji postąpiłaby podobnie.

Majątek Davenportów był rodzowym dziedzictwem, przechodzącym z pokolenia na pokolenie. Spoczywał na niej obowiązek przekazania go następnemu pokoleniu w jak najlepszym stanie. Jej mąż musiał więc być człowiekiem o nienaganej reputacji, nieskazitelnie uczciwym. Nie mogła rozważać kandydatury człowieka, którego podejrzewano o morderstwo. Poza tym Lucas Clairmont nie odwiedził jej ani razu po jej niewczesnym wyznaniu, nie starał się dać jej do zrozumienia, że odwzajemnia jej uczucia.

Zacisnęła palce na łodyżce kwiatu. Nie była już taka młoda i coraz rzadziej składano jej małżeńskie propozycje. Tryskająca energią, pozbawiona kompleksów młodziutka Caroline Shelby była przedstawicielką nowej fali dziewcząt, ustanawiających własne reguły gry, próbujących kierować swym życiem.

Biedna Lillian?

Przypomniała sobie rozmowę podsłuchaną w pokoju wypoczynkowym dla pań ponad trzy tygodnie temu.

Jak wiele się zmieniło od tamtej pory! Otarła pojedynczą łzę toczącą się po policzku. Nie będzie płakać. Podjęła słuszną decyzję, dokonała właściwego wyboru i nawet jeśli pocałunki Johna Wilcox-Rice'a nie przyprawiały jej o bicie serca tak jak pocałunki Lucasa, tym lepiej wróżyło to jej przyszłemu związkowi. Małżeństwo nie służyło zaspokajaniu popędów, liczył się wzajemny szacunek, wierność i uczciwość. Z pewnością pomoże jej poczucie przywiązania, coraz silniejsze w miarę upływu lat.

Włożyła kwiat do książki i odstawiła ją na półkę. Pomyślała, że zasuszona roślina zawsze będzie jej przywozić na pamięć chwile zapomnienia i czas, w którym była bliska podjęcia błędnej decyzji. Zastanawiała się tylko, czemu jej ręce wydają się puste, gdy nie ma w nich pomarańczowego kwiatu.



*Ojciec pochylał się nad nim, z twarzą czerwoną i nabrzmiałą od gniewu i bił go pasem po chudych gołych nogach. Nieopodal siedziała matka pochylona nad robótką. Nie podnosiła głowy.*

*Kiedy ból stał się nie do wytrzymania, chłopak zaczął krzyczeć. William Clairmont w końcu przestał go bić, lecz cierpienie z powodu zdrady rodziców było znacznie trudniejsze do zniesienia niż razy.*

*- Dostałeś kolejną nauczkę, chłopcze - powiedział ojciec, przesuwając dłonią po twarzy syna. - Nie będziemy już do tego wracać, nie będziemy o tym więcej mówić. Zrozumiano?*

Lucas obudził się zlany potem, odkopując koce. Przeklinał panujące wokół ciemności i ojca. Gdyby zjawił się tu teraz, choćby jako duch, z pewnością zwinąłby dłoń w pięść i uderzył Lucasa. Nigdy nie darzył go miłością, wzorem innych ojców.

W miarę jak mijała złość, Lucas zaczął rozróżniać przedmioty znajdujące się w pokoju. Zbliżał się świt i niebo przybierało jaśniejszą barwę. Dawno już nie przyśnił mu się koszmar, który kiedyś często go nawiedzał. Zastanawiał się, czemu pojawił się akurat teraz. Być może sprawiła to rozmowa z Nathanielem o szkole w Eton, o sprawie kradzieży zegarka i jej następstwach.

Znieruchomiał na odgłos pukania do drzwi.

- Wszystko w porządku, Lucas?

W progu stanął Stephen Hawkhurst. Lucas zdziwił się, widząc przyjaciela w wieczorowym stroju o tak wczesnej porze.

- Spędziłeś całą noc poza domem? - Doleciał go zapach drogich perfum.

- Przecież nie chciałeś iść ze mną. Nathaniel znalazł ukojenie w ciepłych ramionach żony, ale ty? - Wszedł do niewielkiego pokoju i położył się w poprzek łóżka. - Elizabeth nie żyje od wielu miesięcy i jeśli sobie w końcu nie wybaczysz, będzie cię dręczyć poczucie winy.

- Dziękuję za dobrą radę. Nathaniel zdążył mi zrobić wykład na ten temat - powiedział lodowatym tonem Lucas.

- A ty jak zwykle nas nie słuchasz. Mam dla ciebie inną propozycję. Wyprowadź się stąd, zamieszkać ze mną, a ja wydam najwspanialszy bal sezonu i zadbam o to, aby

wszyscy, którzy się liczą, uświetnili go swoją obecnością. Po tym wydarzeniu ludzie przestaną plotkować na temat twojej przeszłości, a jako mój honorowy gość, siedzący między hrabią Auburnem a mną, zyskasz szacunek w towarzystwie. - Na wargach lorda Hawkhursta zaigrał uśmiech. - Jesteś przyjacielem panny Davenport. Jeśli zgodzi się przyjść na bal ze swoim narzeczoną, reszta pójdzie za jej przykładem.

- Jest zaręczona z Wilcox-Rice'em?! - Lucas na próżno starał się ukryć przerażenie.

- Dowiedziałem się z pewnego źródła, że planują ślub po Bożym Narodzeniu...

- A niech to diabli! - zaklął Lucas, wprawiając przyjaciela w stan najwyższego zdumienia.

- Czyżbym o czymś nie wiedział?

- Nie, nie, wszystko w porządku, tylko powinienem być mądrzejszy.

Przyjaciel wydał okrzyk dzikiej radości.

- Zakochałeś się w pannie Davenport! Dobrana z was para! Święta i grzesznik, nieskalana i napiętnowany, niewinna i oskarżony. - Hawkhurst był w siódmym niebie, wesoło przebierał palcami po kołdrze, zastanawiając się nad sytuacją.

Lucas siedział nieruchomo na łóżku, żałując, że w ogóle się odezwał.

- Wilcox-Rice zanudzi ją na śmierć.

- Wątpliwe pocieszenie.

- Skoro planują wziąć ślub na początku przyszłego roku, może nie starczyć ci czasu.

- Naprawdę tak im spieszo do ołtarza?

- Najwyraźniej. Daniel Davenport jest jej kuzynem, więc następnym razem nie próbuj go dusić na oczach damy swojego serca.

- Lillian Davenport nie jest damą mojego serca.

- Jeśli będziesz się trzymał tej wersji, niczego nie zmienisz.

- Mam już tego dość, Stephen. Jest wczesna pora, a ja jestem bardzo zmęczony.

Przyjaciel zmarszczył czoło.

- Nathaniel i ja jesteśmy dla ciebie jak bracia, Lucas, więc jeśli chcesz o czymś porozmawiać...

- Nie chcę.

- Ale nie masz nic przeciwko temu, żebym zorganizował bal, o którym mówiłem?  
- To ty jesteś specjalistą od rozwiązywania problemów.  
- O, jeszcze coś. Dziś wieczorem dowiedziałem się czegoś ważnego. Policja ustaliła, że Paget popełnił samobójstwo. Obaj dobrze wiemy, co to znaczy.

- Nie będę oskarżony o morderstwo.

- Gdybyś przestał dręczyć Davenporta i nie trwonił pieniędzy przy karcianych stolikach, o nic by cię nie podejrzewano. Nie wiem, co takiego zrobił Daniel Davenport, że go tak nękaasz, ale moim zdaniem nie jest wart zainteresowania.

- Moja żona miałaby inne zdanie na ten temat.

- Elizabeth go znała? - spytał Hawkhurst, nie kryjąc zaskoczenia.

- Jeśli list, który wysłał jej Davenport, trafnie oddawał stan ich uczuć, to znała go więcej niż dobrze.

- A niech to!

Lucas był nawet zadowolony, że udało mu się zaszokować Stephena. Ostatnio przyjaciel kwestionował wszystkie jego poczynania.

- Jeśli go zabijesz, trafisz na szubienicę. Lepiej porachuj się z nim jakiejś ciemnej nocy z dala od Londynu.

- Teraz, kiedy się nad wszystkim zastanawiam, myślę, że to nie była tylko wina Elizabeth. Myśmy się już nawet nie lubili. - Szczerłość była bronią obosieczną, ale Lucas nie miał ochoty dłużej się oszukiwać.

- Odkąd to jesteś taki krytyczny wobec siebie?

Lucas niespodziewanie pomyślał o Lillian. To ona ukoła wrzący w nim gniew, sprawiła, że poczucie osamotnienia i rozpacz ustąpiło miejsca ufności i wierze w dobro. Mimo wszystko bał się trochę tej zachodzącej w nim przemiany.

- Chyba się starzeję... - Uśmiechnął się, udzielwszy wykrętnej odpowiedzi.

Gdy pierwszy ranny ptak rozpoczął trele, Stephen przeciągnął się i ziewnął.

- Muszę się zdrzemnąć. Dobranoc, Lucas.

- Dobranoc, przyjacielu.

Lord Hawkhurst skulił się na łóżku i po chwili rozległo się donośne chrapanie. Lucas uśmiechnął się. Powrót do Anglii miał swoje dobre strony, a jednym z plusów była obecność Stephena.

Zostawił śpiącego przyjaciela i udał się na spacer nad Tamizę. Zimny wiatr tworzył na rzece szare fale, sięgające obwałowań. Nie miał ochoty iść do klubu ani do tawerny, a nawet do domu Lindsayów, w którym był zawsze mile widziany. Tego dnia po prostu szedł przed siebie, obok szpitala w Chelsea i dalej trasą, którą wieziono ciało Wellingtona podczas państwowego pogrzebu w listopadzie ubiegłego roku. Na trasie przejazdu konduktu zgromadził się milion ludzi, by oddać hołd zmarłemu.

Pomyślał, że za pewien czas ludzie znów wylegną na ulicę z okazji jakiejś uroczystości państwowej, która poruszy umysły i serca. Życie toczyło się dalej, mimo że Lucasa zdradziła żona, a jego stryj umarł zdecydowanie przedwcześnie.

Stuart Clairmont!

Nawet teraz trudno było mu myśleć o stryju, nie odczuwając przy tym głębokiego żalu. Stryj był dla niego jak kochający ojciec. Serdecznie zaopiekował się chłopcem przybyłym z Anglii. Dał mu poczucie sensu życia i siłę, które zdusił w nim okrutny rodzic, uznający karę za jedyną metodę wychowawczą, kształtującą charakter.

Wciąż miał na ciele blizny po bestialskich pobiciach i nadal nienawidził Williama Clairmonta z pasją dziecka, któremu nie dano szansy.

Co teraz porabia Lilly? - zastanawiał się, czując wzbierającą w nim złość. Nie zdążył jeszcze dojść do siebie po usłyszeniu wiadomości o jej zaręczynach. Zamierzała wyjść za mąż za człowieka, który zupełnie do niej nie pasował; nie potrafił ani całować, ani walczyć. Taki mężczyzna nie będzie w stanie obronić żony.

Uzmysłowił sobie, że John Wilcox-Rice nie ma wrogów i żyje jak w puchu, wśród podobnych sobie. Nie musiał poznawać tajników sztuki przetrwania, zachowywać czujności tak jak Lucas. To samo mógłby powiedzieć o Lillian. To on, a nie Wilcox-Rice pochodził z innego świata niż ona, i to on do niej nie pasował.

Podbiegł do omnibusu. Konduktor wydał mu bilet. W zatłoczonym, wypełnionym zapachem potu pojeździe było z pewnością dwa razy więcej ludzi, niż przewidywał to regulamin, dopuszczający przewóz dwudziestu dwóch pasażerów.

## Rozdział jedenasty

Tego wieczoru na przyjęciu u Billinghurstów nie było chętnych do rozmowy z Lucasem Clairmontem. Przyjaciele go nie zawiedli. Hrabia St Auburn i lord Hawkhurst stanęli obok niego, mile się uśmiechając. Jednak oprócz nich nikt do niego nie podszedł.

Lillian uznała, że ostracyzm towarzyski wynikał z powodu nagłej śmierci lorda Pageta i szybko rozchodzących się plotek o wyczynach Lucasa przy karcianym stoliku. Wprawdzie nikt nie zarzucił Amerykaninowi oszustwa w grze, lecz wyraźnie sugerowano taką możliwość.

- Pan Clairmont budzi silne emocje, nie uważasz? - zwróciła się do niej Anne Weatherby.

Lucas wyglądał niezwykle przystojnie w czarnym fraku, choć elegancki ubiór wydawał się go krępować.

- Skoro jest tutaj, a nie w londyńskim więzieniu, to znaczy, że policja nie łączy go ze sprawą śmierci lorda Pageta.

Stojąca obok Anne Weatherby roześmiała się i powiedziała:

- Pan Clairmont ma w tobie dzielną obrończynię, Lillian. Słyszałam, że twoje wystąpienie u St Auburnów zmusiło Pagetów do wyjazdu.

- Teraz czuję się winna z tego powodu.

- Widzę, że twój przyszły mąż nie ma podobnych rozterek. Wprost promienieje szczęściem.

John właśnie zmierzał w ich stronę w towarzystwie swojej siostry Eleanor. Istotnie, tego wieczoru był w doskonałym humorze.

- Dowiedziałem się z wiarygodnego źródła, że Golden Boy pobiegnie w przyszłym roku w gonitwie w Epsom - oznajmił. - Mam w tym udział finansowy, więc ta informacja ogromnie mnie ucieszyła. Czy twój ojciec jest obecny na przyjęciu, Lillian? Chciałbym jak najszybciej przekazać mu tę nowinę.

Eleanor odprowadziła brata wzrokiem i wsunęła rękę pod ramię Lillian.

- Mam wrażenie, że John kocha twój ojca niemal tak samo jak ciebie. Często mi powtarza: „Ernest Davenport powiedział to, Ernest Davenport powiedział tamto”.

Zdaje się, że nasz papa ma tych ciągłych porównań powyżej uszu. Od dawna John nie rozmawia z nim na osobności. Myślę, że trudno jest im się porozumieć z powodu konfliktu pokoleń. Często się zastanawiam, czy pobyt w Indiach albo w armii nie wpłynąłby korzystnie na rozwój osobowości mojego brata. Trochę szkoda, że te możliwości się skończyły.

Lillian starała się wyobrazić sobie Johna na Dalekim Wschodzie, lecz szybko się poddała. Wydawał się jej stworzony do przebywania w zaciszu salonu. Z kolei Lucas Clairmont najwyraźniej dusił się w świątku londyńskiej socjety. Owszem, potrafił zręcznie prowadzić rozmowę, jednak nie sprawiał wrażenia swobodnego i szczerze rozbawionego. Zauważyła, że zawsze stawał plecami do ściany jak człowiek, który musi nieustannie mieć się na baczności. Pomyślała, że mógł być żołnierzem albo wykonywać tajne misje. Znała historię Colquhouna Granta, oficera brytyjskiego wywiadu w służbie księcia Wellingtona. Lucas Clairmont bardzo jej go przypominał. Jakby wyczuwając na sobie jej spojrzenie, popatrzył na nią i się uśmiechnął. Szybko odwróciła wzrok, udając, że poprawia ozdobę przy sukni. Gdy po pewnym czasie ponownie zerknęła na niego, był zwrócony w inną stronę.

Rozczarowana, obracając na palcu pierścienkę zaręczynowy w nadziei, że doda jej odwagi, przysłuchiwała się rozmowie Anne z Eleanor.

- Słyszałem, że można pani gratulować - powiedział, gdy godzinę później spotkali się w opustoszałej jadalni. - Coś mi mówi, że pani wybranek poczynił wielkie postępy w sztuce całowania.

- Owszem, panie Clairmont - odparła Lillian. - Poza tym, chociaż panu może wydać się to nieprawdopodobne, u przyszłego męża liczą się inne umiejętności i cechy o wiele dla mnie ważniejsze.

- Naprawdę? - zapytał z komiczną powagą.

Trudno jej było powstrzymać się od uśmiechu. Zaraz jednak spoważniała i wyjaśniła:

- Na przykład reputacja mężczyzny. Może okazać się bardzo istotna dla roztropnej, ostrożnej kobiety.

- Właśnie taka jesteś, Lilly?



- Jestem panna Davenport - sprostowała. - Doceniam fakt, że John przynajmniej nie jest podejrzany o morderstwo.

- Ponieważ woli się nie wychylać, podobnie jak pani?

Zniechęcona odwróciła się, aby odejść, lecz Lucas jej to uniemożliwił, chwytając ją za ramię tak mocno, że aż skrzywiła się z bólu.

- Powinna pani poczekać na ogłoszenie wyników śledztwa, zanim nazwie mnie winnym.

- A to dlaczego? - Nie ustępowała. - Skoro jest pan widywany w towarzystwie hazardzistów, oszustów karcianych, często odnosi obrażenia na skutek pobicia, to co mam o panu myśleć?

- Lilly, miałem nadzieję, że poznawszy mnie trochę, wie pani, że nie jestem czarnym charakterem - powiedział z wyraźnym amerykańskim akcentem.

- Niech pan mi powie, skąd mam to wiedzieć, Lucasie?

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu i ujrzała błysk zadowolenia w jego oczach. Niespodziewanie dostrzegła w nich też bezbronność, co trąciło czułą strunę w jej sercu.

- Poślubienie innego mężczyzny tylko dlatego, że ten upatrzony ma kilka wad, nie jest najlepszym rozwiązaniem problemu.

- Co pan proponuje?

- Ucieknijmy - rzucił w odpowiedzi Lucas i się roześmiał.

Lillian poczuła dreszcz podniecenia. Gdyby mówił prawdę... Miała jednak wrażenie, że jedynie żartował.

- Proponuje mi pan, żebym spędziła resztę życia, zastanawiając się, kiedy założę panu stryczek na szyję?

- Zapewniam panią, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Pageta, jeśli o to pani chodzi.

- Wyrzucono pana z Eton.

- Byłem chłopcem...

- Kto ukradł zegarek?

Ponownie się roześmiał.

- To straszne przestępstwo...

Nie była w nastroju do żartów.

- Jestem jedyną dziedziczką Fairley Manor, panie Clairmont, a my, Anglicy, strzeżemy naszych dóbr, mądrze zawierając związki małżeńskie.

Odwrócił głowę i Lillian zobaczyła szeroką czerwonawą bliznę biegnącą od prawego ucha aż po kołnierzyk koszuli.

- Dawno temu miałem wypadek... - wyjaśnił, widząc jej zakłopotanie.

Lillian stała jak skamieniała. To nie było zwykłe skaleczenie, które goi się po kilku dniach. Była w stanie sobie wyobrazić, jaki ból musiał odczuwać. Z pewnością długo dochodził do siebie. Zdała sobie sprawę, że dzieli ich przepaść. Kto się nim opiekował, gdy chorował? Słyszała, że wyjechał do Ameryki jako mały chłopiec, nikt jednak ani słowem nie wspomniał o jego rodzinie.

- Czy wyjechał pan do Ameryki z rodzicami?

Lucas był zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- Z rodzicami?!

- Hrabia St Auburn wspomniał, że miał pan zaledwie czternaście lat, gdy został zmuszony do opuszczenia Eton i niedługo potem wyjechał pan z Anglii.

- Miałem stryja w Ameryce.

- Sam popłynął pan do Ameryki?

- Pracowałem na pokładzie „Joanny”. Podróż z Londynu do Nowego Jorku trwała czterdzieści dni. Na szczęście, morze było spokojne.

Zastanawiając się nad jego słowami, Lillian wyobraziła sobie chłopca płynącego przez ocean na drugi koniec świata. Musiał czuć się bardzo samotny. Dlaczego nie towarzyszyli mu rodzice? Wyczuła, że Lucas nie życzy sobie dalszych pytań. W świetle świec jego włosy, opadające bujnymi kędziorami na kark, przybrały ciemnokasztanową barwę.

- Nie będzie pani szczęśliwa z Wilcox-Rice'em - powiedział zduszonym głosem.

- Podczas gdy pan z pewnością by mnie uszczęśliwił?

Uśmiechnął się.

- Są rzeczy ważniejsze niż krój fraka czy umiejętność wyboru odpowiedniego widelca, panno Davenport.

- Mam odnieść te słowa do siebie?

- Po części...

W duchu przyznała mu rację, choć czuła się urażona.

- W takim razie to, co sobą reprezentuję, musi pana bardzo denerwować, panie Clairmont, a ja z kolei nie podzielam pańskich upodobań. Uważam, że przyjemny pocałunek męczyzny, który tak zdecydowanie odrzuca wszelkie normy moralne, nie wystarcza na stworzenie związku mającego szansę przetrwać choćby miesiąc.

- Uważa pani, że utworzy trwały związek z obecnym narzeczonym? - wycodził przez zaciśnięte zęby.

Nie dała się zbić z tropu.

- Owszem. Ludzie nie doceniają znaczenia przyjaźni i szacunku w małżeństwie.

- Która z niespełnionych żon podzieliła się z panią tymi rewelacjami?

Zesztywniała z oburzenia.

- Widzę, że byłam naiwna, licząc na to, że spokojnie rozważy pan moje słowa.

- I kto tu mówi o spokojnej refleksji? Przecież przed chwilą oskarżyła mnie pani o popełnienie morderstwa.

- Miał pan powód, żeby nienawidzić Pageta...

- Przyznaję, że brak mi argumentów. Poddaję się. Skoro myśl może zabić tak jak kula...

Widząc, że udało mu się wywołać uśmiech na jej twarzy, postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- Spędź ze mną noc, Lillian. Zobacz, czego ci zabraknie, jeśli wyjdiesz za Johna Wilcox-Rice'a.

Struchlała ze zgrozy, lecz po chwili ta zuchwała propozycja wydała się jej kusząca. Poczula dobrze znajomy dreszcz podniecenia...

- Mam zacząć nowe życie od zrujnowania sobie reputacji?

- Wiesz, że nigdy nie dopuszczę do tego, by stała ci się jakakolwiek krzywda. Proszę, uwierz mi.

Zauważyła, że co pewien czas rozglądał się dokoła, aby zyskać pewność, że nikt ich nie słyszy. Starał się sprawiać wrażenie osoby prowadzącej konwencjonalną rozmowę, aby nikt nie posądził go o niestosowne zachowanie.

- A gdybym straciła rozum i zdecydowała się podjąć takie ryzyko, to gdzie miałyby miejsce ta schadzka? Nie chciałabym pozbywać się swoich zahamowań w jakiejś noclegowni.

Uśmiechnął się. Popatrzyła na uroczy dołeczek w jego policzku i natychmiast przywołała się do porządku. Brakowało jeszcze tylko tego, by onieśmielał ją swą urodą.

- Mam dom w Bedfordshire. Wyjedź ze mną.

- Nie mogę...

- A jednak chciałaś kupić ode mnie pocałunek, mimo że prawie w ogóle mnie nie znałaś. Zrób o jeden krok więcej.

Usłyszała za sobą głos Wilcox-Rice'a.

- Lillian, wszędzie cię szukam. - John z trudem skrywał niezadowolenie.

- Pan Clairmont zaprosił nas do swojego domu na wsi.

Lucas spiorunował ją wzrokiem.

- Nie planujemy pobytu w tamtych stronach, Clairmont, a poza tym podobno niedługo wyjeżdża pan do Ameryki.

- O ile policja nie każe mi pozostać w Londynie.

John zaczerwienił się. Prowokujące słowa Lucasa były jak rękawica rzucona przeciwnikowi, choć John nie wiedział jeszcze, o co ma walczyć.

Lillian uświadomiła sobie, że ci dwaj mężczyźni toczą pojedynek o nią. Po raz pierwszy znalazła się w podobnej sytuacji, choć od jej debiutu upłynęło kilka lat i miała wielu starających się o rękę. Wydało jej się nagle, że pierścionek z białego złota na serdecznym palcu lewej ręki ją ciśnie, przypominając o cnocie umiaru i powściągliwości.

Nie miała szansy na kolejny pocałunek. Pilnowali jej ojciec, ciotka i narzeczoncy. Korciło ją, by podać rękę stojącemu naprzeciwko niej Amerykaninowi i dać się wprowadzić daleko stąd.

Jest taka sama jak jej matka!

Chwila szaleństwa minęła. Szybko zastanowiła się nad sytuacją. Mogła stać się stateczną Lillian albo trzpiotowatą Lilly. Wieść spokojne, nudne życie u boku Johna lub podjąć ryzyko i poznać świat od bardziej niebezpiecznej, lecz ciekawszej i barwniejszej strony. Pomyślała o pomarańczowych kwiatach...

Los postawił ją przed koniecznością dokonania wyboru pomiędzy możliwościami podobnymi do tych, jakie miała przed laty jej matka. Rebecca popełniła błąd i zmarła okryta niesławą, dręczona wyrzutami sumienia.

Pochyliła głowę i pozwoliła Johnowi Wilcox-Rice'owi poprowadzić się na parkiet. Muzyka Straussa porwała Lillian i pozwoliła zapomnieć o dręczących ją dylematach. Wiele par oczu z zaciekawieniem patrzyło na dwoje narzeczonych, zazdroszcząc im miłości. Ci ludzie nie wiedzieli, że sytuacja Lillian i Johna wcale nie przedstawia się różowo.

W walcu John przyglądał się jej rozplamionym wzrokiem. Taki sam wyraz uwielbienia malował się na jego twarzy, gdy odprowadzał Lillian do jej pokoju u St Auburnów. Lekko przyciągnął ją do siebie.

- To taniec zakochanych, Lillian. Doskonały dla nas, nie uważasz?

Miała ochotę wyzwolić się z jego objęć.

- Gdybyś w niedługim czasie zechciała zastanowić się nad datą... najlepiej nieodległą naszego ślubu, uczyniłabyś mnie najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

Pomyliła kroki.

- Teraz musimy przygotować się do świąt.

- W takim razie może w lutym?

- Myślałam o lecie - powiedziała.

John posmutniał.

- Nie, to za długo. - Zdziwił ją stanowczy ton jego głosu. - Musimy wziąć ślub wcześniej.

Skinęła głową i zamilkła.

Wcześniej? Jego słowa były jak dźwięk żałobnych dzwonów.

- Jeśli nie zdołasz jej przekonać w najbliższym czasie, może być za późno - orzekł poważnym tonem Hawkhurst.

Dochodziła druga w nocy.

- Uważam, że jasno dałem pani Davenport do zrozumienia, jakie są moje intencje - odparł Lucas. - To było zaledwie godzinę temu.

- Nie okazała ci przychylności?

- Dobrze to ująłeś.

- To dopiero pierwsze podejście. Zamierzasz się poddać?

- Tak. Dała mi do zrozumienia, że podejrzewa mnie o zabójstwo Pageta.

- Moim zdaniem, Lillian Davenport sprawia wrażenie nieszczęśliwej, a ten jej, pożałuj Boże, narzeczony uwiesił się na jej ramieniu, aby poprzez ożenek stworzyć sobie wygodne życie. Nawet jej ojciec sprawia wrażenie znudzonego jego wywodami, a to wiele mówi. - Lord Hawkhurst urwał, uśmiechając się złośliwie, po czym dodał: - Z kolei jej ciotka przygląda ci się z wyraźnym zainteresowaniem.

- Myślę, że chce mnie ukarać w imieniu syna.

- Nie sądzę. W jej wzroku kryje się zaciekawienie.

- W takim razie musiała być przyjaciółką Alberta Pageta i stara się dowiedzieć, w jaki sposób wyprawilem go na tamten świat.

- Bez wątplenia wkrótce się wszystkiego dowiemy. Wydaje mi się, że zmierza w naszą stronę.

- Sama?

- Samotna...

- Panie Clairmont. - Jean Taylor-Reid zwróciła się do Lucasa, ignorując Hawkhursta, i od razu przeszła do sedna sprawy: - Odnoszę wrażenie, że moja bratanica bardzo przejęła się pańskimi problemami i postanowiła podać panu pomocną dłoń, więc chciałabym pana ostrzec. Panuje powszechna opinia, że grzechy młodości mogą panu bardzo utrudnić ułożenie sobie życia w Londynie.

- Wcale nie jestem tym zaskoczony, lady Taylor-Reid. Od dawna nie przejmuję się angielskimi obsesjami na temat pochodzenia i majątku.

- W takim razie sam się pan prosi o kłopoty.

- Czy byłaby pani łaskawa wyjaśnić, co ma na myśli?

Niezrażona ironicznym tonem Lucasa, lady Taylor-Reid kontynuowała:



- Wartość rodowego nazwiska jest niepodważalna i nie zamierzam dopuścić do tego, by jakikolwiek cień padł na rodzinę Davenportów. Jeśli mój syn Daniel zrobił coś, co pana obraziło... - Zaciśnęła powieki, by powstrzymać łzy, cisnące się do oczu.

Lucas milczał, wciąż nie wiedząc, do czego zmierza jego rozmówczyni.

- Proszę pana, by nie zwracał pan na niego uwagi. Wiem, że bywa trudny, ale gdyby umarł... - Głos jej się załamał i musiała wziąć głęboki oddech. Po chwili podjęła: - Oczywiście jestem gotowa ofiarować panu coś w zamian za zostawienie mojego syna w spokoju. Chodzą słuchy, że jest pan zamieszany w śmierć Pageta. Być może postąpiłby pan najrozsądniej, gdyby wrócił do Ameryki, korzystając z najbliższej nadarzającej się okazji. Jutro rano odpływa statek do Bostonu z opłaconym miejscem w kajucie. - Wyciągnęła ku niemu kartkę papieru. - Tutaj są wszystkie szczegóły, panie Clairmont, a za przyjaźniony kapitan nie będzie zadawał panu żadnych pytań.

- Mam zostawić w spokoju pani syna i bratanicę?

- Widzę, że doskonale się rozumiemy.

Nie czekając na jego zgodę, odeszła. Lady Taylor-Reid. Drobna, siwiejąca kobieta, lekko przygarbiona, lecz o żelaznej woli. Nestorka rodu, gotowa walczyć jak lwica o reputację rodziny. Po chwili dołączyła do Ernesta Davenporta, który przyglądał się rozmawiającym, nie kryjąc złości.

- Zapewne Daniel Davenport wyssał z mlekiem matki umiejętność stawiania na swoim - podsumował Stephen.

Lucas roześmiał się, chociaż niepokoiło go to, że Lilly najwyraźniej unika spoglądania w jego stronę. W spokojnym, dostatnim życiu wybierała bezpieczne, sprawdzone rozwiązania. Nie należało lekceważyć słów Jean Taylor-Reid. Powinien zostawić Lillian Davenport z jej roztroptym, odpowiedzialnym narzeczoną i pozwolić jej czerpać satysfakcję z faktu, że określa standardy zachowania wśród londyńskich elit. Nie potrafił jednak jej opuścić po tym, jak spontanicznie wyznała mu miłość i stwierdziła, że jej ulubionym kolorem jest pomarańczowy, choć było to oczywistą nieprawdą.

Dopił lemoniadę i odstawił szklanekę na stolik. Jeśli nie podejmie odpowiednich kroków jeszcze tej nocy, nazajutrz może być za późno. Zdeterminowana ciotka Jean, martwiąca się o syna, może poważnie pokrzyżować mu plany.

Po śmierci żony stał się wręcz odludkiem. Dotąd nie uświadamiał sobie tego w pełni. Lillian wskrzesiła w nim uczucia wygasłe w smutnych latach dzieciństwa i młodości. Tego wieczoru, gdy patrzył na nią, ubraną w białą suknię, ze światłem świec odbijającym się w jej włosach, obudziła się w nim nadzieja i pragnienie szczęścia. Marzył o możliwości cieszenia się pełnią życia.

Odłączył się od Hawkhursta i wyszedł na balkon. W powietrzu unosiły się dźwięki muzyki Mozarta, niosące wspomnienie Anglii, zawsze obecne w jego życiu. Ogarnęła go tęsknota za domem i rodziną. Pragnął Lilly, jej dobroci i uczciwości.

W oknie salonu na parterze stała bożonarodzeniowa choinka. Elizabeth nigdy nie przywiązywała wagi do tradycji. W czasie świąt odbywali liczne wizyty. Jego żona znajdowała ukojenie w gwarze rozmów i towarzyskich zabaw.

Przezeszał włosy palcami. Prawdę mówiąc, ożenił się z nią jedynie dla jej urody. Co prawda, miał wtedy prawie dwadzieścia siedem lat, ale od przyjazdu do Ameryki pochłaniała go przede wszystkim praca. Kiedy więc zobaczył piękne, błyszczące oczy Elizabeth i jej kasztanowe loki, stracił dla niej głowę. Już w pierwszym roku małżeństwa pożałował swego wyboru.

Uświadomił sobie, że nigdy jej nie kochał. Zaklął pod nosem. Do tej pory nie przyznał się do tego nawet przed samym sobą. Dlaczego więc tak łatwo było mu uzmysłowić to sobie tutaj i teraz? Odpowiedź narzucała się sama. Obok, na sali, znajdowała się kobieta, którą darzył autentycznym podziwem i prawdziwym uczuciem. Jego Lilly... tańczyła, śmiała się i rozmawiała.

„Odnoszę wrażenie, że moja bratanica bardzo przejęła się pańskimi problemami i postanowiła podać panu pomocną dłoń, więc chciałabym pana ostrzec”, przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez lady Taylor-Reid.

Otworzył drzwi balkonu i starał się wypatrzyć Lillian wśród zgromadzonych na sali. Dopisało mu szczęście - Lilly właśnie opuściła grupkę składającą się z członków rodziny i przyjaciół i udała się w stronę niszy w końcu sali. Czyżby zrobiła to specjalnie? Nie był tego pewien.

Jednak po chwili siedział obok niej w cichym zakątku, opromieniony jej ciepłem i zauroczony blaskiem jasnoniebieskich oczu. Nie był w stanie dłużej dbać o zachowanie ostrożności.

- Twoja ciotka ostrzegła mnie, bym się z tobą nie zadawał. Uważa, że mam na ciebie zgubny wpływ.

- A masz, Lucasie?

Pokręcił głową. Chciał wszystko jej wyjaśnić, lecz nie potrafił się jeszcze na to zdobyć, wiedząc, że Lilly nie pochwaliby wielu jego poczynań. Jakby czytając w jego myślach, przejęła inicjatywę.

- Nie wiem, co jest między nami, ale wolałabym, żeby to się wyjaśniło.

Przyłożyła dłoń do piersi, jakby chcąc powstrzymać szybko bijące serce. Czekał z napiętą uwagą, świadom, że nie ma czasu na przekomarzenia się i niedopowiedzenia.

- Pragnę cię - powiedział, delikatnie przesuwając kciukiem po jej ramieniu.

Była taka krucha. Tak łatwo mógł zniszczyć jej życie!

Nawet ta myśl nie była w stanie powstrzymać go od szukania swej szansy. Musiał działać natychmiast, choć rozum podpowiadał mu, że powinien pozwolić Lillian odejść. Właśnie w tym momencie delikatnie ujęła jego kciuk palcami. Jedwabne falbany rękawa musnęły jego dłoń.

Cofnął rękę i zamknął oczy, czując narastające pożądanie.

- Lilly... - Tylko tyle był w stanie powiedzieć, nie chcąc mieć nastroju chwili. Jeśli miały mu pozostać tylko wspomnienia, chciał, żeby były jak najpiękniejsze.

Miał siłę i temperament, a jednak potrafił się powstrzymać. Musiała przyznać, że jej imponował. Rozkoszne ciepło, rozchodzące się po całym ciele, kruszyło jej opór. Tułąc się do siebie, dotykając dłońmi i ustami, stali się jednością także duchowo. Lillian czuła, że oto rozpoczęło się coś, czemu nie jest w stanie dłużej się przeciwstawiać. Miała dość udawania. Wychyliła się i otarła piersiami o tors Lucasa. Niemal pod boki jej ojca, narzeczonego i ciotki, podczas przyjęcia, w którym uczestniczyło trzysta osób, mogło się zdarzyć wszystko.

- Ach, Lilly, gdyby to mogło nam pomóc... - W głosie Lucasa pobrzmiwał ton rezygnacji.

Uniósł dłoń Lillian i ją pocałował, obwodząc językiem kostki. Widząc, że się wycofuje, próbowała go zatrzymać, lecz szybko się odwrócił i zostawił ją samą. Drżąc na całym ciele, zacisnęła dłonie w pięści, wpijając paznokcie w skórę.

„Życie jest jak rzeka i płyniemy z jej nurtem do miejsca przeznaczenia”. Próbowała odtworzyć w pamięci jego słowa. Czyżby jej przeznaczeniem było życie bez Lucasa?

Zapatrzyła się na ciemne niebo usiane gwiazdami. Chmury powoli odpływały na wschód. Pogoda zmieniała się tak jak ona. Uzmysłowała sobie, że Lucas Clairmont zachował się niezwykle honorowo, zostawiając ją, zanim doszło do kompromitacji. Głęboko zaczerpnęła tchu i, uspokojona, weszła na salę.

Tam niemal wpadła na siostry Parker. Na ich twarzach malowało się zdumienie. Ogarnięta lękiem, poczuła ściskanie w gardle i szybko zakaszła, by ukryć zmieszanie, Czyżby coś widziały?

- Mamy piękny wieczór - powiedziała, lecz nawet w jej uszach te słowa zabrzmiały obco. Obawiała się, że zdradza ją drżenie głosu.

Nie doczekała się odpowiedzi. Żadna z sióstr nie uśmiechnęła się do niej. Stały jak wmurowane, a potem młodsza z nich rozplakała się i wszystko stało się jasne. Jakaś kobieta, najprawdopodobniej krewna, podeszła do panny Parker. Zaraz po niej dołączyła druga.

- Panna Davenport pozwoliła panu Clairmontowi pocałować dłoń i stała tak blisko niego! Zbyt blisko! Jest przecież zaręczona z lordem Wilcox-Rice'em. Z pewnością mu się to nie spodoba.

- Cii... Miriam, uspokój się - odezwała się kolejna kobieta, która do nich podeszła.

Ten głos rozsądku mógł zapobiec skandalowi, lecz nagle starsza z sióstr zaniósła się płaczem. Przez salę przeszedł szmer zainteresowania, który po chwili się wzmógł. Przypominał zmarszczki rozchodzące się na wodzie spokojnego stawu po wrzuceniu doń kamienia sporej wielkości. Głosy przybierały na sile; nie było w nich nuty współczucia.

Ernest Davenport, blady jak ściana, ruszył w stronę córki. John Wilcox-Rice stał nieruchomo z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Ciotka Jean zmarszczyła czoło, strapiona. Umilkły dźwięki muzyki.

Tak oto dokonał się upadek Lillian, wzoru cnót, uosobienia dobrych manier i nieskazitelnego zachowania. Ojciec dotknął jej ramienia.

- Chodź - powiedział łagodnie. - Zabieram cię do domu.

## Rozdział dwunasty

Po wyjściu z domu Billinghurstów Lucas ruszył przed siebie, rozważając, co powinien teraz zrobić. Wolał nie myśleć o tym, do czego mogłoby dojść, gdyby dłużej został na przyjęciu. Zapewne całowałyby Lillian Davenport aż do utraty tchu. Czy ona uderzyłaby go w twarz, domagając się przeprosin? Nie mógł ryzykować. Jeszcze nie teraz. Najpierw musiała lepiej poznać jego charakter i przekonać się, czy chce zacieśnienia znajomości.

Zaklął pod nosem. Z zasady starannie planował kolejne kroki w życiu, tymczasem tracił nad sobą kontrolę do tego stopnia, że gotów był narazić na szwank reputację Lillian. Uświadomił sobie, że wykazał się niepotrzebnym brakiem rozsądku.

Lillian nie sprawiała wrażenia szczęśliwej. Nie chwyciła jego ręki, aby go zatrzymać, tylko rozpaczliwie powiodła wzrokiem po sali, szukając twarzy narzeczonego i ojca, a jej oczy zaszczyły łzami.

Jak mógł dopuścić do tego, by sprawy przybrały tak niepomysłny obrót? Dlaczego w ogóle podjął ryzyko? Czuł, że wzbiera w nim gniew. Jest przybyszem z kolonii mającym niewiele do zaoferowania pannie o ustalonej pozycji wśród londyńskiej elity, gdzie majątek liczył się ponad wszystko. Trudno było się dziwić, że nie życzyła sobie jego załatów w publicznym miejscu i bała się kompromitacji.

Nie miał u niej szans ze swą reputacją, brakiem poczucia przynależności. Nie pasował do żadnego środowiska i czuł się dobrze chyba jedynie na pustkowiach Wirginii, gdzie liczyła się przede wszystkim ciężka praca.

Jego żona musiała się pocieszać w ramionach innego mężczyzny, bo Lucas nie rozumiał, na czym polega małżeństwo. Nie czuł potrzeby pielęgnowania związku, tworzenia prawdziwego domu, wspólnego pokonywania trudności codziennego życia. Nie-

łatwo było mu czerpać wzorce z nieudanego małżeństwa rodziców, a stryj nigdy się nie ożenił.

Nie wiedział, co sprawiało, że wiele par potrafiło wychodzić zwycięsko z życiowych opresji. Przez pięć lat małżeństwa nie poczynił pod tym względem żadnych postępów.

Usłyszawszy jakieś poruszenie, odwrócił się gwałtownie i zobaczył stojących za nim trzech ubranych na czarno mężczyzn. Błyskawicznie wymierzył cios w twarz jednego z nich, lecz było za późno. Został uderzony w skroń drewnianą pałką i osunął się na ziemię, lecz nadal był przytomny.

Upadając, zdążył jeszcze zauważyć powóz stojący u końca uliczki. Rozpoznał w nim ekwipaż Davenporta. Zaświtała w nim nadzieja, że za chwilę ktoś przybędzie mu na pomoc, lecz zgasła równie szybko, jak się pojawiła, gdy jeden z napastników zarzucił mu na głowę ciężki płócienny worek.

- Kazala zabrać go do doków, a tam ma już czekać jakiś mężczyzna.

Kazala? Czyżby zaatakowano go na polecenie Lillian?

Tracąc świadomość, czuł zadowolenie, że głowa przestaje pulsować bólem.

Lucas Clairmont nie zjawił się, choć na niego czekała. Nie przyszedł pierwszego ani drugiego dnia po przyjęciu u Billinghurstów. Mijał piąty dzień, a wysiłki Ernesta Davenporta, mające na celu odnalezienie niepokornego Amerykanina, spełzły na niczym. Lucas wyszedł z sali balowej, zostawiając za sobą Lillian i jej świat, który za jego sprawą legł w gruzach.

Nie pojawił się w swoim mieszkaniu i ani lord Hawkhurst, ani St Auburnowie nie mieli pojęcia, dokąd się udał. Lillian dowiedziała o tym wszystkim, ponieważ jej ojciec ponad godzinę opowiadał jej o bezowocnych poszukiwaniach Lucasa.

- To moja wina, że do tego doszło - powiedział ze smutkiem, przeczesując palcami rzednące włosy. - Zrzuciłem na twoje barki zadanie ponad twoje siły. Nic dziwnego, że się pogubiłaś.

To melodramatyczne wyznanie sprawiło, że Lillian uśmiechnęła się po raz pierwszy od wyjścia z balu u Billinghurstów.



- Najgorsze jest to, że moja reputacja legła w gruzach. Zostałam skompromitowana, ojcze.

Ernest Davenport wstał. Pobrużdżona zmarszczkami twarz ściągnęła się bólem.

- Obawiam się, że Wilcox-Rice ci nie wybaczy. Nawet jego siostra opowiada wszystkim na prawo i lewo o tym, że jesteś płocha.

- Nie chciałam ich zranić.

- Ale to uczyniłaś.

Ta uwaga nie poprawiła jej humoru. Nietrudno było sobie wyobrazić reakcje członków rodziny Johna.

- Najgorsze w tym wszystkim jest to, że niczego nie zyskałaś. Nie wiem, czy po tym, co się stało, w ogóle uda ci się wyjść za mąż.

- Mimo wszystko będziesz mnie wspierał? - spytała Lillian, czując, że ogarnia ją strach.

- Jean mi to odradziła. Uważa, że jesteś taka sama jak twoja matka i w końcu ujawniła się twoja prawdziwa natura.

- To nieprawda.

- Ludzie wzięli nas na języki. Mówią o Rebecce, choć myślałem, że dawno zapomnieli o tamtej historii. Staliśmy się rodziną godną nie tylko współczucia, ale i pojęcia.

- I to wszystko z powodu tego, że mężczyzna pocałował mnie w rękę?

- Przypuszczam, że nie tylko o to chodzi. Chciałbym, żebyś nie kłamała przynajmniej tutaj, w tym pokoju, gdzie jesteśmy tylko my dwoje.

Pochyliła głowę, w gruncie rzeczy zadowolona, że może pozwolić sobie na szczerość.

- Myślę, że powinniśmy rozważyć wyjazd na północ - ciągnął ojciec.

- Do Fairley Manor? - Tam została wygnana jej matka.

Ojciec ukrył w twarz w dłoniach, nie chcąc, by Lillian widziała, jak bardzo jest przejęty. Chyba dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę z tego, jak nisko upadła.

- Gdyby udało ci się znaleźć Lucasa Clairmonta, jestem pewna, że...

Ernest opuścił rękę.

- Czego możesz być pewna? - powiedział, wyraźnie poirytowany. - Tego, że się z tobą ożeni? Że wszystko zostanie puszczone w niepamięć, a ludzie wybaczą ci zawód, jaki im sprawiłaś? Stawiali cię za wzór. Chyba nie rozumiesz powagi sytuacji! Gdyby wcześniej tak cię nie podziwiano, być może szybko puszczono by w niepamięć całą sprawę. Nie zapominaj, że od czasu debiutu byłaś nieustannie chwalona za nienaganne maniery, gust i rozsądek. Lillian Davenport powiedziała to! Lillian Davenport zrobiła tanto! To przysporzyło ci wrogów wśród tych, którzy nie byli tak rozpieszczani, a teraz mogą się na tobie odegrać.

Milczała, a Ernest Davenport dodał:

- Pojedziemy do Fairley. Oczywiście Jean, Patrick i Daniel będą nam towarzyszyć, bo zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Później wybadamy sytuację i poczynimy dalsze plany. Być może wyjedziemy za granicę.

Lillian ucieszyła się, że ojciec nie zamierza jej zostawić samej na wsi. Nakryła jego dłoń swoją.

- Dziękuję, papo.

Gdy ojciec wyszedł z pokoju, sięgnęła do szuflady biurka i wyjęła kartkę papieru. Nie mogła wyjechać bez słowa pożegnania z Johnem i Eleanor Wilcox-Rice'ami. Drżącą ręką kreśliła słowa przeprosin za wyrządzoną krzywdę. Gdy skończyła pisać, położyła pudełeczko ze złotym pierścionkiem wysadzonym brylancikami obok listu i poczuła wielką ulgę. Poprosi, by doręczono przesyłkę nazajutrz rano.

Lucas Clairmont zniknął. Najprawdopodobniej był teraz na statku płynącym do Ameryki. Nie skontaktował się z nią przed wyjazdem, nie próbował naprawić sytuacji. Była skompromitowana, a nie otrzymała nic w zamian!

Niestety, łamanie ciasnych konwenansów spotykało się z dotkliwą karą. Nie mieściło jej się w głowie, że obecna sytuacja może trwać... do końca życia? Nawet służące unikały jej wzroku, wyraźnie zgorszone zachowaniem swej pani, do niedawna uznawanej za chodzący ideał.

Tego popołudnia podczas lunchu bardzo uważano na słowa i starannie omijano temat kompromitacji. Niespodziewanie największym sprzymierzeńcem Lillian okazał się

kuzyn Patrick. Postanowiwszy przełamać tabu, niezwykle szczerze opowiedział o wszystkich swoich *faux pas*.

- To niesprawiedliwe, Lillian, że kobiety muszą cierpieć za grzechy różnych łajdaków. Gdyby Lucas Clairmont przestąpił próg tego domu, dostałby ode mnie w twarz.

- Patricku, proszę cię... - nieśmiało zaprotestowała Jean.

- A potem wyznaczyłbym mu karę, chociaż nie mam pojęcia jaką. Trudno byłoby uderzyć go po kieszeni, zważywszy na jego pusty portfel.

- Myślę, że twoja matka wolałaby nie słyszeć nic więcej na ten temat - odezwał się stanowczym tonem Ernest Davenport i Patrick umilkł.

Ciszę, która zapanowała w jadalni, przerywało jedynie tykanie zegara.

- Hrabina Horsham miała rację, twierdząc, że nie można ufać Amerykanom - odezwała się po pewnym czasie lady Taylor-Reid. Uniosła chusteczkę i otarła oczy. - Nie pojedziemy do Paryża po suknię ślubną - załkała, budząc zdumienie członków rodziny.

- Uważam, że to najmniejszy z problemów - orzekł Ernest Davenport i urwał, czekając, aż służący zabierze pusty talerz. - A skoro musimy poradzić sobie w zaistniałej sytuacji, powinniśmy zapomnieć o tym, co się wydarzyło, i zwrócić się ku przyszłości.

- Co zatem mamy począć? - spytała lady Taylor-Reid.

- Przede wszystkim w rozmowach nie wymieniajmy nazwiska Amerykanina i nie wracajmy do tej przykrej sprawy.

Lady Taylor-Reid przyznała bratu rację, a Patrick poszedł za jej przykładem.

- A ty, Lillian? - spytał ojciec, gdy się nie odezwała. - Co sądzisz na ten temat?

- Ja też chciałabym zostawić wszystko za sobą - przyznała, wiedząc, że do końca życia nie zapomni Lucasa, chociaż nie pojawił się u niej po tym, co zaszło, a to oznaczało, że żywiła płonne nadzieje.

W ciągu kolejnych dni spotykała się z wyrazami potępienia nawet ze strony bliższych jej dotąd osób. W końcu przestała usprawiedliwiać Lucasa. Dlaczego podszedł do niej na balu, jeśli zamierzał ją porzucić? Miała nadzieję, że nie był jednak aż tak wyrachowany. Lilly. Wypowiadał jej imię głosem zdradzającym emocje człowieka, który przestaje się kontrolować. Jego dotyk sprawił, że w jednej chwili zapomniała o konwensacjach i była gotowa wyjść mu naprzeciw. Stała się bezbronna.

Jej rozmyślania przerwał głos ojca.

- Rano wyjedziemy do Fairley i zamkniemy ten dom aż do końca stycznia. Kilku służących zostanie tutaj, by wszystkiego dopilnować, a potem do nas dołączą. Jeśli dopisze nam szczęście, wieści o tym nieszczęsnym incydencie nie wypłyną daleko poza Londyn i będziemy mogli nawet przyjmować gości. Patricku, mam nadzieję, że nie będziesz się bardzo nudził.

Lillian milczała, nie chcąc przypominać ojcu, że i jej przydałoby się jakieś towarzystwo. Ta zima będzie dłużyła się w nieskończoność: Boże Narodzenie, Nowy Rok, święto Trzech Króli... Suknie zakupione specjalnie na te okazje nie będą jej potrzebne.

Uzmysłowiwszy sobie z nową siłą swą pożałowania godną sytuację, odsunęła talerz i wstała. Siedzący przy stole odwrócili wzrok. Oni także zostali ukarani za jej błąd. Nie otrzymywali nowych zaproszeń na przyjęcia, natomiast odwoływano te już wystosowane.

Wszyscy członkowie jej rodziny stali się *persona non grata*, a ona przez pięć dni nie wyściubiła nosa z domu. Nie podchodziła nawet do okien po tym, jak kilka razy zobaczyła stojących pod domem ciekawskich, pokazujących ją sobie palcami.

Biedna Lillian Davenport? Skompromitowana Lillian Davenport.

Pomyślała, że jest jej wszystko jedno. Nie może się ukrywać w nieskończoność. Jest dorosła - ma dwadzieścia pięć lat - i przecież nie została przyłapana z mężczyzną *in flagranti*. Przywołała służącą i kazała przygotować powóz, po czym sięgnęła po zimowy płaszcz, kapelusz i rękawiczki.

- Nie jestem pewna, czy pan... - zaczęła służąca, lecz widząc zdecydowanie Lillian, szybko urwała. - Dobrze, panienko.

Godzinę później Lillian przymierzała u modniarki suknię, którą zamówiła przed kilkoma tygodniami. Madame Berenger była na tyle uprzejma, że nie zadawała żadnych osobistych pytań, koncentrując się na omawianiu fasonu stroju i rodzaju wykończenia.

- Leży na pani jak ulał, panno Davenport. Bardzo podoba mi się ta listwa układana w fałdy wokół wycięcia stanika.

Lillian odwróciła się do lustra, udając wielkie zainteresowanie suknią, do pracowni bowiem weszły trzy znane jej damy.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym rozległy się szepty.

- To ona.

- Widziała nas?

Lillian zachowała spokój, lecz modniarka przestała upinać kraj spódnicy, jakby czekając na to, co się wydarzy.

- Chyba przyszyliśmy nie w porę - powiedziała głośno Christine Greenley, lecz młoda pomocnica szybko zapewniła nowo przybyłe, że zajmą się nimi inne modniarki.

- Dziękujemy, ale czy panna Davenport zamierza długo tu zabawić? - Lady Susan Fraser nie bawiła się w uprzejmości. - Nie chciałabym zostać zmuszona do zamienienia z nią choćby paru słów.

Zapanowała cisza, w której słychać było uderzenie upuszczonej przez modniarkę szpilki o drewnianą podłogę.

Lillian podziękowała klęczącej przed nią kobiecie i delikatnie uniosła spódnicę sukni.

- Proszę nie wychodzić z mojego powodu, lady Fraser, bo właśnie skończyłam przymiarke. - Droga prowadząca do osłoniętej kotarami przymierzalni wydawała się nie kończyć, jednak Lillian nawet udało się przywołać uśmiech na twarz.

Ręce trzęsły jej się tak, że z trudem zdjęła suknię. Kiedy spojrzała na swoje odbicie w lustrze, zobaczyła zmienioną, wychudzoną twarz z sińcami wokół oczu. Wzięła trzy głębokie oddechy i zmusiła się do opanowania.

- Czy mam pani pomóc przy gorsecie, panno Davenport?

Nieśmiałe pytanie służącej stojącej po drugiej stronie kotary dodało jej odwagi.

Poproszona o pomoc, dziewczyna weszła do przymierzalni i zasnurowała gorset Lillian. W drodze do wyjścia musiała jednak minąć trzy stojące przy drzwiach damy.

- Przykro mi z powodu nieszczęścia, jakie panią spotkało, panno Davenport - powiedziała najstarsza z trzech przebywających w pracowni dam.

- Dziękuję - odrzekła Lillian, mając świadomość, że brzmi to groteskowo. Przecież została skompromitowana!

- Mając dwadzieścia pięć lat, powinna być pani rozsądniejsza.

- Owszem.

- Jeśli wolno mi udzielić pani rady, poszłabym skruszona do Wilcox-Rice'a i błagała go o przebaczenie. Jeśli dopisze pani szczęście i okaże pani skruchę, sytuacja powinna wrócić do normy ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych.

- Być może tak się stanie - odparła Lillian, ostatkiem sił zmuszając się do opanowania. Być może nie powinnaś wściubiać nosa w nie swoje sprawy, dodała w myślach. Powinnaś wiedzieć, że twój syn wiele razy proponował mi małżeństwo w bardzo nieuprzejmy, niestosowny sposób.

Nie podnosiła wzroku, aby nie spotkać zaciekawionych ani współczujących spojrzeń. Znalazłszy się w powozie, poczuła się bezpieczna. Jak to dobrze, że wkrótce będzie w domu! - uznała z ulgą.

Lucas obudził się, słysząc szum morskich fal, plusk wody i wiatr wiejący w żagle. Znajdował się na statku! Miał tak wyschnięte gardło, że nie był w stanie przełknąć śliny. Naprzeciwko niego siedział starszy mężczyzna, obserwując go uważnie.

- Chce ci się pić?

Lucas z ulgą przyjął kubek z rąk nieznajomego. Woda miała słonawy smak. Był zadowolony, że porywacze nie związali mu rąk. Po chwili usłyszał szczęk łańcucha i zobaczył ciężkie kajdany na swych nogach.

- Gdzie jesteśmy? - spytał ochrypłym głosem, ciesząc się, że w ogóle udało mu się go wydobyć ze ściśniętego gardła.

- Mam rozkaz, żeby nic ci nie mówić.

Lucas chciał zobaczyć, która jest godzina, lecz srebrny zegarek z dewizką zniknął, podobnie jak buty i fular. Spojrzawszy w bulaj w drugim końcu kajuty, zorientował się, że wciąż jest ciemno.

Ile czasu minęło, odkąd został schwytany? Kilka godzin czy cały dzień? Nie miał jak się tego dowiedzieć, a w dodatku głowa pękała mu z bólu.

- Pochodzisz ze Szkocji? - spytał, siląc się na obojętność. Chciał skłonić swego towarzysza do mówienia, by się czegoś dowiedzieć.

- Z Edynburga, wcześniej mieszkałem w Inverness.



- Zawsze chciałem pojechać na północ, ale nigdy mi się nie udało. Podobno to piękny kraj.

- O, tak. Po tym wszystkim - zatoczył ręką łuk - chcę tam wrócić, normalnie żyć.

- Jeśli pomożesz mi wydostać się z tego statku, dam ci tyle pieniędzy, że będziesz mógł sobie kupić ziemię.

- Jesteś bogaty? - Szkot zmarszczył czoło.

- Bardzo.

Szkot przyjrzał mu się uważnie, jakby się nad czymś zastanawiał. Łypnął chytrze małymi oczkami.

- Znasz się na ludziach? - spytał cicho Lucas.

- Tak mi się wydaje.

- A jak ci powiem, że jestem niewinny i nie zrobiłem nikomu nic złego, to mi uwierzysz?

Nawet morderca potrafi udawać niewinnego - odrzekł po dłuższym namyśle Szkot - jeśli od tego ma zależeć jego życie. Nie wiem, czy człowiek przyniesiony na ten statek w środku nocy, jest czysty jak łąza. Lucas uśmiechnął się.

- Proszę cię tylko o to, żebyś zdjął mi łańcuchy i na pięć minut odwrócił wzrok.

- Jeśli to zrobię, będę martwy.

- Powiesz, że wskoczyłem w kajdanach do wody.

- Tylko głupiec próbuje pływać w kajdanach.

- Głupiec czy człowiek w rozpaczy?

W niewielkiej kajucie zapadła cisza.

- Kiedy? - To jedno słowo zabrzmiało jak obietnica.

- A dokąd płyniemy? - odpowiedział pytaniem Lucas.

- Do Lizbony.

- Przez Zatokę Biskajską?

- Już ją przepłynęliśmy i kierujemy się na południe.

- Są tu cieplejsze prądy. Jeśli wskoczę do wody, będę miał szansę.

- A moje pieniądze? - spytał szybko Szkot.

- Będą na ciebie czekały w Banku Anglii przy Threadneedle Street w Londynie, na moim koncie.

- A jak się nazywasz?

- Lucas Clairmont. Podejmiesz pieniądze, kiedy będziesz w Anglii, a potem rzucisz pracę na statku i wrócisz do Szkocji.

- Jak zginiesz podczas ucieczki, nic nie dostanę.

- Wtedy odszukasz w Londynie lorda Stephena Hawkhursta i opowiesz mu całą historię. - Lucas zdjął z palca ślubną obrączkę i położył przed Szkotem. Złoto zaśniło w świetle świecy. - Przysięgam na grób mojej babki, że lord Hawkhurst wypłaci ci pięćset funtów za twoje starania, niezależnie od tego, co się ze mną stanie. Kto przyniósł mnie na statek? - chciał wiedzieć Lucas.

- Jacyś trzej. Zapłacili kapitanowi za twoje miejsce. Mówili coś o kobiecie, która chciała, żebyś wyjechał z Anglii.

Lucas zamknął oczy, przygotowując się na podjęcie wysiłku. Na szczęście, zadbał o kondycję, przepływając w najszerszym miejscu rzekę James z jednego brzegu na drugi.

Zastanawiał się nad tym, kto chciał się go pozbyć. Przypomniawszy sobie ostrzeżenia lady Jean Taylor-Reid, niezłomnie stojącej na straży honoru rodziny. Jej udział w spisku był prawdopodobny. Zapewne znajdował się teraz na wspomnianym przez nią w rozmowie statku, chociaż kartka papieru, którą włożył do kieszeni, zniknęła.

Szkot zdążył wyjąć kluczyk z szuflady w stoliku i otworzył kajdany. Łańcuchy opadły, gdy Lucas wstał. Znacznie górował wzrostem nad strażnikiem.

- Co przytrafia się tym, których zabierasz na statek pod osłoną nocy?

- Wydaje mi się, że Lizbona jest ostatnim miejscem, które widzą za życia.

Lucas zdjął koszulę i związał ją wokół bioder. Korciło go, by połamać krzesło stojące przy stole i wykorzystać największą część jako małą tratwę. Zrezygnował jednak z tego zamiaru, bojąc się, że hałas ściągnie innych członków załogi, nie tak skłonnych do negocjacji jak Szkot.

- Jak mam opuścić statek?

- Pójdiesz za mną, to ci pokażę, ale bądź cicho. - Szkot uniósł łańcuchy i ukrył je w fałdach bluzy, żeby nie wydawały żadnego dźwięku.

Lucas wyszedł za nim w ciemność.

## Rozdział trzynasty

Robótka była na ukończeniu, powstawał właśnie skomplikowany kremowo-szary wzór, w którym główną rolę odgrywały ryby i ptactwo domowe. Jednym z pozytywów wymuszonego odosobnienia Lillian było to, że mogła wreszcie doprowadzić do końca zarzucone kiedyś pomysły. W koszyku u jej stóp czekało jeszcze kilka innych haftów wymagających dalszej pracy.

Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy po raz ostatni widziała się z Lucasem Clairmontem, co zresztą przyniosło opłakane skutki. Straciła reputację idealnej młodej damy, wzoru do naśladowania dla innych panien. Spotkała się z potępieniem londyńskiej socjety i wręcz została z niej wykluczona. Nienawidziła go za to i zarazem była zła, że musi się specjalnie starać, by go znienawidzić. Przygnębiona całą tą sytuacją i własnym stanem emocjonalnym, ledwie pamiętała niedawne oczarowanie. Od miłości do nienawiści w czternaście dni... Doprawdy trudno było jej to zrozumieć.

Nagle uwagę Lillian przykuły odgłosy dochodzące sprzed frontowych drzwi. Do jej uszu dotarły podniesione głosy ojca oraz kuzyna. Wśród krzyków rozróżniła jeszcze jeden głos, cichszy, ale znajomy. Po chwili usłyszała pokasływanie i odgłos przyspieszonych kroków.

- Lucas? - szepnęła półprzytomnie, zerwała się na nogi i pośpiesznie przemierzyła niebieski pokój.

Chwilę potem wpadła do holu, wlokąc za sobą szarą i kremową włóczkę.

Krew, mnóstwo krwi. To było pierwsze, co zobaczyła. Czerwona struga płynęła z nosa Lucasa Clairmonta i z rozbitej głowy, którą, padając, uderzył o marmurową posadzkę. Leżał z zamkniętymi oczami i Lillian nie wiedziała, czy jest przytomny. Wyglądało na to, że nawet nie próbował się bronić.

- Co tu się dzieje?! - Jej głos zabrzmiał ostro w martwej ciszy, która nagle zapadła.

- Zasłużył sobie na to - wyjaśnił kuzyn Patrick.

Wzburzona Lillian stanęła między ojcem a kuzynem.

Przez otwarte drzwi zerkali do środka ciekawscy służący, którzy akurat pracowali w ogrodzie. Nie podeszła do Lucasa. Dwa tygodnie życia w gniewie zrobiły swoje. Nawet niespodziewany powrót ukochanego nie mógł ich zamazać.

W pewnym momencie Lucas kaszlnął i uniósł powieki. Zaraz potem odwrócił wzrok i wtedy Lillian zrozumiała, że szansa na pojednanie została zaprzepaszczona. Nie rozumiała go, tak naprawdę nie wiedziała, kim jest i czego chce. Amerykanin wkroczył w jej życie i obrócił je w ruinę.

Lord Ernest Davenport wydawał się skonsternowany. Trwająca cisza była wymowna, Nie mogąc dłużej powstrzymać płaczu, Lillian wybiegła z holu. Lucas Clairmont nie zawołał za nią, nie próbował jej zatrzymać.

Godzinę później do drzwi jej pokoju zapukał ojciec. Zdążył się przebrać, włożył czystą koszulę, doprowadził do porządku fular i surdut. Wyglądał bardzo oficjalnie jak za wieczorną porę w majątku wiejskim, gdy nikt nie spodziewa się gości. Lillian zadała sobie pytanie, co mogło się stać.

- Lucas Clairmont chciałby z tobą porozmawiać.
- Nie sądzę...
- Jest w niebieskim salonie, powiedziałem mu, że za chwilę zejdiesz.

Spojrzała ojcu w oczy, ale niczego nie umiała z nich wyczytać.

- Nie widzę sensu w przedłużaniu tego wszystkiego. Oboje wiemy, ojcze, jaki będzie rezultat spotkania.

- Musisz go wysłuchać, córko. Zapowiedziałem mu, że po waszej rozmowie opuści nasz dom, a on dał mi słowo, że to uczyni.

Jeszcze jeden cień w sercu! Pożegnanie. Odsunęła niesforny kosmyk, który wytknął się spod perłowego grzebienia zbierającego jej włosy na karku, i spróbowała przywołać włosy do porządku, wciskając je na dawne miejsce.

- Dobrze, będę za pięć minut.

Ulga malująca się na twarzy ojca, wywołana tą decyzją, nieco zirytowała Lillian. Nie zamierzała specjalnie się przygotowywać do tego spotkania, o przebieraniu się nie było więc mowy. Nie zamierzała też demonstrować, jak bardzo jest przejęta własną zszarganą reputacją.

Lucas wyglądał gorzej niż przed godziną. Na lewym policzku pojawił się siniak, a wokół paznokci dłoni, która była widoczna, zaschła krew.

- Lillian.

Takie powitanie było znaczące, bo wcześniej rzadko nazywał ją w ten sposób. Z jego spojrzenia bila ledwie tłumiona złość.

- Ojciec opowiedział mi, w jakich okolicznościach znalazła się pani z rodziną w tym miejscu. Proszę wierzyć, że jest mi niezwykle przykro...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Nie ma pan po temu żadnego powodu. Zbłądziliśmy i teraz za to płacimy. Zasady panujące w towarzystwie są pod tym względem zupełnie jasne. Dlatego wszelkie przeprosiny, z jakimi chciałby pan wystąpić, są zdecydowanie spóźnione.

Była bardzo zadowolona ze swego energicznego, bezosobowego tonu głosu. Dodał jej sił.

- Pani płaci chyba zbyt wysoką cenę i dlatego chciałbym zaproponować...

- Niech pan da spokój. Jeśli czuje się pan w obowiązku wystąpienia z oświadczeniami, to musi pan wiedzieć, że ich nie przyjmę.

Zmarszczył czoło, wcisnąwszy ręce w kieszenie surduta pożyczonego od jej ojca. Natychmiast poznała krój i kolor. Ubranie było na Lucasa za małe, opinało się na jego ciele, a szwy zdawały się pękać. Jego milczenie zmobilizowało Lillian do dalszych wyjaśnień.

- Prawie się nie znamy, a pierwszy krok do poznania skończył się katastrofą. Moja reputacja jest w podobnym stanie jak pańska twarz.

- Tak łatwo chce się pani poddać? - odezwał się wreszcie Lucas.

Ta uwaga sprawiła, że Lillian zapomniała o swoim postanowieniu, by trwać w uprzejmej powściągliwości.

- Dlaczego miałabym się poddać, szanowny panie? Pan jest dla mnie zagadką. Pan, który igra z uczuciami nie rozumiejąc znaczenia swojego postępowania. Zaufałam panu, Clairmont. Przypuszczałam, że doceni pan to co mu tak niefrasobliwie ofiarowałam, ale nic takiego się nie stało, i wtedy zrozumiałam. Pan jest kłamcą i oszustem. Między nami nic nie mogło się ułożyć, to po prostu nierealne, bo ja, w odróżnieniu od pana, czuję

pewną odpowiedzialność wobec tytułów, które odziedziczyłam, oraz praw i zasad rządzących w tym kraju.

- W gruncie rzeczy mówi więc pani, że nie jestem dla niej dostatecznie bogaty, nie tak dobrze urodzony, jak by się pani spodziewała, i że to ma znaczenie. Czy tak, panno Davenport?

Opuchlizna na twarzy sprawiała, że jego słowa brzmiały niewyraźnie, ale tej drobnej słabości Lillian wolą nie zauważać.

- Mówię, że powinien pan odejść. To... szaleństwo musimy odłożyć je tam, gdzie jest jego miejsce.

- Nie chce więc pani wiedzieć, dlaczego nie było mnie w Londynie przez ostatnie tygodnie?

- Nie. Za późno na tłumaczenia i przeprosiny. Nic, co pan powie, nie przekona mnie, że nie zdawał pan sobie sprawy z tego, jak bardzo zostałam skompromitowana po jego wyjściu z balu u Billinghurstów.

- Nic? - Było dla niej niejasne, dlaczego akurat to słowo Lucas wypowiedział z wyraźnym żalem. - Rozumiem.

- Cieszę się z tego.

Okręciła się na pięcie i ruszyła do drzwi, nie zwracając uwagi na prośby Lucasa, by zechciała się zatrzymać. Ze łzami w oczach, z poczuciem żalu i rozczarowania, wbiegła po schodach na piętro.

Ernest Davenport czytał dokumenty rozłożone przed nim na biurku, a adwokat David Kennedy przyglądał mu się z drugiego końca biblioteki z dużym zainteresowaniem.

- Twierdzi pan więc, że panu Clairmontowi daleko do ubóstwa? - spytał lord Davenport. - Że ma kilka dużych majątków w Wirginii i dość pieniędzy, aby mnie wykupić?

- To może być dość skromny szacunek.



- Mówi pan ponadto, że w razie gdybym postanowił przyjąć tę propozycję małżeństwa, jest ona opatrzona wyraźnym warunkiem, aby moja córka pod żadnym pozorem nie dowiedziała się o bogactwie pana Clairmonta?

- Zwracam panu uwagę, że reputacja pańskiej córka została... splamiona, więc jest to najszybszy i najskuteczniejszy sposób, żeby zapewnić jej powrót do towarzystwa. Mojemu klientowi bardzo zależy również na tym, aby wspomniana dama nie decydowała się na ślub ze względu na jego pieniądze, stąd żądanie dochowania tajemnicy.

- Dlaczego Lucas Clairmont chce się ożenić z kobietą, która ma wiele powodów, by go nienawidzić?

- Piętnaście lat jestem adwokatem, ale motywów moich klientów jeszcze nie nauczyłem się rozumieć. Odgrywam tu rolę posłańca przewożącego wiadomości i oświadczenia woli.

- Domyślam się, że również honorarium nie jest tu bez znaczenia.

- To prawda, ale nie mam zwyczaju przyjmować pod swoje skrzydła klienta, nie mając niezbitą pewności co do jego honorowego charakteru.

- Twierdzi pan więc, że on nie jest oszustem.

- Stanowczo nie. Dodałbym również, ponieważ sam jestem ojcem, że byłbym bardzo ostrożny, rozważając odrzucenie takiej fortuny.

- Rozumiem.

- Mój klient wyraża nadzieję, że panna Davenport zostanie jego narzeczoną na początku przyszłego tygodnia.

W tym celu postarał się o specjalną licencję, umożliwiającą zawarcie małżeństwa w dowolnym miejscu i czasie.

Lord Ernest uniósł pióro, na którego stalówce widać było kroplę atramentu.

- Proszę mu przekazać, że moja córka się zgadza. ślub odbędzie się tu na miejscu, w kaplicy Fairley Manor. Proszę mu też powiedzieć, że jeśli jeszcze raz ją skrzywdzi, znajdę go i zabiję.

- Przekażę mu każde pańskie słowo.

Po głosie prawnika można się było zorientować, że cała ta sytuacja wydaje mu się absurdalna.

- Proszę mnie nie zawieść, panie Kennedy.

- Co takiego zrobiłeś?!

- Moja droga, przyjąłem w twoim imieniu propozycję małżeństwa złożoną przez pana Clairmonta, ponieważ jako ojciec uważam, że jest to jedyna rozsądna i właściwa decyzja.

- Właściwa? Rozsądna? To biedak i kłamca, a do tego hazardzista. Czy chcesz mi powiedzieć, że spokojnie oddajesz przyszłość Fairley w ręce człowieka, który najprawdopodobniej roztrwoni wszystkie pieniądze?

- Tak.

- Oszalałeś, ojcze. Nie możesz poważnie myśleć o powierzeniu naszego majątku człowiekowi, który okazał się bardzo niesolidny.

- Sądzę, Lillian, że nazbyt surowo go oceniasz. Gdybyś zamiast tego spojrzała na to małżeństwo jak na umowę korzystną dla was obojga...

- Nie!

- Specjalna licencja jest gotowa, ślub został wyznaczony na poniedziałek.

Nagle Lillian przypomniała się idiotyczna rymowanka:

„W poniedziałek ślub bogactwo wróży, młodym z wtorku zdrowie zawsze służy, środa jest najlepszym dniem ze wszystkich...”.

- Nie uwierzę. On cię szantażuje? Zagroził ci w jakiś sposób?

Na tę myśl zrobiło jej się słabo. To nie był jej ojciec. W niczym nie przypominał ostrożnego i rozważnego człowieka, który prędzej dałby sobie rękę uciąć, niż pozwolił, by Fairley Manor wpadł w ręce nieodpowiedniego zięcia.

- Gdyby tak było, poleciałbym ci go oddać.

- A jeśli oddalę go, nie zważając na twoje zdanie?

- Wtedy przez tę jedną nierozważną omyłkę, którą popełniłaś w życiu, na zawsze pozostaniemy więźniami Fairley Manor. Ani nie będziemy częścią towarzystwa, ani nie zostaniemy dopuszczeni do uczestnictwa w życiu wsi.

Przez jej omyłkę! I teraz miała do wyboru poświęcić siebie albo rodzinę.

- Jeśli zmusisz mnie do tej maskarady, ojcze, to nie wybaczę ci tego i nigdy nie zrozumie.

- Jestem innego zdania, córko, szczerze bowiem wierzę w to, że z czasem zrozumiesz.

W ostatniej chwili Lillian, nadal niepokodzona z decyzją ojca w sprawie jej ślubu z Lucasem, nie zadała sobie wiele trudu i wybrała kremową suknię z jedwabiu, którą miała gotową po ostatnim sezonie. W dłoniach trzymała jednak gałązkę wonnego białego wawrzynku ze szklarni w Fairley, nie chciała bowiem wyrzekać się wszelkich oznak dobrego gustu.

Lucas Clairmont przyglądał jej się, stojąc przy ołtarzu.

Nie widziała go od dnia jego niespodziewanej i burzliwej wizyty. Od tego czasu siniaki na jego twarzy przybrały żółtawo-zielonkawy odcień, lewe oko wciąż otaczała opuchlizna. Sądząc ze sposobu, w jaki trzymał prawą dłoń na żebrach, również one musiały sprawiać mu ból. Pomyślała, że całe jego życie zdaje się toczyć od awantury do awantury i nie przybiera spokojnego rytmu, stosownego dla wygodnej egzystencji dżentelmena.

Łzy, które przez cały tydzień raz po raz cisnęły jej się do oczu, znów dały o sobie znać. Źle to wróżyło wspólnej przyszłości.

Ławy kościelne zajęte przez gości panny młodej były pełne. Natomiast po stronie pana młodego siedziały tylko cztery osoby: St Auburnowie i lord Stephen Hawkhurst w towarzystwie mocno starszego mężczyzny.

Skupiwszy wzrok na wazonie z kwiatami, umieszczonym na stole przy chrzcielnicy, z przykrością zauważyła w nim białe goździki nie pierwszej świeżości. Zresztą, ktoś z krewnych postarał się, aby tandetnie wyglądające dekoracje z przekwitających kwiatów i papieru przyczepić do wszystkich ław. Najchętniej by je pozdzierała.

Idąc do ołtarza, pilnowała, aby nie potknąć się o szeroką spódnicę sukni lub nie zaczepić nią o pełne drzazg dębowe ławy. Gdy muzyka umilkła, Lillian przystanąła obok przyszłego męża, którego strój uznała za zaskakująco dobrze skrojony. Czyżby lord Hawkhurst pożyczył surdut panu młodemu? Szybko jednak zaniechała rozważań. Mniej-

sza o to, co on ma na sobie i jak wygląda. Może doszedł do wniosku, że skoro jak z nieba spadł mu jej posag, powinien zadbać o to, aby się dostosować do otoczenia.

Inna sprawa, że gdy zerknęła na Lucasa, nie odniosła wrażenia, że czuje się szczególnie onieśmielony w zgromadzeniu, którego członkowie znacznie przerastali go rangą, pozycją i majątkiem. Mimo skaleczeń i siniaków wydawał się bardzo pewny siebie i zadowolony. Zupełnie jakby był tam, gdzie chciał się znaleźć.

Czy kiedykolwiek uda jej się go zrozumieć? Czy on kiedykolwiek pojmie, jak głęboko ją zranił? W każdym razie ojciec musiał zdawać sobie z tego sprawę, bo z wyrazem zatroskania, malującym się na twarzy, wyglądał jak stary, zmęczony człowiek.

Pastor uniósł Biblię.

- Zebraliśmy się tutaj, aby udzielić ślubu Lucasowi Morganowi Clairmontowi i Lillian Jewell Davenport.

Lillian Clairmont! Trudno jej było wypowiedzieć słowa, których ksiądz od niej oczekiwał.

- ...kochać i otaczać opieką od dziś aż do dnia, póki śmierć nas nie rozłączy.

Co za puste słowa! Zastanawiało ją, dlaczego Bóg nie ześle na kościół trzęsienia ziemi albo gradobicia lub przynajmniej nie zmusi swojego przedstawiciela do zakwestionowania intencji ślubu. Tymczasem pastor w dalszym ciągu monotonicznie recytował formułki.

Nic w tym małżeństwie nie było takie, jak w jej dawnych wyobrażeniach. Kiedy Lucas Morgan Clairmont ujął jej rękę i wsunął na palec obrączkę, potraktowała ten ceremoniał jak jeszcze jeden męczący dodatek do koszmarnego dnia.

Obrączkę ze złota zdobił duży rubin. Wykonał ją niewątpliwie ktoś, kto uważał, że im większa, tym lepsza. Nie była tania, ale raziła przepychem. Czy Lucas ją ukradł? A może wygrał w karty? Szybko schowała dłoń w fałdach spódnicy, zażenowana pretensjonalnością gustu jubilera. Ona dała mu zwykłą złotą obrączkę z wygrawerowanymi inicjałami małżonków i datą.

Gdy ksiądz zaproponował, aby państwo młodzi wymienili pocałunek, Lucas zignorował tę sugestię i odwrócił się ku wyjściu. Ruszył, a Lillian ledwie mogła za nim

nadażyć. Starła się nie patrzeć w oczy mijanym ludziom i czuła, jak przy pośpiesznych krokach suknia ociera jej się o nogi.

Kiedy to się skończy? Lucas starał się zachować spokój umysłu, chociaż odkąd wrócił do Anglii, przychodziło mu to z wyjątkową trudnością.

Skoczył do wody przejęty niemalym strachem dziesięć mil od linii brzegowej, nie wiedząc, czego może się spodziewać po oceanie i czy da radę. Przed tym pływał jedynie w rzece. Tylko myśl o Lillian sprawiła, że ciężko pracując ramionami, zbliżał się jednak do lądu, pokonując grzywiaste fale i nieprzyjazne prądy. I po co? Lillian zdawała się go nienawidzić, a jej ciotka, lady Taylor-Reid, sprawiała wrażenie, jakby widziała ducha, który wrócił ze świata umarłych.

Lucas ciężko westchnął. Najchętniej rzuciłby oskarżenie w twarz ciotce Lillian, wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Nie bardzo rozumiał też, co właściwie wyprawia. Już raz popełnił błąd i ożenił się z niewłaściwą kobietą, więc teraz, gdy stracił część entuzjazmu, jaki ogarnął go na wiadomość, że Lilly zgodziła się go poślubić, pozwolił, by ogarnęło go złe przeczucie.

Nie znosił ślubów, nie cierpiał niewiele znaczących przysięg, które towarzyszyły tym uroczystościom, tak chętnie później nie dotrzymywanych. Atmosfery radości, prawie zawsze podszytej niepewnością. Lillian ledwie na niego spojrzała i wyrwała mu dłoń z ręki, gdy tylko obrączka znalazła się na jej palcu. Specjalna licencja, o którą się postarał, wydała mu się nagle zupełnie bezwartościowa.

Może lepiej było wyciągnąć prosty wniosek z widocznej niechęci świeżo poślubionej małżonki i odpłynąć do Ameryki, gdzie czekały na niego ziemie i domy. Tam życie było łatwe. Rzeczywiście łatwe? Jeszcze trzy miesiące temu tak nie uważał. Zżerało go poczucie winy.

Wierzył w to, że Lilly uwolniła go od poczucia winy swoją dobrocią, a to, co wydawało mu się niemożliwe, porozumienie między mężczyzną a kobietą, wzajemne oczarowanie, stało się nagle osiągalne. Sądził, że spotkał piękną kobietę, której urodą się zachwycił, ale też którą polubił i szanował. Nie, nie może po prostu odwrócić się plecami i odejść.

- Coś ty taki zamyślony, Lucas?

Hawkhurst podał mu szklanę lemoniady.

- Rozmyślałem właśnie o tym, że moja oblubienica nie wygląda na szczęśliwą.

- Nathaniel powiedział, że Cassandra też wyglądała smutno w dzień ich ślubu.

- I uciekła od niego następnego dnia, pamiętasz?

Stephen uśmiechnął się.

- O tym zapomniałem.

Obaj odwrócili się nagle, zaintrygowani nagłym ruchem pod ścianą pokoju.

- Wygląda na to, że Alfred zapoznał się z twoją wybranką. Jak myślisz, ile czasu Lillian potrzebuje, aby zauważyć, że mój wuj nie ma piątej klepki?

- Chyba już to spostrzegła - odrzekł Lucas. - Zdaje się, że wuj właśnie próbuje ściągnąć jej z palca obrączkę. Może zdołasz go namówić, żeby tego nie robił.

Zanim jednak którykolwiek z nich zdążył się ruszyć, Lillian definitywnie rozwiązała ten problem. Ściągnęła obrączkę z palca i podała ją wujowi, który podszedł do okna i zaczął oglądać klejnot pod światło.

- Pierwszy raz widzę coś takiego - zauważył Hawkhurst. - Rzadko się zdarza, żeby ktoś z wrzaskiem przed nim nie uciekł.

- Nie poczekała też, by odebrać mu obrączkę - dodał Lucas, widząc, że Lillian odchodzi. - Sądzisz, że ona ma pojęcie, ile to jest warte?

- Przecież jest elegancką damą, Lucas. Na moje wyczucie wie to doskonale i potrafi oszacować co do pensa.

- Dlaczego więc mu ją zostawiła?

- Twoja babka nigdy nie słygnęła z artystycznego smaku.

- Dostała tę obrączkę od kochanki księcia Gloucester.

- I to widać!

Po tej uwadze przyjaciela Lucas zdecydował:

- Kupię jej inną.

- Obrączka wydaje mi się najmniejszym problemem - orzekł Stephen Hawkhurst. - Twoja żona wygląda na przygnębioną.

- Uważa, że celowo ją opuściłem.

- Nie powiedziałaś jej o porwaniu? Czemuś tego nie zrobił, do diabła?



Lucas milczał.

- Coś podobnego! Podejrzewasz, że ona ma z tym coś wspólnego? - spytał z przejęciem Stephen.

- Nie.

Powiedział to tak głośno, że głowy stojących w pobliżu osób obróciły się w ich kierunku. Przypomniały mu się kłamstwa Elizabeth, z początku drobne, potem coraz poważniejsze. Starał się zrozumieć zmiany jej nastroju i wybuchy gniewu. Kłamstw Lillian nie zniósłby z pewnością.

Gdy podszedł do nich Nathaniel, który klepnął go po plecach i dał znać, że wkrótce zaczną się mowy, Lucas odetchnął z ulgą. Spróbował zapomnieć o swoich strapieniach i poszedł na honorowe miejsce, by stanąć obok Lilly.

Lucas swobodnie gawędził z przyjaciółmi, podczas gdy ona stanęła z boku, ponieważ z trudem panowała nad emocjami. Dlaczego zabrakło jej uporu i uległa ojcu? Czeko ją niechciane małżeństwo, całe lata pod jednym dachem z mężczyzną, który w gruncie rzeczy jest jej obcy, a ponadto nieprzewidywalny. Była zdenerwowana i przybita. Akurat gdy myślała o tym, że chętnie zdjęłaby obrączkę, podszedł do niej mocno starszy mężczyzna i niemal ściągnął ją z jej ręki. Spytała, kim jest, a on przedstawił się jako wuj Stephena Hawkhursta. Wszystko wskazywało na to, że nie jest zrównoważony.

Lillian przycisnęła dłoń do skroni, coraz bardziej bowiem bolała ją głowa, a tymczasem zapowiedziano mowy. Z lękiem zastanawiała się, co powie jej ojciec i z czym wystąpi Lucas.

Czy właśnie w tym momencie fiasko uroczystości osiągnęło swoje apogeum? Omiotła wzrokiem salę i z zadowoleniem przekonała się, że nie widzi kuzyna Daniela. Przynajmniej jedno zmartwienie mniej! Za to Patrick wydawał się zdecydowany śledzić każdy jej krok, choć nie miała pojęcia, czy robi to z powodu skłonności opiekuńczych, czy raczej z potrzeby prężenia mięśni.

Deszcz zabębnił w szyby. „Pannie młodej się poszczęści, jeśli słońce na nią świeci...” Tego dnia przychodziły jej do głowy wyłącznie jakieś głupie rymowanki, które brzmiały jak szyderstwo.

Toasty rozpoczął jej ojciec, który wznosił kieliszek i odczekał, aż zapadnie cisza.

- Za państwa młodych - powiedział, spoglądając na Lillian. - Niech żyją razem długo i szczęśliwie!

- I owocnie - dodał ktoś głośno i goście się roześmieli.

Niedoczekanie! To obcesowe przypomnienie o tym, co może jej przynieść najbliższa noc, obudziło w niej przestroch. Czy Lucas Clairmont będzie oczekiwał od niej świadomego udziału w tym, co do niego należy? Czy sumienie pozwoli mu zażądać tego, co niecałą godzinę temu obiecała mu przed ołtarzem? Przecież wie, co ona myśli o tej maskaradzie.

„Kochać i otaczać opieką...”.

Jeśli on sądzi, że ja... Zaryzykowała ukradkowe spojrzenie na męża, a wątry uśmiech, którym jej odpowiedział, bynajmniej nie poprawił jej samopoczucia. Nawet wręcz przeciwnie, ponieważ w jego bursztynowych oczach dostrzegła błysk pożądania.

Zadrzała i wtedy nieoczekiwanie Lucas Clairmont podszedł do niej bliżej i stanął tak, że dotykał jej ramieniem. Czy był to gest pokrzepienia? Miała taką nadzieję, choć w głębi duszy bardzo w to wątpiła. Anne Weatherby i Cassandra St Auburn, stojące razem po drugiej stronie sali, uśmiechnęły się do niej. Lillian bardzo żałowała, że nie przysłała Eleanor Wilcox-Rice, ale oczywiście w tych okolicznościach nie było to możliwe, a oficjalny list, jaki otrzymała od niej w odpowiedzi na swój bilecik, nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że dalsza korespondencja między nimi jest niepożądana.

Lillian znów poświęciła całą uwagę mężowi. Z coraz większym niepokojem czekała na jego wystąpienie. Lucas odczekał chwilę, jakby zastanawiał się nad tym, co chce powiedzieć, a kiedy zaczął, nie wydawał się ani speszony, ani zdenerwowany.

- Ku mojej radości Ernest Davenport oddał mi za żonę swoją córkę, chcę więc podziękować mu za szczodrość.

- Lillian zastanowiło, dlaczego jej ojciec odwrócił spojrzenie. Czyżby nie dostrzegła czegoś ważnego? - Znam Lillian... - Zawahał się, tak jakby chciał powiedzieć „Lilly”, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. - Znam Lillian od niedawna, ale ten czas wystarczył mi, aby zrozumieć, że ma ona wszystkie cechy niezrównanej żony. Z wielką dumą stoję więc dziś przed wami jako jej mąż i dziękuję wam za to, że przyszliście.

Lillian uważnie słuchała tego, co mówił mąż. Nawet słowem nie wspomniał o miłości, szacunku czy przyjaźni. Tymczasem Lucas doszedł do zakończenia:

- Proszę, wnieście kieliszki do toastu i wypijcie za szczęście mojej żony Lillian.

Kiedy w całej sali gromko zabrzmiało jej imię, skłoniła głowę w podziękowaniu i wtedy ze zdumieniem spostrzegła, że z krzesła wstaje wuj Stephen Hawkhurst.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że twoja obrączka jest błogosławiona - zaczął. - Przybyły tu wróżki i uświęciły twój związek. Nieczęsto to się zdarza i prawdę powiedziawszy, nie widziałem takich istot od lat, ściślej zaś, od ślubu mojego brata w marcu tysiąc osiemset szesnastego roku. Jemu też towarzyszyły wróżki...

Lord Hawkhurst podszedł do wuja i speszony ujął go za ramię, aby wyprowadzić z sali. Lillian zwróciła uwagę, że zrobił to bardzo delikatnie. Staruszek jednak nadal mówił:

- Będziesz więc żyła w małżeństwie długo i szczęśliwie, jestem tego pewien...

Teraz jego głos brzmiał jakby z oddali i można było odnieść wrażenie, że tylko jego echo jest słyszalne w panującej ciszy. Lucas jednak nie zamierzał zignorować tego incydentu, jako że dały się słyszeć pierwsze szmery i nie ulegało wątpliwości, że sytuacja staje się kłopotliwa.

- Lord Alfred Hawkhurst był żołnierzem i walcząc pod komendą Wellingtona za ojczyznę, dostał postrzał w głowę podczas drugiej kampanii na Półwyspie Iberyjskim - oznajmił. - Dzięki niemu uniknęło wówczas pewnej śmierci dwudziestu żołnierzy jego pułku. Jako bohater zasługuje przynajmniej na współczucie.

Pomruki ustały.

Pierwszy raz od tygodni Lillian popatrzyła bardziej łaskawym wzrokiem na Lucasa Clairmonta.

## Rozdział czternasty

Dochodziła czwarta po południu i Lucas uznał, że czas zabrać żonę do domu. Od Woodruff Abbey, majątku usytuowanego przy trakcie północnym, dzieliło ich półtorej godziny jazdy. Wcześniej zastanawiał się, czy nie wynająć pokoju w gospodzie Pod Łosiem i Dzikim, znajdującej się w połowie drogi do Woodruff Abbey. Widząc przygnębienie malujące się na twarzy Lillian, uznał, że nie marzy ona o tym, by jak najszybciej znaleźć się sam na sam z mężem.

Zważywszy na jej nastrój, z pewnym niepokojem myślał nawet o wspólnej jeździe powozem. Doszedł do wniosku, że wolałby, aby Hawkhurst z wujem postanowili przenocować w Woodruff i pojechali do majątku razem z nowożeńcami. Uświadomił sobie absurdalność sytuacji i gorzko się uśmiechnął. Właśnie w tym momencie zauważył, że Lillian mu się przygląda.

- Jeśli jesteś gotowa do drogi, to myślę, że możemy jechać.

- Dokąd? - zapytała zaskoczona.

Najwidoczniej wyobrażała sobie, że pozostanie na miejscu, w Fairley Manor, pomyślał Lucas.

- Mój dom jest położony w Bedfordshire. Nazywa się Woodruff Abbey.

- Stanowi twoją własność? - zapytała zdziwiona Lillian.

- Odziedziczyłem go całkiem niedawno.

Lillian popatrzyła na męża z niedowierzaniem.

Ponoszę konsekwencje maskarady, jaką do niedawna odgrywałem w Anglii, pomyślał Lucas. Miał nadzieję, że Lillian zaakceptuje urokliwy, choć zaniedbany Woodruff Abbey, któremu daleko było do jej rodzinnego Fairley Manor, utrzymywanego przez liczną służbę w doskonałym stanie.

Ernest Davenport, widząc, że nowożeńcy zbierają się do odjazdu, podszedł do nich, aby zamienić jeszcze kilka słów. Gdy ścisnął dłoń córce, popatrzył jej w oczy i powiedział ciepłym tonem:

- Przyjadę z wizytą podczas świąt Bożego Narodzenia.

Lucas zauważył, że żona mocno zacisnęła palce na dłoni ojca. Zupełnie jak gdyby wołała się z nim nie rozstawać.

- Jeśli miałbyś ochotę przyjechać wcześniej... - zaczęła, ale lord Davenport nie dał jej dokończyć.

- Pierwsze tygodnie małżeństwa należą wyłącznie do was, ciebie i twojego męża. Czy mógłbym teraz porozmawiać z nim na osobności?

Lillian urządziła przedstawienie, żegnając się z resztą rodziny, gdy tymczasem Lucas z lordem Davenportem stanęli z boku, przy oknie.

- To niecodzienne życzenie, aby zachować w tajemnicy przed córką stan pańskich finansów, będę honorować do naszego ponownego spotkania za dwa tygodnie, ale nie dłużej. Czy pan to akceptuje?

Lucas skinął głową. Był wdzięczny Ernestowi Davenportowi za to, że przyjął jego warunki i zgodził się dochować sekretu. Dobrze wiedział, że nie może w nieskończoność utrzymywać żony w nieświadomości co do swojego stanu posiadania. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien mieć przed nią żadnych sekretów.

- A jeśli usłyszę, że coś jest nie tak, jak powinno...

- Nigdy nie skrzywdziłbym pańskiej córki.

- Rozumiem, że pański adwokat przekazał panu moją wiadomość?

- Tak. - Lucas przypomniał sobie mocno krytyczne podsumowanie ostatnich słów Ernesta Davenporta, jakie przedstawił mu David Kennedy.

- Widzę, że ona nie nosi obrączki.

- Nie. Mam ją tutaj, w kieszeni.

Lucas wyjął obrączkę, którą odebrał wujowi Stephena, gdy ten przestał się nią interesować.

- Jeśli mogę panu coś radzić, chyba byłoby rozsądnie dać ją do gruntownej przeróbki. Może wtedy spodoba się mojej córce.

Lucas nie poczuł się urażony. Bądź co bądź, miał przed sobą ojca, który starał się, aby jego córce wiodło się jak najlepiej.

- Na pewno o tym pomyślę, sir.

Po dwóch godzinach jazdy powóz zwolnił, skręcił z traktu i przejechał przez kunsztowną żeliwną bramę. Podróż do Woodruff Abbey upłynęła nowożeńcom w milczeniu. Zresztą, trudno byłoby powiedzieć cokolwiek osobistego w obecności dwóch służących. Gdy pokonali ostatni zakręt, oczom Lillian ukazał się dom, który wyglądał na budowlę z ubiegłego stulecia.

- Dużo pracy potrzeba, aby przywrócić tej siedzibie dawną świetność - oznajmił Lucas, zerkając w stronę domu.

Lillian uznała, że starał się zawrzeć w tych słowach coś na kształt przeprosin. W zapadającym mroku ledwie mogła rozróżnić zarysy świeżo wypielonych pasów ziemi przy półkolistym podejździe i stert przyciętych gałęzi leżących na wysokości przybudówki. Czy możliwe, że tutaj jej mąż spędził ostatnie tygodnie? I że próbował chociaż w pewnym stopniu doprowadzić do porządku posiadłość, którą nieoczekiwanie odziedziczył?

Gdy weszła do środka, zaskoczyła ją surowość tego miejsca, chociaż dostrzegła swoiste piękno starych dywanów i nielicznych mebli. Spod stołu wylał leciwy pies i leniwie się przeciągnął, po czym przyczłapał, by sprawdzić, kto przyszedł. Z niewielkiej kanapy przy schodach przyglądały im się trzy puchate koty.

- To jest Royce - wyjaśnił Lucas i pochylił się, by poklepać psa, który z zapalem polizał mu rękę.

Lillian, która nie była przyzwyczajona do obecności zwierząt w domu, była zdziwiona tą menażerią.

- Ma przynajmniej piętnaście lat, chociaż Hope uważa, że jest starszy - dodał Lucas.

- Hope? - powtórzyła Lillian, przypominając sobie krążące w towarzystwie pogłoski o dzieciach Clairmonta ukrytych w jakimś domu na odludziu.

- Zarówno ją, jak i jej siostrę poznasz jutro.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pojawił się stary mężczyzna, a za nim przydreptała kobieta w podobnym wieku, rozwiązująca po drodze troki znoszonego fartucha.

- Pan Lucas - powiedziała, ujmując go za ramię z nieukrywaną radością. - Już pan wrócił? - Objęła spojrzeniem ich oboje. - I to z żoną, prawda?



- Proszę, poznaj moją gospodynię i kamerdynera. Państwo Poole'owie, Lillian Clairmont.

Mąż co krok zadziwiał Lillian. Nie spodziewała się, że spoufala się ze służącymi do tego stopnia, by przedstawiać ich jak równych sobie. Amerykanie najwidoczniej mieli swoje dziwactwa, tak w każdym razie założyła, przesyłając kobiecie uprzejmy, lecz chłodny uśmiech.

- Przygotowałam pański pokój, sir, a puchowa kołdra, którą wyszywałam przez całą zimę, czeka już od tygodnia. Bez wątpienia będzie panu ciepło i przytulnie.

- Jestem pewien, że wszystko zostało doskonale przygotowane. Czy można jednak prosić o przyniesienie na górę czegoś do jedzenia i picia? Zgłodnieliśmy po podróży.

W Anglii nikt nie zwracał się do służby w sposób, który sugerowałoby, że wydane polecenie może być wykonane albo nie, uświadomiła sobie Lillian. Najwyraźniej jako nowy pan i pracodawca Lucas Clairmont musiał się jeszcze wiele nauczyć. Przyszło jej do głowy, że może być oszukiwany na wydatkach domowych. Zaraz jednak uznała, że stojący przed nią starszkwowie nie sprawiają wrażenia nieuczciwych, raczej dziwnych i zniedołężniałych.

Ból głowy, który towarzyszył jej przez cały dzień, dał znać o sobie ze wzmożoną intensywnością. Wbrew obawom co do dalszego rozwoju sytuacji Lillian była zadowolona, gdy mąż zaprowadził ją do sypialni usytuowanej na drugim piętrze.

W takim pokoju jeszcze nigdy nie była. Na oknach wisały jaskrawo pomarańczowe zasłony, a czerwono-fioletowa puchowa kołdra dumnie prezentowała się na oparciu łóżka, niewiele większego niż pojedyncze. Na stole w słoiku po dżemie umieszczono wiązanke polnych kwiatów. Obok leżały dziecięce rysunki przedstawiające rodzinę przed domem: dwie małe dziewczynki w różowych sukienkach i parę trzymającą się za ręce.

- Charity lubi rysować - wyjaśnił Lucas, przeglądając szkice. - Moim zdaniem, jest utalentowana.

Wziął do reki rysunek przedstawiający psa, którego Lillian widziała na dole, choć tym razem Royce siedział na rozkwiecionej łące, a słońce powyżej świeciło intensywną żółcią. Lillian nie miała pojęcia o umiejętnościach artystycznych dzieci, musiała jednak przyznać, że dzieło wydaje się całkiem udane. Autorka bardzo wiernie oddała kształt

oślinionego pyska i pozlepianą sierść, chociaż stojący na pierwszym planie anioł w aureoli stanowił dość niezwykły dodatek.

- Na każdym rysunku Charity umieszcza wizerunek mamy - wyjaśnił Lucas, gdy zauważył zdziwione spojrzenie Lillian. Odnalazł pierwszy rysunek i pokazał jej tego samego anioła, tym razem balansującego na samotnej chmurze.

- Jej matka była twoją pierwszą żoną?

- Nie. Była siostrą mojej żony.

Lillian usiadła, a właściwie ciężko opadła na krzesło.

- Zadawałeś się z siostrą żony?

- Słucham?! - Przyjrzał jej się ze zdumieniem i po dłuższej chwili dodał: - W ogóle jej nie znałem.

- Myślałam... Jak mogłeś jej nie znać?! - spytała Lillian, nie dbając o to, że zabrzmiało to co najmniej nieuprzejmie.

Głośny, dźwięczny śmiech był jedyną odpowiedzią. Zauważyła, że Lucas się śmieje, pierwszy raz... od kiedy? Od czasu, gdy obejmował ją w londyńskim salonie i tak gwałtownie przerwał niezręcznie zaoferowany mu pocałunek. Stwierdziła ze zgrozą, że poślubiła człowieka, który wydawał się całkiem pozbawiony poczucia moralności.

- To moje podopieczne. Nie jestem ich ojcem, tylko opiekunem.

- Aha...

Tyle tylko zdołała wybąkać, zmieszana. Tymczasem Lucas podszedł do dzbanka i nalał sobie szklanę wody.

- Napijesz się? - spytał, wypiwszy swoją porcję, a gdy Lillian skinęła głową, ponownie napełnił tę samą szklanę.

Małżonkowie dzielą łoża, domy i szklanki wody, pomyślała i nagle poweselała. Wydała odgłos, który mógł ujść za tłumiony śmiech. Musiała mieć w tej chwili minę podobną do oszołomionego aniołka z rysunku Charity, inaczej mówiąc, kobiety, która znalazła się w sytuacji nie całkiem dla niej zrozumiałej. Niespodziewanie dla siebie samej poczuła łzę, toczącą jej się po policzku. Lucas podszedł do niej i starł łzę.

- Wiem, że tu jest całkiem inaczej niż w miejscach, do których przywykłaś, i może ten dom nie jest dla ciebie odpowiedni, ale...

Pokręciła głową.

- Nie chodzi o dom.

- O mnie więc?

Skinęła głową.

- Na dobrą sprawę nie znam cię. - Mówiąc to, odwróciła spojrzenie, ale nie zamierzała przerwać, skoro już zaczęła: - Ten pokój z jednym łóżkiem dla nas dwojga...

- Pokój jest dla ciebie. Dziś będę spał gdzie indziej.

Przyjęła tę wiadomość z nieopisaną ulgą. Znowu poczuła łzy pod powiekami oraz ponownie się zarumieniła. Przez cały czas towarzyszyło jej poczucie zagubienia i niepewności. Tego wieczoru nie poznawała samej siebie. Stała się rozkapryszoną, pozbawioną manier osobą, która w dniu własnego ślubu nie zatroszczyła się o gości ani nie interesowała przebiegiem wesela.

Odkryła ze zdumieniem, że w głębi duszy wcale nie pragnie powrotu do bezbarwnego, uporządkowanego życia, jakie wiodła do tej pory, i właśnie ta myśl na długo odebrała jej głos.

Wyglądała jak kobieta na skraju wytrzymałości nerwowej. Być może nawet zemdlałaby, gdyby spróbował jej dotknąć. To, że woda ze szklanki polała jej się po kremowej sukni, a ona nawet tego nie zauważyła, potwierdziło przypuszczenia Lucasa co do obecnego stanu Lillian.

Jego nowo poślubiona żona była piękna, policzki jej pałały, spod lekko podciągniętych spódnic wychylały się łydki obleczone w pończochy, a kształtne kostki kazały przypuszczać, że i reszta nóg prezentuje się równie zgrabnie.

Kierunek, w którym zmierzały jego niesforne myśli, aktualnie nie był pożądany. Chcąc zająć je czym innym, wydobyl z kieszeni obrączkę i położył ją na dłoni.

- Odebrałem to lordowi Alfredowi.

Lillian milczała.

- Po przyjacielsku zwrócono mi uwagę, że oprawa może nie być w twoim guście.

Wyraźnie się zakłopotowała i powiedziała:

- Moim zadaniem, jest odpowiednia.

Znowu te angielskie maniery, które zmuszają do kłamstw, pomyślał Lucas, i już chciał się sprzeciwić, gdy Lillian wstała i wyciągnęła ku niemu lewą rękę.

- Przepraszam za bezceremonialne potraktowanie obrączki.

Nie powiedziała, że obrączka jej się podoba, co zwróciło jego uwagę. Ujął jej dłoń i na końcu palca wskazującego odkrył długą bliznę w kształcie półksiężyca, jakby po nożu, nie wspomniał jednak ani słowem na ten temat. Znowu miał okazję wsunąć jej na palec obrączkę i nie chciał nieopatrzną uwagą zepsuć tej chwili.

Czy obrączka natchnie Lillian wiarą w to, że ich małżeństwo może być udane, trzeba tylko tego chcieć i nad tym popracować? A może będzie raczej przypominać, że została wmanewrowana w związek z cieszącym się złą sławą mężczyzną, z którym wiele ją dzieli?

- Ile lat miała twoja żona, gdy umarła?

To pytanie zaskoczyło Lucasa, zmusił się jednak, by na nie odpowiedzieć.

- Dwadzieścia cztery. Na imię miała Elizabeth.

- Poznałeś ją w Wirginii?

- Była córką generała, który stacjonował pod Bostonem.

- Nathaniel powiedział, że zginęła w wypadku.

Lucas poczuł przyływ dobrze znanego gniewu. Nie zdążył nawet ugryźć się w język.

- Zabiłem ją swoją nierozwagą. Padał duży deszcz i droga nie nadawała się do jazdy powozem.

- Czy chciałeś ją zabić? - Lilly zadała to pytanie bardzo wyważonym tonem.

- Skądże znowu!

- Zatem był to wypadek - orzekła stanowczo Lillian, patrząc na męża jasnoniebieskimi oczami, w których jednak nie dostrzegł współczucia.

Może ma rację? - zadał sobie w duchu pytanie Lucas. Bardzo chciał w to uwierzyć.

- Czy nie miewasz wątpliwości? Zawsze z taką pewnością oceniasz ludzi i sprawy?

- Zdawało mi się, że istotnie mam wyrobione zdanie, jednak ostatnio... - Urwała.

Lucas uznał, że najwyższa pora wyjaśnić przynajmniej część istniejących między nimi tajemnic i niedopowiedzeń.

- Kiedy opuszczałem Londyn w wieczór balu, nie miałem pojęcia, że ktoś nas widział. Chciałbym też wytłumaczyć ci, co stało się później...

- Za tę kompromitację ponoszę winę w równym stopniu, jak ty. Może nawet w większym, bo ty przerwałeś nasze sam na sam, podczas gdy ja...

- Chciałaś czegoś więcej?

Sama myśl o tym sprawiła, że zapragnął wziąć Lillian w ramiona. Zamarzyła mu się regularna noc poślubna: bliskość, czułe słówka, intymny dotyk i ekstaza spełnienia.

- Nie wiem... Może...

Otrzymał uczciwą odpowiedź. Bardzo go to uradowało. Nie wszystkie kobiety są takie jak Elizabeth, pomyślał. Jego była żona rzadko mówiła prawdę, zwłaszcza wtedy, gdy uważała, że jest dla niej niewygodna.

Zapukano do drzwi i weszły dwie młode służące, które szybko ustawiły na stole tace z dymiącymi potrawami. Pamiętały też o pozostawieniu butelki wody.

- Nie pijesz wina? - spytała, gdy usiedli do kolacji.

- Po wypadku powozu piłem stanowczo za dużo...

- A potem poznałeś mojego kuzyna. Zdaje się, że za nim nie przepadasz.

Lucasa natychmiast opuścił dobry nastrój. Jak może opowiedzieć o swoim dotychczasowym życiu damie wychowanej pod kloszem, otoczonej staraniem i opieką, przebywającej w wąskim kręgu i odseparowanej od niegodziwości świata? Z pewnością w wieczór poprzedzający noc poślubną Lillian nie chciała słuchać ponurych historii. Zdobyl się więc na wymuszony uśmiech i uniósł szklanke.

- W życiu nieraz miałem dużo trudniej niż ty. Niejednego, co zrobiłem, teraz się wstydzę. W swoim czasie było to jednak konieczne.

- Aby przeżyć?

Skinął głową.

- W Anglii jest łatwiej. Kto łamie reguły, ten doświadcza banicji. Kto łamie je w Wirginii, musi walczyć o przeżycie.

- Tak jak ty?

Przesunęła wzrokiem po jego bliźnie. W oczach Lillian widać było lęk, więc zaczął głaskać jej dłoń.

Lillian zamknęła oczy i chłonęła doznania. Doświadczała tego samego, co inne oblubienice w dniu ślubu: delikatnej i zniewalającej pieśczoły.

Czy mogło to zatrzeć dzielące ich różnice?

Nie wiedziała niczego o życiu męża, jego rodzinie oraz kraju, w którym mieszkał. Nie poznała jego poglądów, zapatrywań i upodobań. Nadal dzieliły ich niewyjaśnione tajemnice. Gdyby teraz doszło do zbliżenia, nie byłoby to połączenie ludzi oddanych sobie ciałem i duszą. Zaspokoiliby jedynie zmysły, ulegając żądzy, za którą nie stoi uczucie.

Gdy Lillian odsunęła się, mąż nie próbował jej zatrzymać, a po chwili wstał. Przyglądał jej się z uwagą - człowiek honoru, powściągliwy i opanowany, a przecież patrzący na nią dostatecznie wymownie, aby zrozumiała jego prośbę: jeśli nie teraz, to kiedy?

- Proszę o cierpliwość - powiedziała.

Nagle powróciło wspomnienie ich jedyne go pocałunku i ogarnęła ją fala gorąca. Kremowa suknia z jedwabiu nie była w stanie ukryć przeżących się piersi. Jeśli nawet Lucas dostrzegł tę reakcję Lillian, nie powiedział na ten temat ani słowa.

Przypomniały jej się słowa lorda Alfreda, który prorokował Lillian długie i szczęśliwe małżeństwo. Żałowała, że nie ma odwagi zażądać od Lucasa wyjaśnień na temat tego, co się z nim działo w ciągu ostatnich tygodni. Zabrakło jej również śmiałości, aby zapytać o ich wspólną przyszłość. Obawiała się, że odpowiedzi okażą się niezgodne z jej oczekiwaniami. Oboje milczeli.

Ni stąd, ni zowąd zrobiło się głośno.

- Pan Lucas! Pan Lucas! - zawołał dziecięcy głos, po czym do pokoju wpadła ciemnowłosa dziewczynka. Na chwilę przystanęła zaskoczona, gdy zauważyła obecność Lillian, ale szybko odzyskała kontenans. - Wrócił pan do domu! Pani Poole powiedziała, że mamy poczekać do jutra, ale...

- My?

Lucas obejrzał się, podobnie uczyniła Lillian i oboje dostrzegli, że na progu stoi druga, najwyraźniej bardziej lękliwa dziewczynka o włosach tak jasnych, że prawie srebrnych, i wielkich jasnoniebieskich oczach.



- Charity chciała, żebym na nią poczekała, ale ona dużo wolniej biega, więc nie mogłam - oznajmiła ciemnowłosa dziewczynka.

- Charity i Hope, to jest Lillian Clairmont.

Hope uśmiechnęła się, natomiast Charity odwróciła wzrok.

- Wzięliśmy dzisiaj ślub w domu mojej żony w Fairley Manor.

- To jest pani obrączka? - Hope przesunęła palcem po złotym krążku na palcu Lillian.

- Tak.

- Popatrz, Charity, czy nie śliczna? - zawołała ciemnowłosa dziewczynka, a młodszą przytaknęła.

- I ta pani ją nosiła?

- Tak - odparł Lucas - i pięknie wyglądała.

- Ja będę miała do ślubu jedwabną suknię z koronkami, tiarę i kwiaty we włosach.

Pojawienie się w drzwiach wyraźnie skonsternowanej guwernantki przerwało rozmowę.

- Bardzo przepraszam, sir. Dziewczynki miały zostać w pokoju i sądziłam, że tam są, póki nie usłyszałam kroków i nie poszłam ich śladem.

- Proszę pana, czy mógłby nas pan położyć spać? Bardzo prosimy.

Lucas zerknął na zegar.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu... Jest już późno, a dziewczynki...

- Naturalnie - powiedziała Lillian, starając się, by zabrzmiało to życzliwie. - One wyraźnie chcą, żebyś przy nich był, a ja jestem bardzo zmęczona.

- Życzę więc dobrej nocy.

- Dobrej nocy - powtórzyła po nim jak papuga Hope i wszyscy znikli za drzwiami. Odgłosy oddalającej się gromadki wkrótce ucichły.

Lillian wpatrywała się w zamknięte drzwi z rosnącym zdziwieniem. Po chwili zdjęła z oparcia łóżka jaskrawą kołdrę i przełożyła ją sobie na ramiona. Pikowanie tworzyło na niej kunsztowny wzór. Nagle drgnęła, zaskoczona ruchem w kącie pokoju. Duży, szaro-biały kot zbliżał się, miękko stąpając.

- Apsik, poszedł! - zawołała, ale nie zniechęciła zwierzęcia.

Kot usadowił się na łóżku i zaczął głośno mruczeć. Lillian usiadła obok, ostrożnie wyciągnęła rękę i przesunęła nią po gęstym futrze. W dotyku było bardzo przyjemne.

- Powiedziałaś, żebyś poszedł - powtórzyła, wpuszczając kota na kolana.

Ułożył jej się na udach w zawojach jedwabiu. Poczowała przyjemne ciepło. Zamknęła oczy i głęboko odetchnęła, poddając się wszechogarniającemu znużeniu po obfitującym we wrażenia dniu.

TLR

## Rozdział piętnasty

- Z tego wzgórza roztacza się najpiękniejszy widok - powiedział Lucas, gdy przystanęli na szczycie klifu. - Kiedyś musiało tędy biec koryto rzeki, bo woda przebiła się przez piaskowiec i zdecydowała o rzeźbie terenu. Zobacz, tam są pozostałości mniejszego strumienia.

Lillian zerknęła we wskazane miejsce.

- Dobrze znasz się na geografii.

Pokręcił głową.

- Rzeki są wszędzie takie same. Dzielą kraj, jak im się podoba, a ludzie muszą się dostosować do ich biegu.

- Tak jak rzeka, nad którą mieszkasz? James, prawda?

- Masz dobrą pamięć - zauważył, po czym spiał konia ostrogami i pokazał jej, by jechała za nim.

Spędzili cały rano, zwiedzając rozległe tereny należące do posiadłości Woodruff Abbey. Lillian podejrzewała, że jest to pomysł Lucasa, który chciał ją czymś zająć, a zarazem w naturalny sposób ustalić dystans między nimi i w ten sposób chronić ich przed niezręcznymi sytuacjami. Bez okazji do dotykania się, bez trudnych rozmów. Tylko podziwianie krajobrazów i dalsze zwiedzanie, gdy zabraknie tematu do konwersacji.

Mimo to Lillian dobrze się czuła podczas przejażdżki. Upajała się zimowym słońcem, grzejącym jej twarz, i pejzażami zachwycająco różnorodnej posiadłości Lucasa. Skąły z jaskiniami, przy których teraz się zatrzymali, były obrosnięte mchem i zdobione rytami, a pionowe ściany z piaskowca zabezpieczono wbitymi w ziemię palami.

Tym razem Lucas zeskoczył z konia i podszedł do niej. Nie mając innego wyjścia, przyjęła pomoc przy zsiadaniu. Poczuła w talii uścisk jego dłoni i ześlizgnęła się z siodła, ocierając o jego ciało, aż wreszcie dotknęła stopami ziemi.

Odsunęła się natychmiast, gdy tylko odzyskała równowagę. Dzisiaj nie towarzyszył jej ani Lucas Clairmont, który całował ją w Londynie, ani nieproszony gość, mający krew na twarzy i gniew w oczach. Znikł również wczorajszy Lucas Clairmont, pewny siebie, niemal arogancki. Ten mężczyzna był łagodny, troskliwy, nie wyglądał tak, jakby

chciał się czegoś od niej domagać, gdyby nie była gotowa mu tego ofiarować. Opanowany mąż, który samotnie spędził noc poślubną.

Nagle zatęskniła za człowiekiem, który przekomarzałby się z nią i pozwalał sobie na zuchwałość, tymczasem jednak spojrzenie jego złocistych oczu było bardzo nobliwe, jakby Lucas starał się zachowywać wyjątkowo przykładowo.

Czyżby jej mąż ćwiczył się w cierpliwości? Poprzedniego wieczoru właśnie o to go poprosiła.

- Jack Poole mówi, że ryty pochodzą z bardzo dawnych czasów - poinformował dość oficjalnie Lucas.

- Nie wiadomo więc, kto je wykonał?

Lillian przysiadła na jednej ze skał i podkasała spódnicę, żeby nie ubrudzić jej ziemią.

- Według niego jacyś przepływający tędy wikingowie, tanowie z początku ósmego wieku. Ci ludzie przemierzali tę część Anglii, żeby stoczyć walkę z saskimi wojownikami, którzy dzielnie bronili swojego ostatniego skrawka wolnej ziemi w Wesseksie.

Gdy spojrzał jej w oczy, zamilkł. Pierwszy raz, odkąd się poznali, poczuła, że to ona jest górą. Zwróciła uwagi na jego dłonie mocno zaciśnięte w pięści i obrączkę lśniąca na jednym z palców.

- A więc to stara historia.

Skinął głową. Wyglądał teraz jak mężczyzna, którego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- W której części Anglii mieszkałeś jako chłopiec?

- Na północnym wschodzie - odrzekł wymijająco.

- Rzadko odpowiadasz wyczerpująco na pytania, które cię dotyczą.

Roześmiał się, ale chyba niezbyt szczerze.

- Pytaj, o co chcesz.

Zastanowiła się i po dłuższej chwili wypaliła:

- Dlaczego w Eton ukradłeś zegarek?

- O cokolwiek, byle nie o to.

- W takim razie jak poznałeś Nathaniela St Auburna i Stephena Hawkhursta?

- W Eton. Byliśmy z tego samego rocznika i znaleźliśmy się tam jednocześnie, mając jedenaście lat. Całkiem długo się w tej szkole uczyłem. Poza tym wakacje najczęściej spędzało się w St Auburn albo w zamku Hawthorne, u rodziny Stephena w Dorset.

- A twój dom i rodzice?

- Rodzice rzadko bywali w domu, a jeśli już się tak zdarzyło, starałem się trzymać od nich z daleka.

Lillian raptownie podniosła głowę. Ta odpowiedź była niepodobna do innych, po-brzmiewała w niej gorycz. Lucas nie patrzył nią, obserwował szeroką dolinę, w której nawet o tej porze roku pozostało jeszcze kilka polnych kwiatów zaskoczonych pierw-szym atakiem zimy. Zapewne czuły swoją wåtłość i wiedziały, że wkrótce przeminą. Lil-lian dobrze to rozumiała.

- Jesteś jedynakiem?

Skinął głowę.

- Rodzice nie pojechali za tobą do Ameryki?

- Nie.

- U kogo tam mieszkałeś?

- U stryja. To był przyzwoity człowiek, nazywał się Stuart Clairmont. - Pokręcił głową, widząc, że Lillian szykuje się do zadania kolejnego pytania. - Czy jesteś ciekaw-ska z natury? Urządziłaś mi niemal przesłuchanie.

- Jesteś moim mężem, a właściwie nic o tobie nie wiem. Małżonkowie powinni się dobrze poznać.

- To prawda. Powiedz mi więc o sobie coś takiego, czego nikt inny nie wie.

Lillian zacisnęła usta i bacznie przyjrzała się twarzy męża. Może chciała się prze-konać, czy to, co mu powie, zostanie właściwie odebrane? - zadał sobie w duchu pytanie Lucas. Znał taką minę, w dzieciństwie widywał ją w lustrze, kiedy matka ostrzegała go, by nikomu nie mówił o niczym, co dzieje się w rodzinie.

- Kiedyś czytałam Biblię wspak - zaczęła. - To było wtedy, gdy matka opuściła oj-ca z kochankiem, który potem przyczynił się do jej śmierci - oznajmiła Lillian. - Nie w znaczeniu fizycznym oczywiście. Są też inne sposoby, by kogoś pozbawić życia. Ko-chanek matki był podobny do ciebie... Tajemniczy, posępny... - Urwała, głos ją zawiódł.

Po chwili dorzuciła: - Gdyby mój ojciec się dowiedział, że wyjawiałam rodzinną tajemnicę...

- Nie dowie się.

- Obiecujesz? - Jej dłonie były teraz zaciśnięte w pięści.

- Jak mi życie miłe - zapewnił, posługując się niecodziennym wyrażeniem, którego jako chłopcy używali z Nathanielem i Stephenem do przypieczętowania sekretów.

- Nie zamierzałam ci tego wyjawić, ale...

- Ale ponieważ wspomniałem o moich sekretach, czułaś się w obowiązku zrobić to samo?

Ucieszyło go, że się uśmiechnęła.

- Właśnie.

W oddali, na tle ciemnej ściany drzew, rysowała się bryła Woodruff Abbey. Na trawniku i półkolistym podjeździe było widać figurki bawiących się dziewczynek.

- Jak długo sprawujesz opiekę nad dziewczynkami?

- Od czasu, gdy prawnie ustanowiłem Woodruff Abbey ich majątkiem i przejąłem zarząd powierniczy.

- To nie jest twoja posiadłość?

- Korzystam z niej, ale kiedyś będzie ich własnością.

- To bardzo cenny dar od człowieka, który nie ma wiele dobytku.

- Dzieci powinny dorastać w poczuciu bezpieczeństwa.

- Chyba ty takiego nie miałeś. Co się stało z domem twoich rodziców? W ogóle o nim nie wspomniałeś.

- Został sprzedany, kiedy rodzice opuścili Anglię. Podróżowanie jest kosztowne, a mój ojciec nie znosił obowiązków związanych z opieką nad dziećmi.

- Był chyba dość egoistycznym człowiekiem.

Gdy Lucas nie odpowiedział, spróbowała innej taktyki.

- Dziewczynki bardzo cię lubią.

Roześmiał się i tym razem Lillian usłyszała w jego głosie przyjemne, ciepłe brzmienie. Podobało jej się, że Lucas, śmiejąc się, odrzuca głowę, a w kącikach oczu robią mu się zmarszczki. Z pewnością nie jest dandysem. Jej mąż należał do ludzi, który



muskulaturę i ogorzałą cerę zawdzięczając przebywaniu na świeżym powietrzu. Teraz, gdy widziała go na tle nieba, kojarzył jej się z tymi nieposkromionymi tanami, którzy przed wiekami wędrowali przez tę część kraju. Tak, Lucas nie pasował do Anglii z jej spokojnymi rytmem i wątlm, bladym słońcem.

Nie rozumiała go, ale pragnęła. Jego ciało wywierało na niej wrażenie jak żadne inne. Zawstydził ją wyznaniem o zarządzie powierniczym nad Woodruff Abbey do tego stopnia, że poczuła się zobowiązana zaoferować mu pieniądze i wyrazy współczucia z powodu braku majątku.

- Fairley Manor to duża posiadłość. Dzięki mojemu posagowi nie będzie ci na niczym zbywać.

- Za nic nie zakwestionowałbym twoich praw do Fairley. Jeśli sobie życzysz, każe sporządzić mojemu adwokatowi stosowny dokument.

Lillian niemal odebrało mowę. Nie raz i nie dwa zdarzali jej się adoratorzy, którzy najpierw szacowali grunty Davenportów, żeby ocenić, czy warto ją wziąć za żonę. Tymczasem miała przed sobą człowieka niemającego, który był gotów jej wszystko pozostawić.

- Fairley to twoje dziedzictwo. Przecież tak samo jak Charity i Hope potrzebujesz domu.

Zrozumienie między nimi rosło, a wraz z nim wzajemne zainteresowanie. Dotknij mnie! Lillian bardzo chciała wypowiedzieć te słowa. Zrób to pierwszy, wyciągnij rękę i dotknij. Sama przecież nie mogła, nie po wygłoszeniu prośby o zachowanie cierpliwości.

Lucas rzeczywiście wykonał ruch ramieniem, ale tylko odpędził jakiegoś skrzydlatego owada i roześmiał się, widząc jej gwałtowną reakcję, Lillian bowiem nagle odskoczyła do tyłu.

- Spodobało mu się światło w twoich włosach. Jak długie są, jeśli je rozpuścić?

- Moje włosy? - zaczerwieniła się jak burak. - Chyba za długie. Powinnam je ściąć, ale...

- Nie.

W odpowiedzi po prostu zdjęła siatkę, podtrzymującą jej kok, a oswobodzone pukle opadły swobodnie na plecy. Widziała, że zrobiło to na Lucasie wrażenie.

- Prosiłam o cierpliwość, nie o trzymanie się na dystans - szepnęła.

- Ach, Lilly - odrzekł. - Lepiej uważaj, bo pewnie nie wiesz, co to może oznaczać dla męża.

Nie poruszył się jednak.

- Może przynajmniej troszeczkę zmniejszymy dystans - zaproponowała, oblizując nagle wyschnięte wargi.

- Troszeczkę? - spytał schrypniętym głosem i wyciągnął ku niej ramiona. Objął ją nie tak znowu delikatnie, wyraźnie poczuła bowiem twardość jego mięśni i ciepło oddechu. - Czy to jest troszeczkę? - spytał, rozpoczynając pocałunek. Jedną rękę zanurzył w jej włosach, drugą podtrzymał podbródek, jakby zachęcał, by odsunęła się, jeśli potrafi.

Lillian nie zrobiła tego. Smak Lucasa, właśnie taki, jaki pamiętała z niezliczonych snów na jawie, budził w niej apetyt na więcej. Doświadczała rozkosznej przyjemności, całkiem niezwykłej. Zaczynała rozumieć, na czym polega radość bycia kobietą, a przy jej dwudziestu pięciu latach był już przecież na to najwyższy czas.

Gdy wreszcie Lucas przerwał pocałunek, chciała znów przysunąć się do niego, on jednak utrzymał ją na wyciągnięcie ramion.

- Nadchodzi deszcz, a „troszeczkę” nigdy nie wystarcza.

Lillian zacisnęła dłonie na klapach surduta Lucasa, żeby trochę uspokoić ich drżenie. Całe jej ciało było ożywione pocałunkiem. Zastanawiało ją, co by się stało, gdyby nie narzuciła mu ograniczeń. Pozwoliła dalej robić to, co niewątpliwie potrafił znakomicie. Znajdowali się na klifie sami, w promieniu wielu mil nie było żywego ducha.

W jej życiu istniały granice i dotyczyło to również pieszczot. Skrzywiła się na tę myśl i zaczęła z powrotem zakładać siatkę na włosy. Czuła się jak baśniowa księżniczka, której na jedną krótką chwilę pozwolono opuścić jej historię.

Księżniczka Lillian. Jak często niegrzeczne dzieci wołały tak za nią, kiedy dorosła. Panna mająca wszystko!

Rzeczywiście, miała wszystko oprócz matki, a sztywna moralność ojca była substytutem jego uczuć. Głęboko odetchnęła i odsunęła się od męża. Nie odważyła się spojrzeć mu w oczy, ale zauważyła uśmiech na jego twarzy.

- Jak na kobietę, której prawie nigdy nie całowano, zrobiłaś zaskakująco duży postęp.

Nie skrytykował jej. Ośmielona pochwałą, odwróciła ku niemu wzrok.

- Mam dobrego nauczyciela.

- Wiedz, że musi cię jeszcze wiele nauczyć.

Wiatr poniosł jego śmiech, a jej narzutka zafalowała, jakby nawet ona szukała bliskości z Lucasem. On tymczasem patrzył na Lillian tak, że „troszeczkę” z pewnością nie mogło im wystarczyć.

TLR

## Rozdział szesnasty

Następnego ranka Lucas nie pojawił się na śniadaniu. Po południu w dalszym ciągu go nie było. Poważnie zaniepokojona Lillian zastanawiała się, gdzie podział się jej mąż i czy nic złego mu się nie przytrafiło. Poprzedniego dnia wczesnym wieczorem mocno zaaferowany opuścił Woodruff Abbey. Zajrzał do niej przed wyjazdem i uprzedził, że nie będzie go w domu kilka godzin. Nie oponowała, wciąż bowiem pozostawała pod wrażeniem ich pocałunku i obawiała się, że nie protestowałyby, gdyby mąż chciał od niej nie tylko następnego pocałunku.

Wybrana przez nią na ten dzień suknia zdawała się odzwierciedlać jej stan ducha. Odślaniała lub zakrywała jedynie przezroczystą koronką te partie ciała, które zazwyczaj były dokładnie zakryte. Lillian dokonała takiego wyboru w nadziei, że Lucas zobaczy ją w tej sukni po powrocie. Niestety, nie doczekała się męża i zawiedziona ruszyła na zwiedzanie Woodruff Abbey.

Minęło przynajmniej pół godziny, nim dotarła do pokoju przy zimowym ogrodzie, w którym mieściła się domowa biblioteka. Olbrzymie półki zastawione licznymi tomami wyglądały tak, jakby nie porządkowano ich od bardzo dawna. Lillian przeglądała książkę zawierającą litografie Bath, gdy usłyszała szelest za plecami. Wydane przyciszonym głosem polecenie „Cisza!”, uświadomiło jej, że dziewczynki, które poznała zaraz po przyjeździe do Woodruff Abbey, znajdują się w bibliotece.

Hope i Charity. Właśnie zadała sobie w duchu pytanie, czy matka pozostająca przy zdrowych zmysłach może nadać dzieciom takie imiona, gdy jej ramię trącił spadający niewielki biały kwiat róży, a zaraz potem drugi. Włączając się do zabawy, podniosła kwiaty z podłogi i ułożyła je na dłoni.

- Ojej, kwietny śnieg - powiedziała.

Szepty za nią umilkły.

- Wróżki zsyłają go na ziemię, żeby przypomnieć dzieciom o tym, że powinny być grzeczne - dodała.

Rozejrzała się dookoła, starając się, by jej wzrok nie padł w stronę starego stołu, za którym bez wątplenia schowały się dziewczynki. Usłyszała stłumiony chichot.

- Hm, nie wydaje mi się, żeby tak śmiały się wróżki... Zrobiła kilka kroków, chcąc ciągnąć zabawę, ale nieoczekiwanie wyrosła przed nią postać dziewczynki.

- To my - powiedziała zwyczajnie Hope. - Zerwałyśmy te kwiaty wczoraj w ogrodzie zimowym - wyjaśniła, spoglądając na dwór przez przeszkloną ścianę pomieszczenia.

Charity, ubrana w identyczny fartuszek jak siostra, wysunęła się z za jej pleców.

- Odrabialiście lekcje?

Hope się skrzywiła.

- Kiedyś tego nie robiłyśmy, ale niedawno pan Lucas powiedział, że powinniśmy się uczyć, i znalazł nam nauczycielkę.

- Warto się uczyć - powiedziała Lillian, wskazując książkę, którą trzymała. - Czytanie może wam dać wiele godzin szczęścia.

Dziewczynki nie odpowiedziały, tylko spoglądały na nią z niepewnymi minami. W poszukiwaniu tematu, który może być bardziej interesujący, Lillian zdecydowała się na Boże Narodzenie.

- Czy pod okiem i z pomocą guwernantki przygotowujecie ozdoby na święta?

Dziewczynki pokręciły przecząco głowami.

- Pani Wilson uważa, że jesteśmy za duże na Boże Narodzenie.

- Wy?! Za duże na Boże Narodzenie?

Lillian ogarnęła złość na kobietę, która potrafiła powiedzieć dwóm osieroconym dziewczynkom coś tak niedorzecznego.

- Nikt nie jest za duży na Boże Narodzenie, nawet dorośli - podkreśliła stanowczo Lillian.

Hope przysunęła się bliżej.

- W zeszłym roku miałyśmy w domu drzewko przyniesione z dworu. Pani Poole pozwoliła nam kleić łańcuchy z kolorowego papieru, a sama ugotowała różne pyszności, na przykład pudding śliwkowy. Jednak w tym roku ma być inaczej. Pani Wilson orzekła, że musimy się pilnie uczyć, bo i tak zmarnowałyśmy dużo czasu.

Charity przytaknęła jej skinieniem głowy, jakby słyszała każde słowo siostry. Czyżby nie była głucha? - zadała sobie w duchu pytanie Lillian.

- Czy jeśli uda mi się znaleźć trochę papieru, farby, nożyczki i klej, to pomożecie mi w dekorowaniu tego pokoju? - spytała.

- Teraz?

- Do Bożego Narodzenia został tylko tydzień, więc nie ma czasu do stracenia.

Charity pokiwała głową i przez chwilę wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć. Pierwszy raz zdarzyło się, że zdecydowała o czymś szybciej niż siostra. Lillian przyglądała się jej prawie białym włosom i jasnym oczom i nagle uświadomiła sobie, kogo przypomina jej to dziecko.

Ją i jej własne dzieciństwo. Ona również straciła matkę i wychowywała się bez jej miłości, nie znajdując ciepła i pociechy w jej ramionach. Była nieśmiała i nieustannie starała się wszystkich zadowolić. Nie płakała, kiedy matka uciekła, bo, chociaż brakowało jej życiowego doświadczenia, rozumiała, że ojciec potrzebował wsparcia i pokrzepienia. Nie rozpaczała też po śmierci matki, ponieważ wówczas umiała radzić sobie z przeciwnościami losu, nie okazując emocji. Była pojętną uczennicą ojca

- W swoim pokoju trzymamy w pudełkach srebrną wstążkę i małe szyszki. Czy to się przyda? - spytała Hope.

- Na pewno.

Lillian odłożyła na półkę książkę, którą przeglądała, i wyciągnęła ramiona do dziewczynek. Z aprobatą przyjęły ten gest i ufnie wsunęły dłonie w jej ręce. Lillian uprzytomniła sobie, że nigdy przedtem nie dotykała dziecka ani nawet nie znalazła się w jego pobliżu. Zrozumiała, jak wiele do straciła.

Lucas wrócił, gdy zapadał zmierzch. Padający przez cały dzień deszcz właśnie zamienił się w ulewę. Wsunął pistolet do torby przytroczonej do siodła, w tym samym miejscu ukrył wyciągnięty zza skarpety nóż. Opuścił też rękaw, nie chcąc, by ktokolwiek zauważył ranę na jego ramieniu. Nawet dla niedoświadczonego oka było oczywiste, że pochodzi od noża.

Daniel Davenport właśnie zasiadł do stołu w gospodzie niedaleko Fairley Manor, gdy niespodziewanie pojawił się przed nim Lucas. Wraz z Danielem piło dwóch drabów, którzy wydali mu się znajomi. Tego dnia mieli jednak ręce zajęte kuflami, nie trzymali w



nich kijów jak wtedy w Londynie, gdy go uprowadzili. Davenport zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać.

Lucas paskudnie zaklął, wspominając tchórzostwo Davenporta. Pomyślał, że jednak złagodniał. Sześć tygodni temu z pewnością nie miałby najmniejszych skrępowań i po prostu zabił towarzyszących Davenportowi osiłków. Tymczasem okazał pobłażliwość, przekazując ich przedstawicielom miejscowych władz. Uznał, że zmiana nastawienia wzięła się z obecności Lilly w jego życiu.

- A niech to! - zawołał, gdy gałąź uderzyła w zranione ramię. Niestety, na początku pozwolił się zaskoczyć jednemu ze zbirów.

Zbliżał się do Woodruff Abbey. Zdziwiła go dająca się słyszeć muzyka. Skrzywił się, bo deszcz zalał mu oczy, po czym skierował konia ku stajniom.

Praca w bibliotece trwała całe popołudnie. Z kąta wyjechał na środek stary fortepian, z którego zdjęto pokrowiec. Stał w pobliżu choinki, na życzenie Lillian wyciętej w lesie przez pana Poole'a. Drzewko zostało ozdobione. Różnokolorowe, barwne gwiazdy, serca i papierowe języki zdobiły każdą gałąź, a od zajmującego honorowe miejsca na szczycie aniołka, który powstał ze starej lalki Hope, spływały w dół barwne łańcuchy. W powietrzu unosił się zapach świerkowych igieł. Zapalono w kominku i z płyty nad ogniem dolatywały trzaski piekących się kasztanów.

Zrobiło się świątecznie.

Widząc guwernantkę uważnie uderzającą w klawisze fortepianu, panią Poole wkładającą całe serce w śpiew oraz przytulone do siebie dziewczynki w nocnych koszulach, Lillian czuła spokój ducha, jakiego wcześniej nie zaznała.

Nigdy przedtem nie śpiewała kolęd w taki sposób, pełnym głosem, bez obawy, że sfalszuje, nie jadła kolacji przyniesionej na tacy, korzystając ze zwyczajnych sztuczków i codziennej zastawy. Tacę zdobił słoik z kwiatkiem, który był zmalretowany. Ważne jednak było to, że kwiatek przyniosła Charity, która wyszła do ogrodu, korzystając z chwili przerwy w ulewnym deszczu. Krwistoczerwone płatki przypomniały Lillian o upodobaniu Lucasa do żywych barw.

Hope właśnie wodziła palcem po ślubnej obrączce Lillian.

- Nie podoba mi się twoja obrączka - powiedziała, gdy przebrzmiała kolęda. - Kiedy ja będę wychodziła za mąż, chcę mieć wąską obrączkę z brylantem.

Lillian roześmiała się z tej naiwnej szczerości dziecka. W tym momencie do pokoju wszedł Lucas.

Zatrzymał się za progiem, z trudem rozpoznając znaną mu bibliotekę. W całym pomieszczeniu rozwieszono bożonarodzeniowe ozdoby, ustawiono świątecznie ubraną choinkę, a na środek wysunięto z kąta fortepian. Lillian siedziała na kanapie, trzymając na kolanach Hope i Charity. Spróbował się uśmiechnąć mimo dokuczliwego bólu ramienia, aby okazać radość z widoku, jaki miał przed oczami. Ucieszył się, że Lillian najwyraźniej dogadała się z dziewczynkami i zapragnął przyłączyć się do wspólnego kolędowania. Nagle wstrząsnął nim dreszcz, był mokry i zziębnięty.

- Lucas - powiedziała cicho Lilly, a dziewczynki uśmiechnęły się do niego.

- Jestem cały mokry. Pójdę się przebrać.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, odwrócił się do drzwi, czuł bowiem, że słabnie. Podczas długiej jazdy w deszczu podtrzymywała go na duchu świadomość, że znajdzie się w domu. Teraz, gdy do niego dotarł, zmęczenie dało o sobie znać ze wzmożoną siłą.

- Zaraz wrócę - rzucił przez ramię i wyszedł z biblioteki, słysząc kolędę.

Coś się stało, Lillian była tego pewna. Posadziła dziewczynki na kanapie, przeprosiła obecnych i schodami udała się na drugie piętro. Drzwi pokoju męża były zamknięte, a z wnętrza nie dochodził żaden odgłos. Nie zapukała, po prostu nacisnęła klamkę i weszła.

Lucas leżał ubrany na łóżku, jedną ręką zasłaniając twarz. Wstrząsały nim silne dreszcze, a wilgoć z mokrego ubrania wsiąkła w narzutę, tworząc dookoła wielką moką plamę.

- Niedługo zejdem, Lillian.

Nie odjął ręki z twarzy, nie próbował ani usiąść, ani wstać.

Lillian zauważyła, że skóra wokół ust mu posiniała. Ogarnął ją lęk.

- Jesteś chory?

- Nie. Okropnie mi zimno mi. Będzie lepiej, jak wyjdiesz.

Gdy nadal stała w miejscu, Lucas zapytał:

- Może podasz mi koce?

Mówił z trudem i był wyczerpany. Lillian zwróciła uwagę na jego lewe ramię, bezwładnie wyciągnięte wzdłuż ciała. Na nadgarstku zauważyła ciemną plamę krwi. Zaalarmowana szybko podeszła do łóżka i dotknęła końca jego palców. Były lodowate.

- Wezwę doktora.

Pokręcił głową. Lillian pojęła, że mąż nie chce, aby ktoś obcy dowiedział się o jego stanie. Zatem Lucas nie uległ wypadkowi; brał udział w walce. Ostrożnie rozdarła rękaw. Omal nie zemdląła na widok długiej, poszarpanej rany.

- Kto ci to zrobił?

Odpowiedziało jej milczenie. Odniosła wrażenie, że nawet gdyby Lucas chciał jej wyjaśnić sytuację, nie zdołałby wykrztusić ani słowa, zbyt wiele wysiłku kosztowała go bowiem walka z bólem.

- To moja wina - szepnął w końcu i zrozumiała, że więcej na ten temat od niego nie usłyszy.

- Rana wygląda na głęboką.

- Czy umiesz szyć?

- Tkam, haftuję, W razie potrzeby umiem podszyć rąbek sukni. - Umilkła nagle, zrozumiała bowiem, do czego prowadzi to pytanie.

- Trzeba oczyścić ranę.

- Czym?

Lillian nie miała pojęcia, co należy zrobić w takiej sytuacji. Owszem, wiedziała, jak radzić sobie z bólem głowy, niewielkimi siniakami, ale nigdy nie opatrywała ran, nie mówiąc o ich zszywaniu. Była przerażona.

- Alkoholem. Im mocniejszy, tym lepszy. I gorącą wodą. Sprowadź panią Poole, ona ci pomoże.

Lillian wzięła się w garść. Skupiła się na tym, aby jak najszybciej i najlepiej pomóc cierpiącemu mężowi.

Gdy w kominku zapłonął ogień i w pokoju zrobiło się ciepło, rannemu zdjęto przemoczoną odzież. Pani Poole przyniosła wrzątek i nożyczki. Mimo wieku poruszała się energicznie, a po jej zachowaniu było znać, że to dla niej nie pierwszozna.

- Towarzyszyłam oddziałom Wellingtona, moja droga - wyjaśniła w odpowiedzi na pytanie Lillian. - Jechałam z taborem. Zresztą, wtedy spotkałam pana Poole'a. Mój pierwszy mąż poległ w Hiszpanii, a kobiety nie trwały we wdowieństwie długo.

- I widziała pani rany podobne do tej?

- Wiele razy.

- Czy ranni zdrowieli? - spytała łamiącym się głosem Lillian.

- Oczywiście. Byłoby się czym martwić tylko wtedy, gdyby przyplątała się gorączka. Trochę szkoda, że pan nie chce napić się brandy, wtedy może trochę mniej dukałoby mu ból - odparła pani Poole i podała Lillian igłę z nitką.

- Małymi ściegami i nie za głęboko - pouczyła ją. - Jest pani pewna, że nie chce najpierw pokrzepić się brandy, moja droga?

Odmówiwszy już wcześniej napitku, tym razem Lillian tylko pokręciła głową. Musiała doskonale panować nad każdym ruchem, to ona przecież miała założyć szwy. Bardzo żałowała, że panią Poole zawodzi wzrok i nie może tego zrobić. Wysłuchiwała długiego wywodu o tym, co gospodyni widzi, a czego nie, i doszła do wniosku, że musi się podjąć trudnego zadania.

Lucas usiłował się uśmiechnąć, aby dodać żonie odwagi, ale jedynie się skrzywił. Widać było, że bardzo cierpi. Zdenerwowana Lillian nakazała sobie w duchu ostrożność i zabrała się do dzieła, aby jak najszybciej ulżyć rannemu. Ze zdziwieniem przekonała się, że skóra jest o wiele twardsza niż płótno i igłą trudniej ją przebić.

- Bardzo przepraszam - powiedziała, gdy mąż raptownie drgnął, a z rany trysnęła strużka krwi, którą pani Poole szybko wytarła.

Lucas odwrócił głowę, a Lillian na moment zerknęła śladem jego spojrzenia i przekonała się, że za oknem wciąż trwa ulewa, a niebo raz po raz przecinają błyskawice.

- Nadchodzi burza - powiedział.

- Mówią, że spadnie śnieg - dodała pani Poole. - Może jednak będziemy mieli białe Boże Narodzenie.

Rozmowa o pogodzie odciągała uwagę rannego od bólu. W niewprawnej ręce Lillian igła raz po raz ześlizgiwała się i wbijała w ranę. Stopniowo jednak przybywało równych ściegów, a brzegi rozszarpanej skóry zbliżały się do siebie i zamieniały w wąską czerwoną linię.

W końcu Lillian odłożyła igłę i wstała. Ogrom zadania, któremu musiała stawić czoło, zupełnie ją wyczerpał.

- Dziękuję - szepnął Lucas, patrząc na żonę z wdzięcznością.

Pani Poole wyszła z pokoju, aby przynieść leczniczą maść, której zapomniała wziąć ze sobą, gdy spieszyła się do rannego. Lillian, którą nagle opuściło napięcie, ledwie mogła ustać na nogach. Przysiadła na krześle i powiedziała:

- Mój ojciec ma pieniądze i wpływy. Porozmawiam z nim i poproszę, żeby ci pomógł.

- Nie, Lillian. - Lucas z trudem przekreślił się na łóżku. Był bardzo blady. - Wtedy, gdy zostawiłem cię w sali balowej Billinghurstów, po wyjściu z ich rezydencji wpadłem w zasadzkę.

- W zasadzkę?! - powtórzyła zdziwiona.

- Gdy wracałem do domu, rzuciło się na mnie trzech mężczyzn. Ocknąłem się na statku, który, jak mnie poinformowano, płynął do Lizbony. Wywnioskowałem, że moje zniknięcie zostało opłacone pieniędzmi Davenportów.

Lillian zmartwiała.

- Nigdy, ja... - zaczęła po chwili.

Lucas uśmiechnął się do niej uspokajająco.

- Mój ojciec? - spytała szeptem.

- On też nie.

- Czy chodzi o Daniela?

- O niego i twoją ciotkę! To lady Jean Taylor-Reid wyłożyła pieniądze i podstawiła powóz Davenportów.

- Ciotka Jean? Nie mogę uwierzyć, że byłaby zdolna do takiej podłości i miała dość odwagi, aby się na to zdobyć. Kiedy nie wróciłeś, pomyślałam, że zrejterowałeś, aby nie zmuszono cię do zaręczyn ze mną.

Lucas przecząco pokręcił głową.

- Gdy udało mi się uciec ze statku, wróciłem do Anglii dla ciebie. Dowiedziałem się, jak się rzeczy mają, i natychmiast poleciłem mojemu adwokatowi przedłożyć propozycję małżeństwa.

- Mój ojciec przyjął oświadczyzny, chociaż nie pojmuję, jak go do tego przekonałeś.

Lucas nie odpowiedział. Najwyraźniej chwila szczerości dobiegła końca. Lillian posmutniała, ale jak gdyby nigdy nic zaczęła poprawiać pościel na łóżku.

- Muszę ci jeszcze niejedno wyjawić, Lilly, ale nie teraz.

- Na przykład: skąd wzięła się rana?

Wskazała jego ramię, a on nieoczekiwanie wyciągnął je ku niej, choć przyszło mu to z trudnością.

- To też - odparł, niezdarnie gładząc przegub dłoni Lillian.

Właśnie w tym momencie pokój wypełniło jaskrawe światło i rozległ się grzmot. Burza przybierała na sile, przypominając o słabości człowieka w obliczu przyrody.

Gdy Lucas zacisnął palce na dłoni Lillian, nie próbowała jej cofnąć. Wkrótce zasnął. Jego twarz we śnie straciła na ostrości, rysy mu złagodniały. Odchylona głowa i rozpięty kołnierzyk koszuli sprawiały, że widać było bliznę na szyi.

Niedoświadczony chłopiec wyruszył sam, bez rodziców za morze, do odległej Ameryki, rozmyślała Lillian, przyglądając się śpiącemu mężowi. Co działo się z nim od tamtej pory? Ile jest prawdy w krążących w towarzystwie pogłoskach o niechlubnych uczynkach Lucasa?

- Proszę, niech on nie będzie złym człowiekiem - zwróciła się szeptem do Boga, w którego wierzyła.



## Rozdział siedemnasty

Pogoda nieco się poprawiła. Lillian była przekonana, że słońce tylko czeka, żeby wyrzeć zza chmur, aby przebić się promieniami przez płataninę gałęzi i pozostałych jeszcze Mści w części ogrodu widocznej z pokoju śniadaniowego.

Ku zadowoleniu Lillian jej mąż zszedł na śniadanie. Hope szczebiotała o nowym dniu i o poprzednim wieczorze, a także o burzy i o ozdobach choinkowych. Buzia jej się nie zamykała. W przeciwieństwie do siostry Charity siedziała przy stole w milczeniu i wolno podnosiła łyżkę z owsianką do ust.

- Jeśli wasza guwernantka pozwoli, mogłybyśmy w porze lunchu nazbierać sosnowych szyszek i różnych gałązek z leśnymi jagodami, żeby udekorować świątecznie kominek - zaproponowała Lillian. - Kiedy byłam małą dziewczynką, zawsze to robiłam.

- W Fairley Manor? - spytał Lucas.

- Tak, razem z matką - przytaknęła Lillian.

Ze zdziwieniem słuchała własnych słów. Od bardzo dawna nie wspominała o matce w towarzystwie. Dziewczynki natychmiast zwróciły ku niej baczne spojrzenia, musiała więc coś dodać.

- Umarła, gdy miałam trzynaście lat. Kiedy o niej myślę, ogarnia mnie smutek - wyznała - a szczególnie w porze Bożego Narodzenia.

Nieoczekiwanie Charity wsunęła w jej dłoń swoją małą rączkę. To był ujmujący gest, mówiący: Nie jesteś sama, masz mnie.

Lillian zerknęła na męża. Przyglądał się jej, przechyliwszy głowę. Miał obandażowane ramię, ale bladość twarzy znikła. Najwyraźniej sen miał na rannego dobroczynny wpływ, uznała Lillian. Mąż posłał jej uśmiech, któremu towarzyszył błysk w oku. Zaruszyła się i pochyliła nad talerzem z jajecznicą.

- Mam coś dla ciebie, Lilly - powiedział Lucas, znowu posługując się swoją wersją jej imienia. - Kiedy skończysz jeść śniadanie, a dziewczynki pójdą na lekcje, chciałbym ci to dać.

Pokój Lucasa wyglądał schludniej niż poprzednio. Wszystkie ubrania zostały pochowane do szafy i komody, a dziesiątki papierów i książek zalegających blat biurka zostały ułożone w dwie równe sterty.

Lillian zauważyła, że wiele książek dotyczy żeglugi i budowy łodzi, a na półce za plecami męża dostrzegła model statku z wiernie odtworzonym skomplikowanym takielunkiem.

- To „Rainbow” - powiedział, wędrując za jej spojrzeniem. - Jeden z najpiękniejszych żaglowców, jakie kiedykolwiek zbudował Donald McKay. Widziałem tę imponującą łódź pływającą po zatoce Massachusetts, zanim wybrała się na pełne morze. Ma smukły, długi dziób, żeby zamiast wspinać się na fale, mogła je pruć.

- Kupiłeś ten model tutaj?

Skinął głową.

- W Londynie. Po Bożym Narodzeniu wysłę go do domu mojego stryja w Richmond.

- On też lubi statki?

- Lubił. Już nie żyje.

- Czy rodzice kiedyś odwiedzili cię w Ameryce?

- Na szczęście nie - odparł szczerze Lucas.

Lillian zmarszczyła czoło w wyrazie dezaprobaty dla tych słów, więc wyjaśnił:

- Rodzice byli bardziej zainteresowani sobą niż mną. Ojciec miał prawie czterdzieści lat, gdy przyszedłem na świat, i ciężką rękę dla syna, którego nigdy nie rozumiał. Ulżyło mi, gdy przekazali opiekę nade mną stryjowi Stuartowi.

- Spotkałeś się z nimi po powrocie do Anglii?

Pokręcił przecząco głową.

- Umarli kilka lat po moim wyjeździe podczas podróży po Włoszech. Podobno na influencę - wyjaśnił obojętnym tonem Lucas.

Lillian zrozumiała, że utracił więź z rodzicami, i pomyślała, że chyba ich nie kochał.

- Mieszkałeś więc u stryja.

- Mieszkałem na terenie jego posiadłości nad rzeką James. Tam uprawiałem ziemię.

- Sam?

- Na początku borykałem się z różnymi problemami, ale stryj nie zostawił mnie z nimi samego, a ja szybko nauczyłem się, czego trzeba.

- Czy jeden z tych problemów zakończył się dla ciebie blizną na szyi?

Odruchowo postawił kołnierzyk.

- Mam również inne blizny - odrzekł Lucas.

Nastrój przyjaznej, swobodnej rozmowy nagle się ulotnił.

- Nie jestem taki jak ty, Lillian - ciągnął Lucas. - Mam za sobą różne, nie zawsze miłe doświadczenia - dodał. Wcześniej nie słyszała tak wyraźnie w jego głosie charakterystycznego amerykańskiego akcentu. - Zauważyłem też, że rzadko nosisz obrączkę, którą ci dałem.

Ujął ją za rękę, a Lillian, patrząc na swój огоłocony palec, wyjaśniła:

- Zdjęłam ją wczoraj, kiedy malowałam z dziewczynkami świąteczne ozdoby.

Pochylił się i otworzył szufladę przy łóżku.

- Wiem. Pani Poole znalazła ją i oczyściła.

Znajomy ciężar na palcu wydał się Lillian mniej uciążliwy, a sama obrączka nie tak bardzo jarmarczna. Zaskoczyła ją ta konstatacja. Uśmiechnęła się do męża, a on przeciągnął palcami po jej odkrytym ramieniu.

- Pragnę, aby nasze małżeństwo nie było na niby. Chcę dzielić z tobą łóżko. Wspomniałaś o cierpliwości i opanowaniu, ale wydaje mi się, że powoli tracę i jedno, i drugie. Jeśli więc zamierzasz mnie powstrzymać, to chyba najwyższy czas...

Położył dłoń na piersi żony, skrytej pod warstwą aksamitu, ani na chwilę nie odrywając rozpalonego spojrzenia od jej oczu.

- Lucas? - powiedziała z westchnieniem Lillian.

- Pragnę znacznie więcej niż tylko pocałunku - wyznał Lucas, biorąc żonę w ramiona.

Gdy odchyliła głowę, pocałował ją czule w usta, jakby obiecywał dużo więcej. Puls jej przyspieszył. Niewiele wiedziała o tym, co zaraz nastąpi, ale jej ciało tego pragnęło.

- Jeśli teraz nie przestaniemy, nie mogę obiecać, że potem zdołam się pohamować.

- Mamy przestać? - spytała zawiedziona Lillian.

Ta myśl była zupełnie nie do przyjęcia.

- Tym razem pragnę nie tylko pocałunku. Nie chcę sprawić ci bólu.

- Bólu?

- Kiedy mężczyzna obcuje z kobietą, pierwszy raz nie zawsze jest łatwy.

Wypowiedział te słowa szeptem. Ciepły oddech męża, który Lillian czuła na twarzy, był jak pieszczota.

- Czy wiesz coś o tym, jak to się dzieje?

- Dziecko powstaje z nasienia, które składasz w moim brzuchu.

Kiedyś powiedziała jej to Anne Weatherby po wypiciu większego niż zwykle kieliszka wina.

- Niezupełnie, kochanie.

Kochanie? Ładnie ją nazwał. Jego dłoń błędziła niżej, głaskała jej brzuch i biodra. Lillian, zachęcona tym milczącym zaproszeniem, mocno przywarła do męża. Prosiła o więcej, choć nie wiedziała jeszcze, co to znaczy.

Lucas zaczął naśladować ruch jej tulącego się do niego ciała, podchwycił jego rytm. Dawać i brać. Właśnie takim językiem posługiwali się od wieków kochankowie, słów nie potrzebowali.

- Lucas? - szepnęła Lillian.

Uniósł jej spódnice i Lillian poczuła na udach zimny prąd powietrza, który sprawiał, że jego palce wydały jej się jeszcze gorętsze niż przed chwilą. Dotarły tam, dokąd przez cały czas zmierzały. Lucas nie pozwolił żonie odwrócić spojrzenia. Nie przestając hipnotyzować jej wzrokiem, rozpoczął pieszczotę. Lillian przebiegł dreszcz zapowiadający rozkosz.

- Zaraz ciasno mnie otoczysz - powiedział Lucas, delikatnie skubiąc skórę na jej karku. - Jestem pewien, że doskonale do siebie pasujemy.

Przyprawił ją o zawrót głowy kolejnym pocałunkiem.

Czas stanął w miejscu, to, co było dookoła, zbladło. Liczyły się tylko niezwykle doznania. Powietrze wokół nich wibrowało. Na ciele Lillian pojawiły się kropelki potu. Rozkosz zdawała się nadchodzić, a potem na chwilę odpływała, by powrócić z jeszcze większą siłą.

- Ej, nie tak szybko! - powiedział ze śmiechem, zadowolony entuzjastyczną reakcją żony na pieszczoty.

Pożądał jej przystojny mężczyzna. Upojona tą świadomością, pozwoliła podkasać sobie spódnicę i czekała, aż mąż zdejmie spodnie. Znowu wziął ją w ramiona i powiedział:

- Twoje ciało, kochanie, mówi, że mnie pragnie.

Lekko ją uniół i ostrożnie się z nią połączył.

- Lucas! - krzyknęła Lillian, w pierwszej chwili zaskoczona odczuwanym bólem.

Natychmiast znieruchomiał. Czule na nią spojrzał.

- Jeśli naprawdę chcesz, żebym przestał...

- Nie - szepnęła.

Ból mijał i odradzało się pragnienie potężniejsze niż wcześniej, które domagało się zaspokojenia.

- Czy to odczuwają wszyscy małżonkowie? - spytała Lillian, gdy powoli wrócili do rzeczywistości.

- Tylko ci, którym sprzyja szczęście - odparł Lucas, biorąc ją za rękę.

Posadził ją na łóżku, zdjął jej suknię i gorset i odsłonił całe ciało. Światło dnia pozwalało mu się w pełni nacieszyć tym widokiem.

- Jesteś taka piękna - powiedział, rozpuszczając jej włosy. - O wiele piękniejsza niż w sukni.

Puszczone wolno bujne, lekko falujące włosy opadły jej na plecy. Lucas zanurzył w nich dłonie i uniół je ku światłu.

- Ileż w nich odcieni, Lilly.

Nigdy u nikogo nie widział czegoś podobnego. Przemieszane pasemka w kolorze pszenicy, ciemniejsze jak kukurydza i prawie srebrne. Teraz przyszła kolej na niego.

Zdjął koszulę, a jego blizny, które dotąd przed nią ukrywał, ukazały się nagle w jasnym świetle. Lillian powiodła palcem po szramie na udzie, a potem wybrała mniejszą, poniżej żeber, po lewej stronie ciała.

- Tu byłem nie dość szybki. Dostałem kulą - wyjaśnił.

Jej ciało, inaczej niż jego, zachwycało gładkością. Długa linia nóg, krągłe pośladki i kształtne piersi. Tylko jeden z palców dłoni nosił ślad jakiegoś wypadku. Lucas ujął Lillian za rękę i wyszukał go wśród innych.

- Zraniłam się nożem w zeszłym roku, kiedy kroiliśmy pierwsze jabłko tamtego lata.

Gdy Lillian poruszyła ręką, na jej palcu zamigotał rubin.

- Nadal chcesz inną obrączkę?

Pokręciła przecząco głową.

- Przyzwyczyłam się do niej, a ona do mnie.

- Należała do mojej babki. To był jedyny przedmiot, który zabrałem ze sobą z Anglii. Nosilem ją na łańcuszku na szyi, żeby nikt mi jej nie ukradł podczas długiej drogi do Ameryki. Pierwszej żonie jej nie dałem i teraz wiem dlaczego. Czekałem na ciebie.

Zacisnęła dłoń w pięść, a on pochylił się i zaczął całować jej knykcie. Wędrujący między nimi czubek języka wyzwalał u niej przyjemne dreszczyki.

- Kochaj mnie, Lucas - szepnęła.

- Kocham - odpowiedział i dla nadania temu słowu większego znaczenia namiętnie ją pocałował.

Gdy się zbudziła, męża przy niej nie było, pozostało tylko zagłębienie w pościeli tam, gdzie leżał, ale już zimne i puste. Lillian wygładziła poduszkę i odwróciła się do okna. Na wargach zaigrał jej uśmiech niedowierzania.

Do niedawna była powściągliwa, skrupulatna i ostrożna. A tego ranka? Lucas wyzwolił jej temperament, pieszczotami i pocałunkami sprawił, że przestało ją obchodzić, co jest, a co nie jest stosowne. Przeciągnąwszy się, poczuła przypływ energii. Teraz była żoną nie tylko z nazwy. Poznała tajemnice małżeńskiego łoża.

Pomyślała o bliznach znaczących ciało męża. To nie były drobne wypadki ani skaleczenia. Szrama na nodze ciągnęła się od pachwiny po kolano, a i ta na szyi robiła wra-



zenie. Jeszcze inna sięgała do łopatki. Teraz szykowała się nowa, skryta tymczasem pod bandażem. Najwyraźniej Lucas miał wielu wrogów. Prawdopodobnie wciąż ich ma.

Czy mogła go o to zapytać i liczyć na odpowiedź? Jej ojciec rzadko rozmawiał z matką o czymś naprawdę ważnym. Wiedziała o tym, ponieważ Rebecca nieraz skarżyła się na to przyjaciółkom, kiedy zdawało jej się, że córka nie słucha.

Czy tak jest w małżeństwie? - zadała sobie pytanie Lillian i zaczęła się bawić obrączką. Świeżo oczyszczone złoto ujawniło jakieś znaki. Zsunęła krążek z palca, przybliżyła do oczu i odczytała napis wygrawerowany w złocie: „Gdzie ty pójdziesz...”.

Lillian dokończyła ten wers z pamięci:

- "... tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkas, tam ja zamieszkam".

Cytat wybrany z Księgi Rut przyprawił ją o mocniejsze bicie serca. Czy Lucas wiedział o tym, że na obrączce znajduje się napis? A może kazał go wyryć specjalnie dla niej? Obrączka była stara, pochodziła z ubiegłego wieku i musiała przedstawiać niemałą wartość. Ciekawe, czy wygrawerowano ją niedawno, czy też była to przysięga kochanków z zupełnie innych czasów?

Wsunęła obrączkę na palec i zacisnęła dłoń. Wartość złota i rubinu wydawała jej się niczym w porównaniu z wartością odkrytych właśnie słów. To odkrycie było trochę jak pocałunek pod jemiolą albo pierwszy śnieg przed Bożym Narodzeniem.

Ekscytujące i obiecujące!

Gdy kilka godzin później, szukając męża, zajrzała do biblioteki, ujrzała dwóch mężczyzn. Nie wyglądali ani na właścicieli włości, ani na londyńskich dżentelmenów. Wydawali się niebezpieczni. Choć przekroczyła próg biblioteki w radosnym nastroju, teraz ogarnął ją strach. Pogłębił się on jeszcze, gdy dostrzegła wyraz twarzy Lucasa.

- Lillian - powitał ją z ukłonem. Stał przed swoimi gośćmi, tak by zasłonić ich przed jej wzrokiem. - Jestem teraz zajęty. Czy to nie może poczekać?

- A może? - Nie potrafiła się powstrzymać przed udzieleniem odpowiedzi w formie innego pytania.

Zerknęła na biurko i zauważyła na blacie stertę banknotów o dużych nominałach. Obok leżał pistolet. Nie elegancki model używany do pojedynków, lecz narzędzie do za-

bijania. Mała choinka, którą zrobiła dla niego w prezencie Charity, stała obok, a wiszące na niej czerwone i srebrne gwiazdy przypominały o nadchodzących świętach.

Mężczyźni wyglądali na cudzoziemców. Kiedy na nich spoglądała, odwracali wzrok. Odruchowo dotknęła obrączki.

- Będę na ciebie czekała w niebieskim salonie - powiedziała.

Pozwoliła mężowi przytrzymać drzwi i opuściła bibliotekę.

Na korytarzu przystanąła tknięta nagłą myślą. Pani Poole zrobiła Lucasowi temblak, przed chwilą jednak widziała męża bez niego, za to w stroju do konnej jazdy. Czy to możliwe, że zamierzał wyjechać?

Za osiem dni rozpoczynały się święta Bożego Narodzenia, a w domu znajdowali się podejrzani mężczyźni nie wiadomo z jakiego zakątka ziemi. W dodatku nim Lucas się opanował, zdążyła zauważyć, że obrzuca nieproszonych gości wściekłym spojrzeniem.

Odetchnęła głęboko i wtedy usłyszała piski dobiegające z holu. Gdy wyszła zza zakrętu korytarza, zobaczyła Hope i Charity, bawiące się ze szczeniakiem, który nie przypominał żadnego wcześniej widzianego przez Lillian psa. Hope radośnie wołała pieska, a ten podskakiwał, starając się złapać piłkę.

Lillian podeszła do dziewczynki.

- Skąd macie tego szczeniaka, kwiatuszku?

- Pani Poole przyniosła go z samego rana, a pan Lucas powiedział, że możemy go zatrzymać, bo Royce jest już bardzo stary. Naprawdę możemy?

Lillian pozostało tylko przytaknąć. Charity kiwała głową i przez chwilę wydawało się nawet, że coś powie, bo wydeła wargi, układając je tak jak do słowa „proszę”.

Jakby tego wszystkiego było mało, nagle do holu energicznie wkroczył Stephen Hawkhurst w stroju do konnej Jazdy.

## Rozdział osiemnasty

- Muszę porozmawiać z Lucasem! - wykrzyknął lord Hawkhurst.

Przestraszone gniewnym tonem niespodziewanego gościa dziewczynki wraz ze szczeniakiem schowały się za Lillian. Zwróciła uwagę na to, że Stephen jest uzbrojony.

- Co się stało? - zapytała zdenerwowana.

- Nie ma chwili do stracenia. Powiedz mi, gdzie jest Lucas, bo tamci są tuż-tuż, i to dużą grupą.

W tym momencie w holu zjawił się Lucas.

- Co tu się dzieje? - spytał.

Stephen z wyraźną ulgą spojrzał na przyjaciela.

- Są tutaj - oznajmił.

- Widziałeś ich?

- Ze wzgórza za wsią. Zbliża się sześćoosobowa grupa. Będą za kilka minut.

Pokonawszy hol w trzech susach, Lucas pchnął Lillian i dziewczynki ku schodom, a przestraszonego szczeniaka wcisnął w ramiona Hope.

- Idź na górę, Lilly. Zamknijcie się w sypialni. W szufladzie jest pistolet. Umiesz strzelać?

Pokręciła przecząco głową.

- Wobec tego w razie potrzeby udawaj, że umiesz polecić. - Jeśli ktokolwiek dostanie się do sypialni, kieruj lufę w jego pierś i staraj się zyskać na czasie.

- Na czasie - powtórzyła machinalnie, przestraszona.

Lucas błyskawicznie się odwrócił. Mężczyźni, których wcześniej widziała w bibliotece, trzymali w rękach broń.

- Chodźcie, dziewczynki - powiedziała tonem, który miał dodać im otuchy. - Musimy przygotować więcej ozdób na święta.

Kiedy zobaczyła, że mąż przesyła jej uśmiech, poczuła się raźniej. Nie znaczy to jednak, że nie była pełna obaw co do tego, jak rozwinie się ta niebezpieczna sytuacja. Zastanawiała się również z niepokojem, w co wplątał się Lucas i czym to mu grozi. Nadal wiedziała niewiele o jego przeszłości.

Lucas odetchnął z ulgą, obserwując, jak żona wraz z dziewczynkami wchodzi po schodach na piętro. Nie mógł jej stracić. Nie przyjmował do wiadomości, że ukochanej może się przytrafić coś złego. On na to nie pozwoli! Stracił pierwszą żonę. Wprawdzie jej nie kochał i nie wiodło im się w małżeństwie, ale przecież nie chciał jej śmierci. Zginęła w wypadku powozu, ponieważ gnali na złamanie karku do akuszerki w Hampton, żeby Elizabeth mogła urodzić dziecko spłodzone przez znenawidzonego przez Lucasa Daniela Davenporta.

Sprawdził godzinę na zegarku, który kiedyś podarował mu stryj. Było coś prozaicznego w geście, który z pewnością wielokrotnie wykonywał Stuart Clairmont. Pozostawało zarządzić obronę i rozstawić pozycje. Rzucił monetą.

- Jeśli wypadnie awers, biorę bramę - zwrócił się do Stephena.

Przyjaciel uśmiechnął się.

- A jeśli rewers, masz frontowe drzwi.

Kiedy na monecie pokazał się wizerunek królowej Wiktorii, Lucas pchnął drzwi. Odetchnął z ulgą, gdy nie rozległy się strzały, i mocniej zacisnął dłoń na kolbie pistoletu.

Ruszył w stronę ogrodu, na swoje stanowisko. Zauważył pomarańczowe owoce głogu na brunatnej gałęzi. Postanowił, że jeśli przeżyje, pozrywa je i zanieśie żonie. Obiecał sobie także, że wyjawia jej, kim naprawdę jest.

Lillian poleciła dziewczynkom sporządzić listę bożonarodzeniowych gier, których najbardziej chciałyby spróbować w najbliższych dniach. Hope miała spisać reguły, żeby było wiadomo, co należy robić, a Charity została poproszona o zrobienie do każdej gry obrazka.

- Czy panu Lucasowi nic się nie stanie?

W pełni zrozumiała słowa, choć wypowiedziane nieco zachrypniętym głosem. Lillian nie wierzyła własnym uszom. Wzruszona uklękła przed Charity, mając w oczach łzy.

- Ty możesz mówić?

- Zawsze mogła, ale mówiła tylko do mnie - wyjaśniła obojętnie Hope, najwyraźniej bez emocji traktując całe wydarzenie. - Panią też kocha, więc postanowiła się odezwać. Kiedy nasza mama umarła, Charity przestała mówić, ale pani jest dla nas jak mama...

Lillian z czułością pogłaskała dziewczynkę po policzku.

- Dziękuję ci z całego serca, Charity. Czy będziesz rozmawiać również z panem Lucasem?

W odpowiedzi dziewczynka skinęła głową. Uradowana Lillian przytuliła Charity, jakby to było jej dziecko.

Kiedy po chwili dziewczynka wyswobodziła się z objęć i wróciła do rysowania, Lillian otarła łzy

W biurku Lucasa znalazła pióra i ołówki, zauważyła też list z czerwoną woskową pieczęcią Davenportów. Na wierzchu rozpoznała pismo Daniela. Odłożywszy list, zajrzała głębiej i wydobyła z kolei kilka żołnierskich medali z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem porucznika Lucasa Clairmonta z 5. Pułku Piechoty Nowojorskiej Straży Obywatelskiej. Data była wybita w osobnej linii: 1844. Lillian policzyła, że Lucas dostał te odznaczenia, mając dwadzieścia cztery lata.

Na blacie biurka spostrzegła leżącą z boku kartkę, na której wypisano nazwisko jej kuzyna, Daniela, a powyżej inne, Elizabeth Clairmont, pierwszej żony Lucasa. Czy Daniel i Lucas poznali się w Ameryce? Czy to mógł być powód ich waśni? Czy dlatego w szufladzie znalazł się list z pieczęcią Davenportów?

Gdy nawet w sypialni dały się słyszeć gniewne okrzyki dobiegające z dołu, Lillian, starając się nie pokazywać strachu, zerknęła najostrożniej, jak potrafiła przez okno. Ujrzała człowieka mierzącego z pistoletu prosto w Lucasa, i to z bardzo bliska!

- Niech cię szlag! - zaklął Lucas, gdy kula przeleciała obok, niemal ocierając mu się o głowę. - Trzeba było celować niżej.

Żołnierska natura kazała mu zakpić z przeciwnika, chociaż ten ponownie odwodził kurek. Nie należało tracić czasu. Kula Lucasa dosięgła celu, rosły mężczyzna upadł. W tym samym momencie od strony podjazdu do uszu Lucasa dobiegł głos jego wroga.

- Jeśli natychmiast nie wyjdiesz - zagroził Daniel Davenport - zastrzelę twojego przyjaciela.

Zaraz potem dał słyszeć głos Stephena Hawkhursta:

- Nie rób tego, Lucas. On i tak mnie zastrzeli.

Stephen zamilkł, ale żaden strzał nie padł. Może nastąpiło uderzenie kolbą, a może sztych spada? - zadał sobie w duchu pytanie Lucas, bojąc się o los przyjaciela. Szybko obszedł dom dookoła i wychynął z drugiej strony, skąd miał dobry widok. Ujrzał Davenporta pochylonego nad ciałem. Z zadowoleniem stwierdził, że przeciwnik nie uważał jego manewru.

- Jeszcze dziesięć sekund i twój przyjaciel umrze. Dziewięć... osiem... siedem...

Przy „sześciu” Lucas wystrzelił, mierząc do mężczyzny stojącego z lewej strony Davenporta. Tamten upadł.

Ilu jeszcze ludzi miał ze sobą Davenport i czy Stephen jeszcze żyje? - zastanawiał się gorączkowo Lucas. Potoczywszy wzrokiem dookoła w poszukiwaniu następnej kryjówki, dostrzegł w odległości niecałych dwudziestu jardów gęsty krzak głogu. Gdyby udało mu się tam dotrzeć, mógłby się skryć i jednocześnie obserwować to, co się dzieje po drugiej stronie budynku.

Lillian zobaczyła, że Lucas szykuje się do biegu, chcąc zmienić swoją obecną kryjówkę na tę, zza której mógłby śledzić, co dzieje się z lordem Hawkhurstem. Było oczywiste, że nie ma szans tam dotrzeć, pozostając na czas biegu widoczny dla przeciwników. Gdyby dosięgła go kula, napastnikom pozostałyby do sforsowania już tylko schodki prowadzące do wejścia do domu, a ona miałaby bardzo niewiele możliwości zapewnienia ochrony dziewczynkom.

Może należało otworzyć okno i krzyknąć? Albo wyrzucić coś przez okno i w ten sposób odwrócić uwagę tamtych? Wtedy Lucas mógłby bezpiecznie przebiec do upatrzonej kryjówki. Lillian popatrzyła na stojący obok niej niewielki drewniany stolik. Uznała, że nada się do wykonania jej planu.

Poprosiła, by dziewczynki schowały się za kanapą znajdującą się drugim końcem pokoju. Gdy się ukryły, z całej siły cisnęła meblem w środek okna. Rozległ się głośny brzęk, po którym natychmiast padły strzały. Kule zniszczyły ramę okienną, a jedna z nich rykoszetem wpadła do wnętrza.

Lillian poczuła to jak ukłucie, lekkie swędzenie, które zaraz potem zamieniło się w silny ból. Na jej sukni pojawił się czerwony krążek. Początkowo mały, jednak po-



większał się z każdą chwilą. Usiadła bez tchu, zakreśliło jej się bowiem w głowie, a nogi odmówiły posłuszeństwa.

Jak przez mgłę usłyszała krzyki dziewczynek. Próbowwała przestrzec je przed opuszczeniem kryjówki za kanapą, lecz nie była w stanie wydobyć głosu. Wokół niej rozbiło się coraz ciemniej.

Lucas puścił się biegiem i w tym momencie padły strzały. Odpowiedział ogniem i dwóch mężczyzn zważyło się na ziemię. Kątem oka zauważył wycofującego się Daniela Davenporta.

Dziś w niczym nie przypominał ani bywalca londyńskich salonów, ani angielskiego lorda, który oczarował Elizabeth. Teraz z jego oczu bił strach, bo gdy Daniel pociągnął za spust pistoletu, rozległ się tylko suchy trzask. Nareszcie zasłużona kara spotka kochankę Elizabeth i dręczyciela Stuarta. Wystarczyło nacisnąć spust. Jednak Lucas nie potrafił tego zrobić; nie mógł zabić z zimną krwią. Nie strzeliłby do bezbronnego człowieka, patrząc mu prosto w oczy.

- Zabij go - syknął leżący na ziemi Stephen.

- Kompromitacja może być dla ciebie gorsza od śmierci - odezwał się Lucas. - Kiedy rozejdzie się wieść o zbrojnej napaści na Woodruff Abbey, nikt nigdy nie przyjmie cię w swoim domu.

Kuzyn Lillian pobladł, ale Lucas miał pilniejsze sprawy na głowie. Wręczył pistolet Stephenowi, polecił zamknąć Daniela w spiżarni i już biegł co sił w nogach w stronę domu, do Lilly. Modlił się, by nie stało się najgorsze. Słyszał krzyki dziewczynek i bardzo się bał, że do pokoju wpadła zabłąkana kula.

- Lilly?

Usłyszała swoje imię z oddali. Pośród zamazanych kształtów pojawiła się niewyraźna twarz.

- Lilly...

Tym razem zobaczyła, że stoi nad nią Lucas, wciąż ubrany tak samo, jak wtedy, gdy... Co się stało? Czyżby zasnęła? Niemożliwe. To była noc. Zasłony zaciągnięto i tylko lampa dawała trochę światła.

- Wody... - ledwie wycharczała to słowo.

Gdy poczuła kubek przy wargach, spróbowała wypić jak najwięcej. Lucas jednak zabrał naczynie.

- Doktor pozwolił ci pić tylko po łyżku, za to często.

Odstawił kubek na stolik i cofnął się nieco.

- Dziewczynki?

- Smacznie śpią, ale musiałem im najpierw obiecać, że rano będą mogły cię odwiedzić. Charity mówi nawet więcej niż Hope. Przesyła ci tysiąc buziaków.

- A lord Hawkhurst?

- Stephen jest w sąsiednim pokoju. Ma zabandażowaną głowę, stracił dwa zęby.

Skinęła nieznacznie głową. Jeszcze nie była w stanie objąć myślą wszystkiego, co się wydarzyło. Lucas nie próbował jej dotknąć, nie ujął jej ręki, nie usiadł na pustym krześle przy łóżku i nie poprawił poduszek. Wydawał się jednocześnie zły i zatroskany.

Przełknęła ślinę. Po łyku wody nie cierpiała już tak bardzo z powodu suchości w ustach. Nie miała jednak siły na nic. Zamknęła oczy i zasnęła.

Lucas wciąż był przy niej, gdy ocknęła się następnym razem. Siedział na krześle, opierając jedną nogę o stołeczek ozdobiony rytem przedstawiającym słonia. Ręce splótł na brzuchu, na jednym z palców połyskiwała obrączka, a policzki i podbródek pokrywał świeży zarost. Najwyraźniej drzemał.

Nagle otworzył oczy, jakby wyczuł, że jest obserwowany.

- Lilly? - spytał ponagłajaco, z rozpaczą w głosie. - Już myślałem, że... - powiedział z ulgą, gdy zamrugła powiekami.

Nie dokończył, ale Lilly wiedziała, o czym myślał.

- Taka jestem chora?

- Nie.

Pochylił się nad nią, ale ponieważ zasłonił lampę, Lillian nie widziała wyraźnie jego twarzy.

- Jak długo spałam?

Spojrzał na zegarek.

- Dwanaście godzin.

Poruszyła palcami nóg, potem palcami dłoni. Spróbowała unieść głowę.

- Jestem ranna?

- Kula trafiła cię w bok. Niewiele brakowało, by... - Nie dokończył.

- Widziałam imię Daniela wypisane pod imieniem twojej żony. - Zamknęła oczy, ale łzy które chciała zatrzymać, i tak popłynęły jej po policzkach. - Zaryzykowałeś wszystko dla zemsty?

Napięcie i zmęczenie widoczne na jego twarzy mówiły wiele, patrzył na nią z widocznym poczuciem winy. Odwróciła głowę i wcisnęła twarz w poduszkę. Nie chciała słuchać wyjaśnień.

Hope i Charity przyszły z panią Wilson, gdy dochodziło południe. Przyniesiona przez nie dymiąca owsianka i świeżo upieczony chleb obudziły u Lillian apetyt, choć jeszcze niedawno wydawało jej się, że niczego nie przełknie.

A jednak mogła jeść, zdołała się uśmiechać, trzymać dziewczynki za rękę i udawać przed nimi, że dramatyczne wydarzenia, do których doszło poprzedniego dnia, były tylko przygodą.

Nie zapytała, gdzie jest Lucas ani co się stało z jej kuzynem. Nie zastanawiała się, co zrobiono z ciałami tych, którzy napadli na Woodruff Abbey razem z Danielem. Pociśnięcie się, że Lucas, mierząc z broni do ludzi, chciał ich jedynie zranić, nie mało sensu. Był żołnierzem wyszkolonym do innych zadań.

Wolała o niczym się nie dowiadywać. Lucas kłamał nawet wtedy, gdy leżała obok niego w biały dzień i mieli mnóstwo czasu, by powiedzieć sobie prawdę. Oto człowiek, który naraził bezpieczeństwo rodziny i domu w imię niejasnych dla niej celów. Wiedziała, że nie będzie w stanie tego mu wybaczyć.

Rozluźniła dłoń, zorientowała się bowiem, że Charity wpatruje się w jej pobielające knykcie. Uśmiechnęła się uspokajająco do dziewczynki. Musiała opuścić to miejsce. Jak najszybciej, mimo że piekielnie bolał ją bok i brakowało jej sił.

- Pojedziecie ze mną później obejrzeć mój dom? W moim pokoju jest wiele zabawek. Spodobały wam się.

Guwernantka surowo zmarszczyła czoło, ale miała dość rozsądku, by trzymać język za zębami. Lilly była jej za to wdzięczna. Widok uśmiechniętych dziewczynek pozwalał jej dużo łatwiej znieść całą tę sytuację.

Dotarli do Fairley Manor w porze lunchu. Ernest Davenport i ciotka Jean wyszli na podjazd w oczekiwaniu na powóz. Gdy Lillian wysiadła, ojciec objął ją i długo trzymał w ramionach. Wreszcie odsunęła się od niego i przedstawiła dziewczynki. Spodobało jej się, że ojciec poprosił jedną ze służących, by zaprowadziła małe do kuchni i przygotowała im poczęstunek.

Gdy znaleźli się w bibliotece, lord Davenport pomógł jej usiąść i starannie zamknął drzwi. Lillian zobaczyła swoje odbicie w lustrze i zdumiała się, jak bladą ma twarz. Dopiero wtedy zrozumiała, skąd się wzięło zatroskanie ojca.

Wiść o napadzie musiała się rozejść po całej okolicy. Wydawało się jednak, że do lorda Davenporta nie dotarły jeszcze żadne informacje. To ucieszyło Lillian.

- Możemy tu zostać, ojcze? - odważyła się spytać i wtedy mars na jego czole się pogłębił.

- Na noc? - spytał, jakby chciał zorientować się w sytuacji.

- Na zawsze.

Po kieliszku brandy i kawałku bożonarodzeniowego ciasta Lillian poczuła się nieco lepiej.

- Nie powinienem był zmuszać się do tego małżeństwa. Jak widać, wyniknęły tylko same problemy - powiedział. - Na swoją obronę dodam, że Lucas Clairmont całkiem mnie oczarował.

- Prawdę mówiąc, mnie też.

- Może powinniśmy wystąpić do Izby Lekarskiej o orzeczenie niepoczytalności małżonka. Potem moglibyśmy przedłożyć sprawę w Izbie Lordów. Naturalnie potrzebna byłaby też zgoda parlamentu, żebyś mogła ponownie wyjść za mąż.

Lillian zmarszczyła czoło. Zawrzeć małżeństwo było łatwo, ale wypłatać się z niego... Nie miała ochoty teraz o tym myśleć. Musiała najpierw zebrać siły i odwagę. Sięgnęła po rękę ojca. Z wielkim smutkiem myślała o sobie, o Lucasie i o niepewnej przyszłości.

- Czy te dzieci są jego?

- Nie. On tylko się nimi opiekuje. Dzieci są jego szwagierki.

- A ty przywiozłaś je tutaj? Czy on wie, że to zrobiłaś?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie rozmawiałam z nim na ten temat, ale dziewczynki potrzebują domu bez przemocy. Potrzebują miłości, opieki i ochrony. Mogę im to zapewnić.

Ojciec uśmiechnął się.

- Myślę, że tak, córko. Witaj w domu.

Lillian wpatrywała się uporczywie w podjazd przez cały wieczór i cały następny dzień, ale Lucas nie przyjechał. Nie pojawił się też Daniel. Zastanawiała się, czy powinna wspomnieć ciotce o uczynkach kuzyna, i doszła do wniosku, że tego nie zrobi. Co właściwie miałyby powiedzieć? Twój syn jest mordercą, tak samo jak mój mąż?

Do Bożego Narodzenia brakowało jeszcze czterech dni, dom został pięknie przystrójony z uwagi na obecność dzieci, więc Charity i Hope biegały od choinki do choinki, nie zwracając uwagi na dorosłych. Odpakowywanie prezentów, rozstawianie piernikowych ludzików i wyszukiwanie marcepanowych cukierków było zabawą dającą mnóstwo radości. Na gałęziach drzew w ogrodzie wisiały lampiony, a kominek przyozdobiono świeżymi wiankami z sosnowych gałęzi. Dziewczynki pilnie pomagały w dekorowaniu.

Wreszcie zjawił się Lucas.

Lillian spotkała go na schodach przed frontowym wejściem, zadowolona, że ojciec wyjechał z rządcą rozwiązać jakiś problem na terenie posiadłości. Przynajmniej nie musiała się obawiać jego reakcji.

Gestem zaprosiła męża do domu i zaprowadziła go do swojego pokoju.

- Kłamałeś od początku do końca? - spytała bez wstępów.

Zauważyła, że się zmieszał.

- Nie powiedziałem ci wszystkiego, bo nie chciałem cię w to wplątywać...

Przerwała mu gwałtownie,

- Co takiego?! - wykrzyknęła. - I dlatego musiałam patrzeć, jak lord Hawkhurst leży w kałuży krwi, a ty strzelasz do mojego kuzyna niczym jakiś rewolwerowiec? A co z Hope i Charity? Dwie małe dziewczynki narażone na niebezpieczeństwo, na udział w strzelaninie. Twoim zdaniem, nie powinnam się tym przejmować?! Nie powinnam się wtrącać?!

Lucas miał zboląłą minę.

- Czy dziewczynki czują się dobrze?

Kiedy Lillian skinęła głową, zobaczyła malujący się na jego twarzy wyraz ulgi.

- Przyjechałeś z Ameryki do Anglii kierując się zemstą, wyłącznie po to, żeby zabić.

- Moja żona, która, jak ci wcześniej wspomniałem zginęła w wypadku powozu, miała romans z twoim kuzynem. Okazało się, że spodziewała się dziecka Daniela.

- Dziecka?

- Gdyby chociaż było mu przykro, mógłbym zrozumieć, wybaczyć. Tymczasem on niczego nie żałował. - Lucas zamilkł i po dłuższej chwili wyznał: - Kiedyś byłem żołnierzem.

Lillian zdziwiło wahanie, z jakim Lucas przyznał się do zajęcia, które przecież uważano za chwalebne.

- W trzecim roku służby - ciągnął Lucas - dostałem przydział do wywiadu. Zostałem wyszkolony i zdobyłem specjalne umiejętności. Kiedy nauczysz się zabijać ludzi i raz to zrobisz, przekraczasz pewną granicę. Wszystko jedno, czy robisz w służbie króla i ojczyzny, czy z innych powodów. Zmieniasz się, stajesz się kimś innym, a wybory, które dla każdego człowieka są łatwe, tobie wydają się bardzo trudne.

- Zabijałeś ludzi w Ameryce? - spytała strwożona, choć przecież wiedziała, że odpowiedź jest twierdząca.

- Nie dla zabawy, zysku czy chwały. Ci ludzie musieli umrzeć, ponieważ z punktu widzenia władz wojskowych byli groźni.

- Czy zastrześliłeś Daniela?

- Nie.

Poczuła ulgę, ale wciąż przepełniał ją lęk.

- Nie zabiłem go, chociaż chciałem. Przyjechałem tutaj specjalnie po to, aby go ukarać, bo na to zasłużył. Przekonałem się jednak, że nie potrafię. Kiedy umierał mój ukochany stryj, w ostatnich słowach wspomniał właśnie o twoim kuzynie. To Daniel podstępem pozbawił stryja ziemi i na słabości- Stuarta zbił majątek. Również Paget miał swój udział w tej sprawie.

- Kiedy więc powiedziałaś o tym wtedy przy kolacji...



- On wiedział, że ja wiem. Najdziwniejsze w tym wszystkim, że ostatecznie to nie zemsta mnie uratowała, tylko ty, Lillian.

- Ja?

- Elizabeth nie potrafiła zaznać szczęścia. Nie czerpała radości i zadowolenia z naszego małżeństwa, nie umiała cieszyć się codziennym życiem. Tej nocy, gdy zginęła, miało przyjść na świat jej dziecko. - Z najwyższym trudem opanował drzenie w głosie. - Nie chciała urodzić go w domu, bo nie ufała tamtejszej akuszerce.

- Postanowiłeś więc zawieźć ją do innej?

- Podczas jazdy rozhisteryzowana Elizabeth otworzyła drzwi, grożąc, że wyskoczy na drogę. Wykrzyczała przy tym imię twojego kuzyna. Nie zapanowałem nad powozem i doszło do wypadku. Umarła na moich oczach.

- Wielki Boże! Czy zostałeś ranny?

- Ta blizna... - Przesunął palcami po głębokiej bruździe, ciągnącej się od ucha aż po obojczyk.

A więc i on ucierpiał. Zdradzony stracił żonę i dziecko.

- Kiedy wydobrałem i wróciłem na farmę, zacząłem pić na umór. Chciałem zapomnieć...

Coraz lepiej rozumiała, jak skomplikowanym człowiekiem jest jej mąż. Łatwe wybory były mu obce. Zapadło długie milczenie. W końcu przerwał je Lucas.

- Kiedy zobaczyłem cię u Lenningtonów, uznałam, że jesteś doskonała. Doskonała w taki sposób, w jaki mnie nigdy nie było dane.

- Doskonała? - Pokręciła głową. - Nie ma takich ludzi.

- Nie ma? W kaplicy w mojej posiadłości jest wymalowany na sklepieniu cherubin. Ma twoje oczy i włosy. Obok znajduje się śmiertelnik, któremu cherubin niesie ocalenie. Tak samo ty mnie ocaliłaś!

Wyrzucił z siebie te słowa gwałtownie i mocno zacisnął dłoń na jej obnażonym ramieniu.

- Nie jestem złym człowiekiem, Lilly, a poza tym potrzebuję cię. Musisz być obok mnie, żebym potrafił nadać sens swojemu istnieniu na tym świecie. - Spojrzał jej prosto

w oczy. - Nigdy bym cię nie skrzywdził. Mogę cię tylko kochać - oznajmił poważnym tonem i rozwarł ramiona.

Lillian odpowiedziała na to nieme zaproszenie i przytuliła się do męża. Po jej policzkach spłynęły łzy. Stali tak długo, wsłuchując się w bicie swoich serc i ciesząc bliskością. Nie odważyli się na nic więcej, bo przecież w każdej chwili do pokoju mógł ktoś wejść.

W pewnym momencie usłyszeli, że ktoś wchodzi po schodach, a potem rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanął Ernest Davenport i w milczeniu poczekał, aż odsuną się od siebie, choć nawet gdy już to zrobili, nadal trzymali się za ręce.

- Powiedziano mi, co się dzieje. - Spojrzał w oczy Lillian. - Czy wszystko w porządku, moja droga?

- Tak.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Wyjawiał ci swoje tajemnice?

- Nie wszystkie - powiedział Lucas, mocniej zaciskając rękę na dłoni Lillian. - Wiesz, Lilly, jestem zamożnym człowiekiem. Mam wiele posiadłości w Wirginii, a handel drewnem przynosi duże zyski.

- Bardziej zamożnym niż mój ojciec?

- Obawiam się, że tak.

- Czyli kwiaty cię nie zrujnowały?

- Słucham?

- Ten bukiet, który od ciebie dostałam. W swoim czasie sądziłam, że musiał kosztować cię majątek, więc zasuszyłam jeden kwiat, żeby móc ci go pokazać.

Pokręcił głową.

- Nawet gdybyś zapragnęła umaić kwiatami cały dom, byłoby mnie na nie stać.

- Chcę tylko ciebie - oświadczyła dobitnie Lillian i znalazła sobie wygodne miejsce w objęciach męża.

Ostatni goście opuścili Fairley Manor, a Biblia leżąca na stoliku w głównym salonie została ostatecznie zamknięta po wielu różnych czytaniach. Cały dzień był radosny i gwarny. Nie przypominał minionych świąt Bożego Narodzenia, cichych i pełnych zadu-

my. Raz po raz słychać było piski zachwytu Hope i Charity. Dziewczynki wymyślały różne gry, Stephen zorganizował szarady, a Patrick przez cały dzień nie odstępował Lucasa i zasypywał go pytaniami o Wirginię i jej bogactwa.

Wczesnym popołudniem Ernest Davenport, korzystając ze spokojniejszej chwili, odprowadził Lillian na bok i wręczył jej podarunek: podwójny sznur pereł, który kiedyś należał do jej matki.

- Ona dokonała złego wyboru. Wcześniej jednak było dużo właściwych - powiedział i cmoknął ją w policzek.

W obecności córki ojciec wspomniał o Rebecce pierwszy raz od czasu jej śmierci. Ten prezent był dla Lillian bardzo ważny, zresztą otrzymane perły doskonale pamiętała z dzieciństwa.

- Powiedziałeś mi kiedyś, ojcze, że jeszcze ci dziękuję za to małżeństwo. Robię to teraz.

- Lucas pozwolił Danielowi wyjechać za granicę, więc na szczęście głupota kuzyna nie zrujnuje dobrego imienia Davenportów. Chyba nawet Jean doceniła wielkoduszność gestu Lucasa. W każdym razie postanowiła towarzyszyć synowi.

Lillian uśmiechnęła się, zadowolona, że ojciec nie musi się obawiać naruszenia dobrego imienia rodziny. Reputacja była dla niego sprawą najwyższej wagi.

- Tak dobrze jak dziś, ojcze, już dawno nie wyglądałeś.

Uśmiechnął się.

- To dlatego, że jesteś szczęśliwa, moja kochana.

Dużo później, w małżeńskiej sypialni, Lillian uśmiechnęła się, kiedy Lucas pocałował ją w brzuch, w miejscu, gdzie na jej gładkiej skórze odbijał się płomień świecy.

- Pragnę mieć dzieci, Lilly. Hope i Charity powinny mieć siostry i braci.

Rubin ozdabiający obrączkę mienił się w świetle, gdy odgarniała mężowi kosmyk z twarzy.

- Chciałam cię zapytać o dedykację na tej obrączce.

- Kazałem ją wykonać dla ciebie w Londynie.

- Przecież nie wiedziałeś wtedy, że kiedykolwiek cię poślubię!

- „Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę”. Zrozumiałem to już po naszym pierwszym pocałunku.

- To znaczy, że zawsze byliśmy tylko my?

- Tylko my - potwierdził i wzięwszy z kredensu przy łóżku gałązkę jemioli, uniósł ją nad nimi z szelmowskim błyskiem w oczach.



TLR